



sobotnia

szkoła piękności

marsha

mehran



w
ab

SERIA Z MIOTŁĄ

Marsha Mehran
SOBOTNIA SZKOŁA PIĘKNOŚCI
Przełożyła Jolanta Kozak



Przeciąganie nitki było jedną z pierwszych nauk, które Zadi Heirati pobrała w hammamie, łaźni. Po ledwie miesiącu pracy w hammamie знаła już znaczenie *band*, nitki, monolog jej sztuki, sztuki usuwania owłosienia z ciała, zwanej *band andazi*.

Zadi przybyła do hammamu z Hamadanu, miasta swojego urodzenia. Do stolicy dotarła autobusem, wysiadła na wklęsłym i zatłoczonym dworcu centralnym z przepyszными łukami i dziwnymi posągami, skąd autobusem miejskim dojechała na jedno z północnych przedmieść, zwane Tajrish, gdzie, jak słyszała, mieszkali zamożniejsi rezydenci. Wybór bogatszej stołecznej dzielnicy nie był instynktowny, gdyż Zadi chętniej pojechałaby na południe, gdzie z narożnych szpar ceglanych budynków wyrastały kwiaty, niczym wieczne pnącza na rzymskich posągach, a obce dzieci biegały nago po ulicach, wykrzykując obsceniczne słowa usiane poetycką wiedzą. Nie, wybór północy wziął się z potrzeby zmiany wewnętrznego kompasu, którego dziwnym wahaniom i częstokroć drwiącym nakazom Zadi postanowiła dłużej już nie ufać. Skręcając na północ, brnąc pod prąd, poczuła ten sam skręt w głębi swej istoty.

Autobus, do którego Zadi wsiadła w Hamadanie, jechał przez rozległe góry Alvand, teren śnieżny i pełen rozpadlin, zaśmiecony prymitywnymi wioskami,

popbudowanymi za czasów prapradziadów i od tamtej pory w zasadzie niezmiennymi. Przemykające bokiem kamienie i roślinność przypomniały Zadi o popołudniu sprzed kilku dni, kiedy to przebywała na tylnej werandzie domu znanego jej od dłuższego czasu. Było to miejsce szczególnego spokoju. Zadi siedziała na werandzie nad misą fasoli o szerokich i płaskich ziarnach. Wyłuskała je z łupinek w ramach przygotowań do święta wiosny. Przez nieuwagę rozsypała fasolę po terakotowych płytkach, więc zerwała się, wystraszona i niedowierzająca. Teraz, w autobusie, widziała oczami wyobraźni, jak strąki kiełkują w dotkliwym chłodzie, a pędy wystrzeliwiają spomiędzy płytek w wiosenne powietrze – i widziała rozgrywającą się wokół nich tragiczną scenę. Zerwała się wówczas, zdjeta nabożnym lękiem i drżąca. Ale teraz, siedząc w rozklekotanym autobusie jadącym do stolicy, zastanowiła się nad tamtym zdarzeniem. Początek jest końcem – jak rzekł poeta. Przecież zawsze wiedziałam, pomyślała Zadi, że od chwili wejścia do domu babki zmierzam ku wyjściu stamtąd.

Jest, czym jest.

To było wieczne wygnanie – nie ma nic złego w wiecznym wygnaniu.

Wysiadłszy na końcowym przystanku w Tajrish, Zadi zapuściła się pieszo w miasto tętniące świętecznym ożywieniem, kierując się na północ – nie żeby wiedziała, dokąd chce dojść, ale ten właśnie kierunek przywrócił jej nagle głęboki wewnętrzny impuls. Na końcu długiej,

wąskiej ulicy Topolowej – obrzeżonej topolami ciężkimi od dojrzewającego kwiecia – dostrzegła kopułkę w kształcie dzwonu, porzewiała od deszczu, matowo spatynowaną, piękną. Skupiając uwagę na tym, co dzieje się za jej plecami, Zadi nawet nie zauważyła, że stoi przed drzwiami hammamu, dopóki te się nie otworzyły. Jako że zawsze, do tego poranka, uważała przysłowia za ledwie ozdoby codzienności, zaskoczyły ją słowa kobiety, która otworzyła drzwi.

– Dawniej litowałam się nad sobą, że nie mam butów – powiedziała kobieta.

– Aż spotkałam człowieka, który był martwy – odpowiedziała Zadi, zdając sobie sprawę z tego, że głośne wypowiedzenie tych słów stanowi najgłębszą rację ich bytu.

Tak, to był hammam. Mieli wolne miejsce pracy, dla silnej dziewczyny.

– Podejź bliżej – powiedziała kobieta. – I nie przejmuj się dżinami przyczajonymi w cieniu.

*

Mina Nazeri, lat czterdzieści dziewięć, pracowała w hammamie od trzydziestu lat i poznała wszystkie sekrety swojej profesji. Była energiczna i silna, typ matriarchalny, a cechowały ją odporność, odwaga i determinacja, czym zdobywała sobie posłuszeństwo i szacunek pracowników oraz klientek. Wszyscy zwracali się do niej: *chanum*, pełnym czci tytułem zarezerwowanym dla kobiet niepoślednich zalet. *Chanum* Mina miała nie tylko

wszechstronną wiedzę o sekretach urody, recepturach, składnikach i zabiegach – znała też historię hammamu.

W siódmym stuleciu, kiedy arabski kalif Omar I najechał dynastię Sasanidów, lecznicze fontanny hammamu były już od stu lat, czerpiąc z gorących źródeł, na których ów hammam wzniesiono, sącząc esencję wody i olejków o leczniczych mocach znanych jedynie kapłanom pewnej niebiańskiej istoty.

Oddziały mężczyzn w turbanach przedarły się przez góry Zagros i pozostała część rozległego irańskiego płaskowyżu, a wówczas kobiety strzegące łaźni zawarły cedrowe odrzwia i zabarykadowały je głazami, by nie dopuścić wojska do zwykłej żołdakom terapii łupiestwa i gwałtu.

Drzwi hammamu nie powstrzymały armii kalifatu; dwadzieścia cztery strażniczki łaźni zostały zgwałcone i powieszono na gałęziach topól, okalających kamienne fontanny oraz połączone z budynkiem tarasy. Ale wody – ich czarodziejska moc przetrwała. Wielu ludzi kalifa skusiło się, aby wskoczyć w dymiącą, bogatą w minerały ciecz; owinięci na wyrafinowany wzór tubylców, zagłębiali się w niuanse wiary i etykiety. Mężczyźni ci, tak jak reszta hordy, która natarła z południa, nie wiedzieli, że to, co zyskują, jest czymś wielce tajemniczym, czymś, co nie daje się łatwo zmierzyć, lecz co, być może, da się znaleźć nad powierzchnią i wokół tych nad wyraz leczniczych wód.

Właśnie tę bliskość sobie cenię.

Gdy armia kalifa odeszła, a topole dźwigały już tylko pieśń swoich strasznych liści, kobieta o imieniu Anahita Wielka podjęła się otworzyć na nowo cedrowe drzwi. Nikt nie wiedział, dlaczego Anahita jest wielka – może dlatego, że nie wierzyła w przekleństwo, rzecz wielce nietypowa, stanowiąca zaletę wśród ludności płacącej regularnie jałmużnę w formie człowieczego cierpienia.

Hammam na ulicy Topolowej był jednym z najświetniejszych w Teheranie. Zajmował pięć akrów pierwszorzędných północnych gruntów, z czego połowę pokrywał labirynt budynków, których pokoje otwierały się jeden na drugi za każdym zakrętem.

Rozgościwszy się w kąciку przydzielonym jej na sypialnię – naprzeciw głównego budynku hammamu, po drugiej stronie dziedzińca – Zadi podjęła długi proces zdobywania wiedzy o niezliczonych tradycjach łaźni. Między innymi o *band andazi*, jednym z najpopularniejszych zabiegów wśród klienteli spośród okolicznych pań domu i dziewczyc.

Band andazi, czyli nitkowanie, zaczyna się od przygotowania wody różanej z pudrem. Ta przypominająca ryżowy pudding mikstura wywoływała burczenie z głodu w niejednym ogłupiałym brzuchu. Natarta warstewką różanej mikstury, nić staje się gotowa do plecenia.

Dzień, w którym Zadi prawdziwie pojęła, czym jest *band*, zaczął się w hammamie jak zwykle: Zadi kończyła ostatni etap szykowania mikstury dla klientki, korpulentnej matrony, amatorki długich masaży, ale w kwestii

nitkowania jeszcze dziewicy. Rozwierająca i zaciskająca się pajęczyna nici okazała się zbyt drastyczna, zbyt barbarzyńska jak na jej wyrafinowany gust. Spojrzawszy raz na zbliżające się niciane nożyce – zemdląła. Nie była to wyjątkowa reakcja na *band andazi*: co trzecia klientka hammamu ulegała odruchowi ucieczki.

Zadi miała wprawę w cuceniu; łagodnie przeturlała przerażoną damę na bok, na wyścieloną poduszkami otomanę przeznaczoną specjalnie do tego celu, a biegnącą po całym obwodzie sali. Odkorkowawszy mały flakonik *atr*, esencji róży kaspijskiej, podstawiała perfumy pod nozdrza omdlałej i pozwoliła magii wychwalanych płatków, wyrosłych w słonych bryzach Morza Kaspijskiego, dotrzeć do niszy snu w jej umyśle. Parę sekund wystarczyło, aby dama się ocknęła, przewyciężyła wstyd i kiwnęła: *tak*. Oczywiście nie każda klientka mdlała. Mnóstwo kąpielowiczek nader chętnie poddawało się ożywym szarpnięciom skręconej nici. Choć pozowały na odważne, Zadi знаła prawdziwą przyczynę osobliwego upodobania niektórych klientek: to te z nas, które lubią ból, które się rozkoszują jego nietrwałą mocą uśmierzenia o wiele głębszej dolegliwości. Doświadczenie nauczyło Zadi, że najczęściej takie klientki należą do specyficznego środowiska – to żony i córki najwyżej postawionych mężczyzn w Teheranie, towarzyska *crème de la crème*.

Tym razem po ocuceniu omdlałej klientki Zadi złapała się na myśli o genialności *band andazi*. Była to, koniec

końców, metoda prościutka: ściągało się nitkę i wrywało włoski, tyle że taniec ten wymagał udziału obu partnerek. Klientka często odsuwała się na widok nitki zbliżającej się do twarzy. Jednak niebawem zaczynała unosić się lekko, pozwalając nitkującej cofać się i przybliżyć, aż poróżnowiała, ukrwiona skóra twarzy stała się wolna od niepożądanego owłosienia. I to ten taniec właśnie, uświadomiła sobie Zadi, jest najwspanialszą częścią *band andazi*, albowiem wymaga połączonej determinacji. Taka prosta myśl, a jednak nieodzowna do pełni tańca.

*

Jak zawsze, tak i w przypadku Zadi nie zajęło *chanum* Minie zbyt wiele czasu odkrycie powodu, dla którego Zadi przyjechała z Hamadanu do pracy w hammamie. Wręczyła jej stertę książek o sztuce urody, głównie podręczników, z nakazem, by je zabrała do swojej klitki po drugiej stronie dziedzińca. Niestety, cenne teksty nie przyniosły Zadi większego pożytku – choć szczerze się starała, nie potrafiła utrzymać wzroku na otwartej stronicy.

– Wiesz, po co zbudowano hammam? – spytała *chanum* Mina pewnego dnia, gdy stały obie u progu nagrzonej sali.

– Aby oczyszczać ciało i podążający za nim umysł – wyrecytowała Zadi, wpatrując się w konstelację mozaik rozpostartą na wszystkie strony ponad jej głową.

– Tak im mówimy, tak pozwalamy im sądzić. Ale to nie jest prawda. – *Chanum* Mina uśmiechnęła się. – Cała rzecz w cząsteczkach, których jak dotąd nie ujarzmiliśmy.

I nigdy nie ujarzmimy.

Zadi nie rozumiała, jakie cząsteczki *chanum* Mina ma na myśli. Wiedziała, oczywiście, czym jest hammam; w zakątku jej umysłu ostało się słodkie, odległe wspomnienie pewnego popołudnia z matką, która zabrała ją do górskich źródeł swojego rodzinnego miasta, gdzie było kilka łaźni mineralnych, podobnych do tych w Teheranie. Jednak nic w tym wspomnieniu nie wiązało się z tajemniczym zjawiskiem, o którym napomknęła *chanum* Mina.

Dopiero po paru dniach Zadi rozumiała jej słowa.

Stało się to w dniu, w którym *chanum* Mina wezwała ją do pomieszczeń panny młodej. Po poddaniu się licznym zabiegom towarzyski oblubienicy zebrały się w centrum hammamu. Zwyczajem było, aby cała grupa skorzystała ze wszystkich usług hammamu przed nałożeniem henny. Bankiet trwał całe rano i popołudnie, toteż Zadi czuła się zmęczona. Przeniknął ją wewnętrzny chłód. Znow skręcało ją w brzuchu, w niszy obecnej tam od miesięcy. Obejmujące ciało zimno nasilało się z upływem dnia, aż zmarzła na kość, stojąc w sali ochłody. Długa, namiotowata sukienka maskowała jej sterczący brzuch.

Gdy słońce zaszło za ozdobnie okratowanymi oknami, biegnącymi wzdłuż górnych poziomów kopuły sklepienia, Zadi przeszła do wewnętrznej komnaty panny młodej, usytuowanej za rogiem. To, co tam zobaczyła, przyprawiło ją o słabość i drżenie.

Rumianą twarz uszczęśliwionej panny młodej krewne

układały właśnie na miękkim materacu. Zabieg był łagodny i brutalny zarazem, jak małżeństwo – tak powiedziała *chanum* Mina. W odległym kącie wynajęta specjalnie na tę okazję kobieta wybijała na bębnie *tombak* rytm, który miał swą genezę w zrozumieniu pożądania. Gdy uderzenia w bęben wzmożyły tempo i rytm, suknia panny młodej została rozpięta i odsłoniła jej ciało, gotowe na pędzelek z henną.

Jedna po drugiej krewne zanurzały pędzelek w talerzykach z czerwoną pastą. Krwista czerwień, na krew pokoleń – powiedziała do Zadi *chanum* Mina.

– Czysta miłość, która przetrwa każdy czas.

Zadi przejął wtedy najgłębszy smutek, stykający się z chłodem gdzieś w jej wnętrzu, tam gdzie dziecko, które w niej rosło – być może świadome dychotomii – gwałtownie kopnęło.

Czysta miłość – powiedziała *chanum* Mina. Zadi nie sądziła, by kiedykolwiek zajmowano się nią z taką pieczołowitością, więc tym bardziej nie pamiętała, jakie to uczucie. Tak bywa, gdy ma się złamane serce, podsumowała w duchu. Serce ztraca rytm, a wraz z nim zdolność uwalniania tego czarownego doznania.

I w tym właśnie momencie słowa *chanum* Miny ujawniły swój sens. *Tombak* wybijał swój sekretny rytm. Ująwszy pędzel, matka panny młodej dotknęła nim brzucha córki. Z tą chwilą, z dotknięciem rozgotowanych listków henny, z połączeniem serca matki z córką, na nowo popłynęła miłość. Tak też mówiła Zadi *chanum* Mina, lecz

dopiero w tej chwili, patrząc na dotknięcie młodziutkiej oblubienicy pędzlem z henną, Zadi pojęła jego moc. Kiedy w smugach zachodzącego słońca, filtrowanych przez kopułę sklepienia, pełna kobiet sala jąta falować niczym olbrzymie morze, krew w ciele Zadi zaczęła wracać do normy. W jednej chwili ciepło ogarnęło wszystkie pory jej skóry i wypełniło niszę w brzuchu, jakby w ogóle nigdy nie istniała. Zadi obróciła się na pięcie i wybiegła z komnaty kobiet, spiesząc do pobliskiego składziku. Tam zdarła z siebie roboczy strój i zapatrzyła się we własny brzuch.

I oto na urwisku, którym był jej ciężarny brzuch, widniał nieduży zaciek, łąza ciemnoczerwonego koloru. Nie myśląc o tym, co robi, Zadi wróciła biegiem do grupy panny młodej i przystanęła w drzwiach, bo oblubienica, już w pełni uświęcona, była właśnie obściskiwana i obcałowywana przez krewnie.

Zadi wiedziała, że ona też została pobłogosławiona, gdyż w tym momencie pojęła, po co los rzucił ją do hammamu: aby uczyła się, eksperymentowała, nabierała doświadczenia i oddawała to, co sama otrzymała. Dostrzegła swój cel.

Rodzenie córki, Maryam, było jednym z najlepszych doświadczeń, jakie mogły się przytrafić Zadi. Na dodatek odbyło się to w cudownym miejscu, cudownym i do rodzenia, i do narodzin: w basenie ciepłej, czystej, silnie zmineralizowanej wody, wśród błogosławieństw sześciu nagich kobiet.

Chanum Mina była czujna, czekała tylko na znak bliskiego połogu Zadi. Znała różnicę między skurczami fałszywymi a prawdziwymi. Chociaż jej samej nigdy nie było dane rodzić, uwielbiała pełnić rolę akuszerki, pomocnicy położnej, a choćby i obserwatorce. Wyczyła się wszystkiego jeszcze za młodu i nieraz odbierała noworodki.

W miarę jak zbliżał się wiadomy termin, Zadi zaczęła odczuwać lekkie skurcze. Myślała, że to już te prawdziwe, więc narobiła krzyku, jednak *chanum* Mina zdołała ją uspokoić, zapewniając, że właściwe skurcze nastąpią niebawem.

– Są bardzo bolesne – uprzedziła, kręcąc głową dla podkreślenia tego, co miała na myśli.

– Jeszcze bardziej niż teraz? O Boże!

Chanum Mina zawczasu przyszykowała się do porodu, a kiedy przyszedł czas – po kilku silnych, bolesnych i regularnych skurczach co kilka minut, podczas których Zadi nie mogła się nawet ruszyć – wezwała do działania pozostałe kobiety.

– Już czas, przyprowadźcie ją tutaj!

Kobiety pomogły Zadi wejść do baseniku z tryskającą fontanną. Poród trwał pół godziny; przez cały ten czas kobiety wzywały bóstwa do złagodzenia bólów porodowych Zadi.

Od czasów starożytnych było w Iranie tradycją wzywanie bóstw na pomoc w czasie rodzenia. Zaratusztrianie mieli zwyczaj wzywać proroka Pir-e

Sabza, którego potem zastąpił Hazrat Khezzr, a po inwazji islamu – Imam Ali.

Kiedy Maryam się urodziła, wszystkie kobiety zaczęły śpiewnie skandować: „*Kli li li li li li li li*” – zaśpiew na szczęśliwe chwile, narodziny i wesela.

Niemowlę owinięto w białe płótno i *chanum* Mina już miała je obwiązać sznurem, gdy Zadi ją powstrzymała.

– Nie chcę, żeby moje dziecko było zawijane w *qondaq*. Chcę, żeby była wolna, wolna od bezsensownych ograniczeń.

Zwyczajem było zawijać niemowlęta w płótno i krępować sznurem, aby utrzymać prosto rączki i nóżki. Opakowane jak w kokon, dziecko w ogóle nie mogło się ruszać. Praktyka ta miała dwa powody. Po pierwsze, rodzice uważali, że zapobiega ona krzywicy nóg i rąk. Po drugie, wierzyli, że nauczy to dziecko posłuszeństwa i dobrych manier. Zadi nie była zawijana w *qondaq* i nie chciała ograniczać córeczki, krępując ją płótnem i sznurem.

Była uszczęśliwiona, że została matką, i czuła się błogosławiona piękną córeczką. W hammamie przebywała już od ponad ośmiu miesięcy, poznała więc jego sekrety i powód istnienia. Idąc za radą *chanum* Miny, postanowiła opuścić hammam po narodzeniu dziecka.

– Bierz swoje rzeczy i odejdz stąd, Zadi – powiedziała *chanum* Mina. – Łza w porę jest lepsza niż niewłaściwy uśmiech.

Chanum Mina uznała też, że nadszedł czas na

ślubowanie milczenia.

– To, co widziałaś, zabierz do grobu, Zadi – przestrzegła. – Nie wolno mówić o tym, czego tutaj byliśmy świadkami. Najlepiej wcale o tym nie rozmawiać, nawet nie próbować.

Zadi, która już wcześniej doświadczyła przesadnej ostrożności *chanum* Miny, obiecała, że będzie milczeć, postanawiając w duchu, że – kiedyś – opowie wszystko córce.

Jak cała reszta świata, Zadi obserwowała rozwój rewolucji w Iranie, gdzie każda nowa uliczna pogłoska wprowadzała jeszcze większe zamieszanie, ale też zapoczątkowywała nowy porządek. Żądał on od swoich zwolenników swoistej awersji, gdyż ważne było, aby ignorować nie tylko to, co realne i miłe, ale też to, czego samym wyznawcom w głębi duszy brakowało.

Zadi wychowana została przez babkę w duchu niezależności i wolności. Tej samej wolności, którą cieszyła się jako dziecko, pragnęła dla swojej córki. Dominująca niepewność polityczna i stopniowe wprowadzanie surowych islamskich praw wieszczyły ponure perspektywy dla Zadi i wielu podobnie do niej myślących osób. Uważała, że nie wolno jej skazywać dziecka na to, co nieuniknione – lata zmagania, nierównego traktowania płci i terroru. Sądziła, że jest zdolna przewidzieć następstwa rewolucji, skoro rozumiała, co się szykowało, jeszcze przed jej wybuchem. Spodziewała się nastania nieznośnych warunków dla siebie i swojej córki. Dlatego zrobiła, co musiała. Zabrała wszystko, co miała, i wraz z córką wyjechała z kraju.

Oto one, dwie postacie, Zadi i mała Maryam; siedzą przed bramką odlotów na lotnisku Heathrow. Maryam podciągnęła nóżki i niezdarnie wtuliła głowę w matczyne podołek. Na cel wyjazdu Zadi wybrała Amerykę,

z powodów, które zrazu zdawały jej się nieokreślone. Lecz kiedy tak siedziała na londyńskim lotnisku, wróciły do niej słowa poety.

Jest, czym jest.

– Raz ją widziałam, wie pani? W damskiej toalecie u Harrodsa. W sześćdziesiątym piątym.

Przed Zadi stała jakaś kobieta i wskazywała na leżącą na siedzeniu obok gazetę. Zostawił ją wcześniejszy podróżny.

Kobieta postukała palcami w zdjęcie na pierwszej stronie.

– Trzeba było widzieć te włoski na jej bladej angielskiej cerze. Miałam ochotę wyciągnąć pęsetę i powyrywać je jeden po drugim!

Zadi gapiła się na kobietę dłuższą chwilę, po czym spojrzała na nagłówek.

**THATCHER SZYKUJE SIĘ DO OBJĘCIA WŁADZY:
CZY WIELKA BRYTANIA JEST GOTOWA NA DWIE
KOBIEТЫ U STERU?**

Kobieta rozsiadła się naprzeciwko Zadi i owinęła nogi długim futrem. Wokół nich przewijał się tłum podróżnych, ona zaś mówiła dalej.

– Pistację? – Kobieta podsunęła Zadi torebkę orzeszków wyjętą z miękkiej skórzanej walizki.

Ciekawe, czy ma lecieć tym samym samolotem, pomyślała Zadi.

– Niech pani na nich spojrzy – prychnęła kobieta chwilę później, mając na myśli kolejkę jowialnych

angielskich biznesmenów. – Jak rozwodnione mleko, co do jednego. I tacy nazywają siebie mężczyznami! – żachnęła się, a torebka orzeszków na jej brzuchu zachrząściła do wtóru. Kobieta znów postukała palcem w gazetę. – Ta stara lisica nie zmieniła się nic a nic. Oczywiście pod pewnymi względami musiała stać się facetem. Nie zachodzi się tak wysoko, nie tracąc w jakiejś części kobiecych wdzięków. – Zamilkła i uśmiechnęła się do Zadi. – Pierwszy raz poza Iranem?

Trafiła w czuły punkt. Twarz Zadi mimowolnie się skrzywiła, a do oczu w jednej sekundzie napłynęły łzy. Upuszczając z garści pistacje, Zadi skuliła się i rozpłakała. Córeczka zawtórowała jej żalonym popiskiwaniem.

Kobieta pokiwała głową i wręczyła im po chusteczce, wyciągniętej gdzieś ze spodnich warstw długiego futra z norek.

– Wiem, wiem, kochane – powiedziała. – Też to przechodziłam. Nawet parę razy. – Kręciła głową, patrząc w mglisty horyzont za bramką odlotów. – Wypłacz się porządnie, a potem opowiedz mi swoją historię. Jestem Hadzi. Hadzi Chanum. To najlepszy sposób na pozbycie się trucizny, wierz mi. Otworzyć się i wywalić wszystko z siebie.

Zadi sama nie wiedziała, czy to lekko zniesmaczona mina kobiety, czy jej nieustanne dziobanie orzeszków, ale coś w Hadzi Chanum uderzyło ją jako nadzwyczaj komiczne. Parsknęła śmiechem przez łzy. Otarła oczy, wysiąkała nos i przytuliła Maryam do piersi.

– Właśnie tak – powtórzyła Hadzi Chanum, nie spuszczać wzroku z chudych angielskich biznesmenów. – Mów, dokąd się wybierasz? Do Ameryki? – Uśmiechnęła się, jakby z góry znała odpowiedź.

– Dobrze by było – westchnęła Zadi, ponownie ocierając oczy chusteczką. – Chciałyśmy wyjechać do Iowa, ale jak pani wie, ambasadę amerykańską zamknęli, więc postanowiłyśmy jechać do Argentyny, do Buenos Aires. Mam nadzieję, że tam dostaniemy amerykańskie wizy.

Podeksytowana Hadzi Chanum skoczyła na równe nogi. Następnie, wyciągnąwszy z torebki długopis i pustą kopertę, napisała jakieś nazwisko i adres.

– Co za szczęśliwy zbieg okoliczności. Ja właśnie przybywam z Buenos Aires i niedługo będę tam wracać. Udajcie się pod ten adres. Mają tam dla was mieszkanie do wynajęcia. Dom nazywa się Anna Karenina.

Hadzi Chanum wręczyła Zadi kopertę. Nagle, stropiona, zerknęła w górę na numer bramki. Czekala nie tam, gdzie trzeba. Nachyliwszy się, cmoknęła Maryam w oba policzki.

– Muszę lecieć, do zobaczenia wkrótce. – Odeszła spieszenie, choć odwróciła się jeszcze parę razy, żeby z uśmiechem pomachać do Zadi i Maryam.

Anna Karenina, secesyjna budowla o nieokreślonych proporcjach, stała w centrum Buenos Aires. Zadi zdumiała się w pierwszej chwili. Stanąwszy przed wejściem, pomyślała zrazu, że się zgubiła albo źle odcyfrowała adres

nagryzmołony przez Hadzi Chanum na odwrocie koperty.

Przymrużyła oczy i odczytała treść pordzewiałej mosiężnej tabliczki na frontowych drzwiach. Informacja zgadzała się z tym, co zapisano skrótowym farsi na kopercie: Gmach Anna Karenina, calle Florida 1796. A więc trafiła.

Wolne mieszkanie mieściło się na piątym piętrze. Tak jak całą resztę budynku, piętro piąte i ostatnie zbudowano pod koniec dziewiętnastego wieku. Architekt budynku, niejaki monsieur Ballard z St. Germain w Paryżu, był namiętym konsumentem absyntu, bon vivantem i legendarnym skąpcem. Kręte marmurowe schody wiodły z głównego hallu na najwyższy podest, gdzie szerokie dębowe drzwi wprawiono w witrażową ścianę działową.

Zadi wprost nie mogła uwierzyć, że postąpiła za radą obcej kobiety i odsunęła na bok nadzieje na wizę do Ameryki i szybki wyjazd do Iowa.

Zadi i Maryam wynajęły pokój sąsiadujący z tym, który zajęła wcześniej Hadzi Chanum. Tydzień później Hadzi Chanum wróciła z wycieczki, opatulona futrem z norek, z paczką w ręce. Jeszcze nim ją ujrzała, Zadi usłyszała wesoły głos i znajomy już, niepowtarzalny śmiech.

Tak! Wróciła! – pomyślała, uśmiechając się radośnie.

Zadi lubiła swoje mieszkanie i sąsiadów, ale wciąż chciała jak najprędzej dostać się do Ameryki. Złożyła wniosek o wizę w ambasadzie amerykańskiej w Buenos Aires i czekała na rozmowę. Spotkanie wyznaczono dopiero po roku i nie przyniosło ono pomyślnego rezultatu.

Zadi nie odpowiadała wymogom ambasady. Aby otrzymać wizę, osoba powinna mieszkać na stałe w Argentynie, mieć stałą pracę i posiadać majątek – Zadi nie mogła spełnić ani jednego z tych warunków.

Gdy ambasada odrzuciła jej wniosek, przez trzy miesiące wahała się, co dalej robić.

Po co mam jechać do Ameryki, do Iowa? – pytała sama siebie. Żeby spotkać się z nim, z Davidem?

Mówił jej w Hamadanie, że pochodzi z Iowa.

Ale gdzie on teraz jest? Dokąd wyjechał? Dlaczego się ze mną nie pożegnał? Urodziłam jego dziecko. Dlaczego nie przyjechał zobaczyć córeczki? Czemu to ja mam za nim latać? – mnożyła pytania.

Pamiętała, że David nigdy jej nie powiedział, że ją kocha. To ona płonęła z miłości do niego, nie on do niej.

Chciał się raz ze mną przespać i wyjechać; nie obchodziło go, czy zajdę w ciążę, czy nie. A gdzie jego poczucie odpowiedzialności? Czy wszyscy Amerykanie są tacy jak on?

Tego rodzaju rozmowy z samą sobą były jej codziennym zajęciem – do urodzenia Maryam. Dziewczynka miała teraz sześć lat. Zadi wydała jej małe przyjęcie urodzinowe, zaprosiła irańskich sąsiadów, rozwiesiła baloniki, upiekła tort.

– Gdzie się urodziła Maryam, Zadi? – spytała Parastu.

– W hammamie, w Tajrishu.

Twarz Zadi zapalała nagłym rumieńcem. Objawienie? Zaczęła mówić na głos sama do siebie, nieświadoma

obecności innych. Hammam! Właśnie, hammam! Pracowałam tam kilka miesięcy, mnóstwo się nauczyłam. Zapomnij o Ameryce i Iowa, Zadi!

– Mam zamiar otworzyć salon piękności, tutaj, w tym pokoju! – oświadczyła zdecydowanie. Trzeba było paru sekund ciszy i wybuchu balonika, który pękł w rączkach Maryam, żeby ją otrzeźwić i przypomnieć o obecności innych.

– Nazwijmy go Salonem Piękności Zadi Chanum – podpowiedziała Hadzi Chanum.

– Nie! Nie! To będzie nie tylko salon piękności. Ja chcę uczyć piękna. Będę uczyć was wszystkich i innych też. To będzie raczej szkoła piękności.

Przypomniało jej się, że kiedy pracowała w hammamie, panie mówiły ukradkiem o właścicielce, *chanum* Minie, „*chanum* Thatcher”. Przydomek „Thatcher” nadawały każdej kobiecie mądrej i znającej się na rzeczy, zwłaszcza w sprawach społecznych i politycznych. Zadi obwieściła więc głośno i dobitnie:

– Nazwę go Szkołą Piękności imienia Margaret Thatcher.

Urządzenie salonu piękności trwało krócej niż miesiąc. Trzy kobiety, Zadi, Hadzi Chanum i Parastu, pobuszowały po sklepach z używanymi rzeczami i po garażowych wyprzedazach, dzięki czemu nabyły kilka prostych, lecz wysokiej jakości zabytkowych mebli, luster i szafek. Ustawione wokół perskiego dywanu, sprzęty te tworzyły idealną scenę dla inauguracji nowej przygody Zadi.

– Zaczynamy, dziewczyny! – ogłosiła Zadi. Oparła dłonie na biodrach, a potem, zacisnąwszy pięści, przycisnęła je do piersi z entuzjazmem i determinacją.

Zacząła od pokazu *band andazi*, w którym jej dwie przyjaciółki wystąpiły jako modelki. Hadzi Chanum pasjonowała się usuwaniem owłosienia, a na twarzach dostrzegała każdy włos: spotykając dowolną kobietę, sprawdzała przede wszystkim, czy nie rosną jej włoski na twarzy – jeśli tak było, to odczuwała obsesyjny impuls natychmiastowego powyrywania ich pęsetką. Hadzi Chanum miała więc jakieś doświadczenie w usuwaniu owłosienia twarzy, natomiast Parastu była w tej kwestii zupełną ignorantką. Co więcej – drżała ze strachu na samą myśl o tym.

Dlatego też jako pierwsza modelką została Hadzi Chanum, która chętnie przystała na darmowy zabieg. Wyraźnie spodobała jej się ta rola – nie zdradzała oznak bólu, nawet gdy Parastu popełniała błąd za błędem.

Gdy jednak przyszła kolej na to, żeby Hadzi Chanum poćwiczyła na Parastu – ta druga nie potrafiła znieść zabiegu. Hadzi Chanum działała płynnie i wprawnie. Ale dla Parastu zabieg był brutalny i bolesny. Darła się wniebogłosy, rzucała głową, zaciskała zęby i napinała mięśnie twarzy.

– Chcesz być piękna, to cierp, *dżunam!* – rzekła z psotnym uśmieszkiem Hadzi Chanum.

– Jesteście potworami! – oświadczyła Parastu.

– A ty, królewno? Byłaś aniołkiem? – odpowiedziała

jej Zadi z głośnym śmiechem.

– „Jest, czym jest” – wyrecytowała Shadi Ghavami, po czym wepchnęła czubek języka pod górną wargę. – Tak mówił nasz wielki poeta Rumi. Wybierasz sobie, w co masz wierzyć, i trzymasz się tego, choćby ktoś inny nie wiem co mówił.

– Nie jestem pewna, czy Rumi to właśnie miał na myśli – odrzekła Zadi, przysuwając się bliżej do swojej klientki. Shadi Ghavami najwyraźniej przyjęła kapitalistyczny punkt widzenia odnośnie do słów poety mistyka. – *Jest, czym jest*. Bóg jest, czym jest.

Shadi Ghavami skrzywiła się, kiedy nitka szarpnęła jej górną wargę.

– Właśnie! Bo ty chcesz, żeby tak było. Au!

– No to leż spokojnie! – Hadzi Chanum cofnęła się o krok, aby ocenić swoje dzieło. Pokręciła głową. – A ja ci mówię, że wszystko to sięga w przeszłość do tamtej chwili. Do dnia, w którym my, jako ludzka rasa, zdecydowaliśmy postawić wszystko na jedną kartę. – Hadzi Chanum wyrwała kolejną kępkę włosów. – Pomieszało się dokumentnie. Już nikt nie wierzył dawnym kapłanom, nastały kulty z gadatliwymi dziewczycami. Ta chwila – to stało się właśnie wtedy. Uruchomione zostało to wszystko, co obchodzi nas dzisiaj. – Ogarnęła gestem pokój. – Rozumiesz, że mam na myśli ludzką rasę. Do której należymy.

– Ocierasz się o herezję, Hadzi Chanum – odparła Zadi, strzygąc gęste loczki.

Ciemno obrysowane oczy Hadzi Chanum zapatrzyły się w przestrzeń.

– Jestem hadzim – rzekła, wzruszając ramionami. – Mam immunitet.

Zadi przycięła następny loczek.

– Obydwie źle to rozumiecie. Rumi powiada, że podstawową potrzebą człowieka jest przekonanie, iż ktoś o niego dba. Że istnieje coś poza własną zdolnością rozumienia. – Sięgnęła za ławkę. – Żeby człowiek wiedział, że nie wie, i dzięki tej świadomości wiedział. Teraz wiecie? – Spryskała lakierem sprężyste loczki, ujarzmiając fryzurę *à la* Shirley Temple. Jej klientka, jeszcze jedna stała bywalczyni salonu, miała obsesję na punkcie loków. Kobieta zakaszłała i powachlowała ręką twarz.

– Zapomnijcie o tym, co jest słuszne, co niesłuszne, co dobre, a co złe – powiedziała, unosząc się w fotelu, klientka, której Parastu nakładała hennę. – Zacznijmy od tego, że ten świat jest szalony, jakkolwiek na niego spojrzeć. Poza tym mówiliśmy o człowieku mężczyźnie. Nie o człowieku kobiecie.

Hadzi Chanum podniosła wzrok znad nitki.

– Znowu? Tylko nie to! – jęknęła.

Laleh Maher, która w poprzednim życiu wiodła armię buntowników po stopniach parlamentu, machnięciem ręki poleciła Parastu przerwać nakładanie henny i zwróciła się

do całej sali:

– Mężczyzna musi czuć, że jest bezpieczny, że wszystko jest dla niego jasne. Dlatego wysunął ideę Boga, oddzielnej istoty wyższej „na zewnątrz”, a nie „wewnątrz”.

– Ślepy naśmiewa się z łysego! – wtrąciła nowo przybyła klientka. Trzy inne, siedzące wokół szklanego stolika do kawy, roześmiały się i pokiwały głowami.

Laleh Maher klasnęła w dłonie, usłyszawszy przysłowie.

– No właśnie! My, kobiety, jesteśmy inne. Nie potrzebujemy odpowiedzi, tylko wolności. – Wzniosła pięść. – Dajcie nam wolność! – Opuściła rękę i dała znak Parastu do kontynuacji zabiegu z henną.

– Mnie wystarczyłaby do szczęścia czekolada – westchnęła Shadi Ghavami, dotykając nagiego miejsca nad górną wargą.

Hadzi Chanum kiwnęła głową.

– I dwudziestopięcioletni parobek oplatający nogami moją boskość.

– „A oto jak rzekł Halladż: jestem Bogiem i powiedziałem prawdę”! – wykrzyknęła któraś z klientek, siedząca przy drzwiach.

Wszystkie kobiety, które do tego popołudnia były sobie w większości obce, zanosły się śmiechem.

Soheil Bahrami, zwany Kapitanem, odsunął się od drzwi salonu. Odszedł z powrotem, słysząc za sobą gwar podniesionych głosów, przenikający ściany salonu przez większość dnia. Kapitan, który lubił przespacerować się co godzinkę ośmiobocznym korytarzem, przywykł już do podsłuchiwania rozmów toczących się w salonie. Minąwszy małą kuchnię i łazienkę, znalazł się w drugiej części korytarza. Kartkował książeczkę, którą nosił przy sobie prawie zawsze. Była to jedyna rzecz, którą przywiózł ze sobą z młodości. Stąpając, rozmyślał o wersach, które obudziły go minionej nocy.

*Wczorajszej nocy śniłem, że
aniołowie zapukali
do drzwi gospody, i wyrobili
ludzką glinę, i tak powstała
czarka do wina¹.*

To, oczywiście, z Hafiza.

Kapitan okrążył już korytarz apartamentowca i spojrzał do góry. Nad szklanym dachem mieniło się niebo. Spiczasty jak wieża świetlik nad piątym piętrem obsiadało zazwyczaj stadko gołębi. Wątpliwi posłańcy podświadomego – pomyślał Kapitan. Stojąc przy szklanej ścianie, odgradzającej jedno z mieszkań, nadstawił ucha na odgłosy dochodzące zza osłoniętych kotarami wewnątrz.

Kapitan przybył to tego miasta przed rokiem. Błąkał

się po ulicach, aż znalazł dom, o którym wiele słyszał. „Nazwali go od tej książki” – pouczył go jeden z towarzyszy podróży.

Towarzysze podróży opowiedzieli też Kapitanowi o salonie, mieszczącym się na najwyższym piętrze budynku, i o kobietach, które nieprzerwanie, od świtu do zmierzchu, wchodzą i wychodzą przez witrażowe drzwi.

– One są jak pająki tkające swoją sieć, przyjacielu – powiedział któryś. – Swoją pajęczą nicią zastawiają pułapki na zwierzynę.

Tamte słowa Kapitan usłyszał tuż nad ranem. Ocknąwszy się w ciemności, zgramolił się z maty i pospiesznie rozejrzał po pokoju. Córka jeszcze nie wróciła z uniwersytetu. Większość nocy spędzała w domu; sypiała w drugiej części pokoju, za tkaniną przytwierdzoną pinezkami do sufitu.

Kapitan omiół wzrokiem resztę wnętrza, ale inspekcja ta nie dała żadnych rezultatów, nie było tam nic poza kilkoma sprzętami, zestawem do gry w tryktraka, stosikiem książek i kufrem, który Kapitan przywiózł z sobą statkiem z Turcji.

Wersy poematu chodziły mu jeszcze po głowie, gdy usłyszał głos sąsiadki, Hadzi Chanum.

Słyszał ją co rano o świcie: łagodne szuranie bosych stóp po deskach podłogi, tak delikatne, że musiał natężyć słuch, aby je pochwycić przez cieką ścianę. Mimo że nie widział sąsiadki, wiedział, że jest ona już mocno zaawansowana w swoim porannym rytuale.

Nikt nie wstawał tak wcześnie jak Hadzi Chanum, nawet młodzi Sukutowie, Homa i Reza z naprzeciwna, chociaż ci zawsze wychodzili na spacer, zanim Hadzi Chanum skończyła wirować. Dopiero wtedy Kapitan szedł do kuchenki. Wschodzące słońce kładło się na jego chudych barkach (bezsukutecznie próbowało je ogrzać, ale nie docierało do zmory mdłości, odwiecznego prześladowcy Kapitana), on zaś czekał, aż darjeeling zaparzy się w imbryku. Potem wracał z dwiema filiżankami, aby jedną postawić kurtuazyjnie pod drzwiami Hadzi Chanum, gdzie czekała na koniec rytuału.

Nigdy się nikomu nie zwierzałem, a jednak jestem pewien, że moja smętna rola Romea stanowi przedmiot potajemnych żartów całego piętra – pomyślał Kapitan. No i co z tego? Ja sam bym takiego sekretu nigdy nie zdradził. A już na pewno nie własnej córce, dla której takie wyznanie stałoby się dostatecznym pretekstem, żeby wreszcie ze mną zerwać, co powinna była zrobić już dawno. Ale ona ma wielkie *qalb*, wielkie serce, moja Szima.

Wiedziałem od pierwszego dnia – monologowałem bezgłośnie dalej, wracając myślą do Hadzi Chanum. Wiedziałem, że prawie całą resztę swoich dni spędzę na usługiwaniu takiej bogini. Przywilej – owszem; pobłażanie sobie – na pewno. Nadzwyczajna zuchwałość – bez wątplenia, gdyż bardziej niż ktokolwiek mam świadomość, że jestem niegodny tej funkcji.

Przyboczny tak oczywistej wspaniałości – a jednak

Hafiz powiada:

Co by się stało, gdyby Bóg schylił się i ucałował cię w same usta?

Niewiele mogło speszyć Kapitana po tak długim (pięćdziesiąty rok pobytu na tym i w tym świecie) czasie. Przetrzymał blisko trzy dekady więzienia, w jego żyłach tętniły tysiące umoralniających przypowieści. Jako chłopczyk w rodzinnym Tebrizie wpadł w krosna, na których tkano dywan ze złocistych i ceglanych włókien. Nić na pewien czas pozbawiła go oddechu, wywołując gwałtowny strumień pozacielesnych doznań, ale nawet tamten szok był niczym w porównaniu z przeżyciem, jakiego doznał Kapitan, wspiąwszy się po raz pierwszy na piąte piętro budynku Anna Karenina. Gospodarz domu wprowadził go do apartamentu, oświadczając, że ma szczęście, bo właśnie rano zwolnił się ten pokój na piątym piętrze. Płacąc kaucję, Kapitan złowił kątem oka jakiś ruch w szybie okna sąsiadki. Kobieta wirowała, wirowała w obłądnym tempie po nagich deskach podłogi.

Tydzień szukał Kapitan sposobu na poznanie nowej sąsiadki. Wreszcie wymyślił, że zdradzi pani z naprzeciwka, tej ślicznej, z małą córeczką, swój pomysł na kółko poetyckie. Kochał poezję i przez całe życie uczestniczył w poetyckich zebraniach.

I tak to się zaczęło, z początku od nich trojga: Kapitana, Hadzi Chanum i Zadi – oczywiście z małą Maryam. Kapitan, który najlepiej orientował się w temacie, polecił, aby każda z nich przyniosła swoje

ulubione wiersze – najlepiej strofę, którą mają na końcu języka, pierwszą, która przyjdzie do głowy, do serca; nieważne, z czym przyjdą, bo ideą pierwszych spotkań jest przełamanie lodów i przygotowanie gruntu: *talab* – pragnienie, które poprzedza *eszq* – miłość. Każdy musi odkryć własny rytm, zanim narzuci się jakiś porządek.

Krucha fiolka wewnątrz mnie często się tłucze –
– wyrecytował Kapitan wers z Rumiego, a następnie taki:

*Przyjacielu, szczęłem na wiór, próbując opowiedzieć
twoją historię, czy zechcesz opowiedzieć moją?*

Poezja była zrazu powodem ich spotkań. A przynajmniej jednym z powodów. Pozostałe należy pominąć milczeniem, jak wymaga dobry obyczaj. Ale poezja – tak, ona ich złączyła.

I tak oto coś zaczęło się kształtować, ewoluując stopniowo w jakość przerastającą wyobrażenia uczestników. Pokój Zadi był już nie tylko salonem piękności i szkołą piękności, ale też salą zebrań – sanktuarium dla kobiet i czasami mężczyzn, miejscem, gdzie sąsiedzi mogli się schodzić i rozmawiać o wszystkim. Grupa Irańczyków różnego pochodzenia, z dala od ukochanej ojczyzny, znalazła swoje jądro, pępek swojego świata. Znosili wiadomości, ploteczki, pomysły, ulubione wiersze, a co najważniejsze – własne historie. Hadzi Chanum, Zadi, Parastu i Homa tworzyły zamknięte kółko, w którego bezpiecznym obrębie mogły wyjawiać najskrytsze tajemnice swojego życia, natomiast między

Kapitanem a Hadzi Chanum nawiązała się zażyła przyjaźń.

Wieczory poetyckie, po kilku sesjach próbnych, na których ustalono nieliczne reguły, nabrały wkrótce charakteru publicznego. Dowiedzieli się o nich wszyscy irańscy mieszkańcy Buenos Aires.

Uczestniczyli w nich ludzie z *Anny Kareniny* – ci zawsze byli obecni – ale także inni. Klientki Zadi, które usłyszały o spotkaniach przy okazji wizyty w salonie, sprowadzały swoje rodziny, chętne do wzięcia udziału w czymś odmiennym, a przecież znanym. Inni dowiadywali się pocztą pantoflową. Nie byli tacy jak mieszkańcy piątego piętra. Przybywali z różnych części miasta, po spotkaniach opuszczali piąte piętro, wracali do swoich dzielnic, swojego życia i przestrzeni strzegącej ich sekretów.

Nie tak, jak ta ósemka, która mieszka na piątym – myślał Kapitan. Oni też strzegą swoich sekretów, owszem, ale w całkiem inny sposób.

Każdy był mile widziany, więc przychodzili, zbierali się wokół dywanu u Zadi, gdzie wciąż w powietrzu unosił się zapach mielonej henny. Nad atrium w hallu zapadał zmierzch i wtedy zebranie się zaczynało. Ktoś je otwierał, recytując *Zekr*, wspomnienie Boga. Nie wszyscy znali początek, więc Hadzi Chanum zaproponowała, żeby dla rozruszania odmówili *Zekr* z Koranu. Uniosła otwarte dłonie, przymknęła oczy i wyrecytowała: „*Lā Ilāha Il*

Allāh! Nie ma boga oprócz Boga!”.

Nie będąc religijną w tradycyjnym sensie, Hadzi Chanum wnikliwie pojmowała wewnętrzne działanie *Zekr*, owej impresji literackiej przepojonej wielką tajemnicą.

– Jeżeli nie ma boga oprócz Boga, to po co rozmawiamy? Po co tu w ogóle jesteśmy? – wykrzyknęła zniecierpliwiona któregoś razu Maryam, córeczka Zadi. Przez cały wieczór biegała po sali, niezdolna usiedzieć w miejscu przy matce.

Pozostali, którzy się tego dnia zgromadzili, popatrzyli po sobie, zaskoczeni zarówno celną obserwacją dziewczynki, jak i – przede wszystkim – zuchwałością swojego zebrania.

Zadi przyciągnęła córeczkę i posadziła ją sobie na kolanach.

– Bo czasem musi nam to ktoś powtórzyć, kochanie. Słowa trzeba powtarzać, żeby się stały niewymownym zrozumieniem – powiedziała.

– Ale jak się już coś zna, to się to rozumie. „Niewymowne zrozumienie” to są, moim zdaniem, słowa na pokaz – zareplikował mały chochlik, błyskając szczerbatym uśmiechem.

Miała sześć lat, ale była drobna jak na swój wiek, przez co jej wypowiedzi zdumiewały w dwójnasób.

– „Nasze ruchy w każdym momencie zaświadczają o obecności Boga” – wyrecytował Kapitan, puszczając oko do dziewczynki.

Zadi podniosła dzieło Rumiego *Masnawi* i odczytała:

*Tak jak obracający się kamień młyński zaświadcza
o istnieniu rzeki,*

*Pył niechaj spadnie na moją głowę i moją twarz,
gdyż Ty jesteś poza naszym pojmowaniem.*

Kapitan podjął wątek, a Zadi postukała lekko palcem
w czubek noska Maryam.

*Nie mogę przestać wyrażać twoje piękno,
każda chwila mówi niech dusza moja będzie Twym
Dywanem.*

I roześmieli się. Nagle, tak po prostu.

Tak bywa, gdy się zejdą pokrewne umysły – synteza
zawiera się w lekkim dotknięciu, w oświadczeniach
dziecka, co brzmią dobitnie i mówią „tak” – jakimś
sposobem w tamtej chwili wszystko było w porządku.

Ze wszystkich osób, które przychodziły na spotkania
poetyckie, nikt nie zadziwił Zadi bardziej niż Huszang
Bahmanian. Młodzieniec przybył do Anny Kareniny zimą.
Pochodził z zachodniego Iranu, z Lorestanu, gdzie był
zamieszany w rewolucję, w jakieś powstanie studentów –
choć obecnie pracował na etacie jako księgowy. Był
rewolucjonistą, radykałem. Zadi spodziewała się, że
przyniesie na spotkanie coś marksistowskiego, on jednak
wyjął książkę, z którą się nie rozstawał. Uparł się czytać
właśnie z niej, twierdząc, że wiele można się nauczyć od
sławnego filozofa Kartezjusza. Kapitan nie wyraził na to
zgody.

– Absolutnie! Na tych spotkaniach tylko poezja! –
obwieścił, gdy Huszang wyjął *Medytacje*.

– Kto tak powiedział?

– Ja. My wszyscy.

– A kimże pan jest, żeby orzekać, czym jest poezja? Jest rozsiewaniem rzeczywistości. Poszerzanie umysłu, rozumienie zrozumienia – to wszystko jest tutaj! To jest książka o tym, o co chodzi w życiu! – Huszang pomachał tomikiem nad głową.

– To nie poezja!

– Kto tak powiedział? Kim pan jest, żeby tworzyć reguły? W Kartezjuszu jest tyle poezji, ile w Hafizie czy Rumim – skontrował Huszang, zrywając się z miejsca.

Kapitan, skrzywiony, zwrócił się do Zadi:

– Nigdyśmy tego nie potrzebowali, kiedy siedziałem w więzieniu jako jeden z bractwa naszej celi.

Zadi przez chwilę nie odpowiadała.

– Mnie się zdaje, że to kwestia smaku. Semantyki – rzekła w końcu, skinieniem głowy zachęcając Hadzi Chanum do nalania herbaty. – Nie moglibyśmy czytać jednego i drugiego?

– To nie jest poezja, powiadam wam! – Kapitan uderzył pięściami po kolanach. Siedząca obok niego córka wyglądała przez chwilę, jakby miała dotknąć ojca, ale nie ruszyła się, obserwowała. Reszta kółka także siedziała w milczeniu.

– Kim pan jest, żeby orzekać, czym jest poezja? – powtórzył Huszang.

– Poezja to poezja. Poznaje się ją, kiedy się usłyszy. To nie są bajdurzenia jakiegoś zwariowanego filozofa; na

pewno nie!

– Poezja jest wszędzie – zaproponował Huszang, unosząc podbródek.

– Tak, tak. Jak powietrze i woda, i lewa noga Lenina. Funta kłaków niewarte te pańskie teorie! – zaperzył się Kapitan. – A poczuł pan już coś kiedyś, młody człowieku? Przełał pan krew za słuszną sprawę? Za miłość? Hę?

Zabębnił dłońmi w pierś i rozkaszał się.

Przez moment zdawało się, że Huszang wyjdzie z pokoju, za chwilę jednak odwrócił się, by pomóc starszemu mężczyźnie zająć pierwotne miejsce na dywanie. Hadzi Chanum podała obydwu herbatę i wszyscy popijali w ciszy.

Huszang przyniósł również tomik poezji Sadiego, *Gulistan – Ogród różany*. Po herbacie sięgnął po niego i jął recytować:

*Jeśli nietoperz nie chce
zjednoczyć się ze Słońcem,
to nie ujmie Słońcu urody.
Straciłem czas jedności; człowiek
nie jest świadom
wartości czarownego życia przed
przeciwnościami.
Uśmierć mnie. Bowiem umrzeć
w twojej obecności
słodziej jest, aniżeli żyć po tobie.*

Przymknął nawet oczy podczas recytacji; rozpościerał palce dłoni na kolanach, w miarę jak zbliżał się do

spazmatycznego finału.

Otworzył oczy, poprawił małe okulary zsunięte na czubek nosa; ręka lekko mu drżała. Tak, wywołał zaskoczenie.

Kapitan wyszarpnął mu książkę z dłoni i powiedział:

– Skoro mówiłeś o zjednoczeniu – kochanka z ukochaną, oczywiście – to pozwól, że przeczytam wiersz, jaki Sadi napisał o zjednoczeniu rodzaju ludzkiego, o jedności, jedni.

Otworzył tomik i odczytał:

*Istoty ludzkie to członki całości,
w stworzeniu jedna esencja
i dusza.*

*Jeżeli jeden członek dotknie ból,
Reszta członków poczuje się
nieswojo.*

*Jeśli nie masz współczucia dla
ludzkiego bólu,
imienia człowiek zachować
niegodnyś!*

– Przepiękne! – zachwyciła się Hadzi Chanum. – Wiecie, że ten wiersz wyryto na siedzibie Narodów Zjednoczonych?

Wszyscy to wiedzieli i byli z tego dumni.

– Taką jedność osiągniemy, mam nadzieję, my tutaj – powiedział Kapitan, spoglądając z oczekiwaniem aprobaty na uczestników zebrania.

Po tym pierwszym razie Huszang przychodził dalej na

spotkania poetyckie, ale już bez Kartezjusza. Ani on, ani Kapitan nie wspomnieli więcej o kłótni, ani na zebraniach, ani gdy mijali się w korytarzu. Obaj zrozumieli, że w tym pokoju dokona się coś niezwykłego, coś zbyt cennego, aby zaburzyć to miała – jak to ujęła Zadi? – kwestia smaku. Semantyka.

Nikt, nawet skory do sporów Huszang Bahmanian, nie chciał zakłócić tak osobliwej ciszy.

Sukutowie na spotkaniach obecni byli niemal zawsze, lecz prawie nie recytowali. Do Buenos Aires przybyli latem po rewolucji. Oboje byli nieco po trzydziestce, chociaż pewności co do tego nie miał nikt poza najściślejszym kręgiem przyjaciółek Homy z salonu. Sukutowie rzadko mówili o sprawach osobistych. W ogóle mało się odzywali – najwyżej przelotnie w korytarzu, we wspólnej kuchence albo w łaźni. Zajmowali mieszkanie obok Huszanga. W swoim pokoiku założyli pracownię malowania miniatur, które sprzedawali na lokalnym targu, w pobliżu różowego pałacu prezydenckiego. Homa, pospolitej urody i nerwowa, uparcie wbijała wzrok bądź to we własne splecione dłonie, bądź to w tacę słodkich wypieków pośrodku dywanu. Była ostatnią osobą, którą ktokolwiek z kółka podejrzewałby o wybuch podczas poetyckiej lektury.

Dyskutowano o namiętności. Homa i Reza Sukutowie milczeli, jak zwykle. Tego jednak wieczoru stało się coś dziwnego.

Omiotłam schody na dach

i okna umyłam też.

Ktoś nadchodzi,

ktoś nadchodzi –

– recytowała Zadi z przymkniętymi oczami, stopniowo wznosząc głos:

ktoś nadchodzi,

Ktoś, kto w swym sercu jest

z nami,

w swoim oddechu jest z nami,

w swoim głosie jest z nami.

Urwała.

– Jakie to piękne! Zdradź nam, kto nadchodzi, Zadi – poprosiła Hadzi Chanum.

– Ktoś, kto w swoim sercu jest z nami.

– Tak! Ktoś nadchodzi!

– *Tak!*

Ostatnie „tak” padło z lewej strony – od Homy Sukut. Homa miała szeroko otwarte oczy. Na czoło wystąpiły jej kropelki potu.

Kółko zamilkło. Po chwili odezwała się mała Maryam:

Tak, zaraz drzwi się uchylą

i wejdzie mój piękny kochanek.

Tak, wiosna zawita do ogrodu

i świeże gałązki wypuszczą

kwiecie.

Wybuch Homy Sukut był zgoła niespodziewany. Rzadko wychodziła ona poza zdawkowe powitanie, mijając kogoś w korytarzu czy na bulwarach. Co się zaś

tyczy wieczorów poezji, to zwykle przestrzegala etykiety zebrań i uczestniczyła w nich milcząco; ale powiedzieć o niej, że jest nieśmiała, to zbyt łagodne określenie – pomyślała Zadi. Mąż Homy, Reza, brał bardziej czynny udział w zebraniach, od czasu do czasu – ale nieczęsto – przynosił jakiś wiersz. Zaraz na pierwszym otwartym wieczorze poetyckim ustalono, że przyjmuje się pewne reguły; nie było wśród nich przymusu recytacji. Mimo wszystko jednak Sukutowie okazywali niezwykłą wstrzemięźliwość. Byli bardziej milkliwi niż Szima Bahrami, która z rzadka decydowała się na recytację, ale gdy już się tego podejmowała, czyniła to z taką emfazą, że wszystkim na parę minut odbierało głos.

Wybuch Homy Sukut, i to tak dobitny, był bez wątpienia szczególnym wydarzeniem. Zaskoczył wszystkich, z samą Homą włącznie.

Nie dowierzała, że coś takiego zrobiła. Naprawdę powiedziała głośno „tak”?

Owszem, powiedziała. Co sobie wtedy myślała?

Wiedziała dokładnie, co myślała, tak samo jak Reza. Nikt nie zająknął się o tym na spotkaniu, ale Homa i tak czuła, że wypada usprawiedliwić wybuch. Nazajutrz, kiedy Reza poszedł na targ, zapukała do drzwi salonu. Dwie klientki, które tam były, właśnie szykowały się do wyjścia.

Hadzi Chanum przerwała wykonywane zajęcie.

– Homa! Kobieta, której akurat nam potrzeba! Co sądzisz o królowej Saby, hę? Uważasz, że powinna była

ogolić nogi dla Salomona?

– No... ja nie wiem. – Pytanie zaskoczyło Homę z opuszczoną gardą. Zatrzymała się nieśmiało przy drzwiach.

– Tylko pamiętaj, że nie miałybyśmy co tu robić, jeżeli nie ogoliła – roześmiała się Hadzi Chanum, gestem zapraszając Homę do środka.

– Byłaś kiedyś zakochana, Hadżi Chanum? – zagadnęła Parastu Etemadi.

Hadżi Chanum przerwała swoje zajęcie i spojrzała po sali.

– Cóż, wiecie wszystkie, że byłam mężatką...

– Kilka razy – wtrąciła Shadi Ghavami.

– Tak, kilka razy. Dziękuję ci! – Hadżi Chanum ucięła kawałek nitki z dużej szpuli.

– Ale z miłości, Hadżi Chanum? – Parastu popatrzyła na nią z nadzieją.

– Z miłości? Za każdym razem, *ma chérie*, za każdym razem. – Hadżi Chanum zamachała rękami w powietrzu. Zamilkła na chwilę. – Nie. Tylko raz.

– Raz to dość – orzekła Shadi Ghavami.

– Więcej niż dość – dorzuciła druga klientka.

Hadżi Chanum pokręciła głową.

– Nie, mylicie się! Nigdy nie jest dość. Nie, nigdy dość.

Gdy obie klientki wyszły i salon posprzątano, usiadły wszystkie na dywanie: Zadi, Homa, Parastu i Hadżi Chanum, która szykowała się dokończyć opowieść.

– On nazywał się Jalalladin Ansari, a ja miałam piętnaście lat. Przyszedł do mnie jak sen, w czasie kiedy snów potrzebowałam bardziej niż czegokolwiek. „Otrząsnę pył z mojego płaszcza i powstanę”. Ale historia

mojego jednego jedynego rozpoczyna się parę lat wcześniej, w dniu moich dziewiątych urodzin, w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym. W tym roku mój ojciec udał się na pielgrzymkę do Mekki.

Matki nie było już od roku. Zostawiła nas i wyjechała do Europy. Jeździła do Europy dwa razy na rok: wiosną do Paryża, a jesienią do Londynu. Wtedy prezentowano najlepsze kolekcje, były to sezony mody i pięknych ludzi. Pięknych, jak piękne są królowe o kamiennych twarzach, chudych, białych, okrytych od stóp do głów skórami martwych zwierząt. Tak też ubierała się przez większość czasu moja matka: owijała się w futra, a twarz pudrowała tak grubo, że jej policzki wyglądały jak sweter z angory.

Nigdy nie byłam blisko z matką. Gdyby nie rozstępy na jej biodrach – srebrzyste zygzakowate linie, które godzinami potrafiła oglądać w lustrze toaletki – przysięgłabym, że mnie wcale nie urodziła. To była jedyna pora dnia, którą z nią spędzałam: wtedy kiedy tkwiła przed toaletką. Kończyła kąpiel z olejkiem różanym z kozim mlekiem i siadała, żeby szczotkować swoje kręcone rude włosy.

Te jej włosy miały wypisz wymaluj kolor szafranu, a farbowała je wodą utlenioną w salonie fryzjerskim pozującym na zachodni – nie henną, jak my tutaj. Fryzurę miała jak roztańczone dziewczyny w jej brytyjskich magazynach mody.

Codziennie po szkole wspinałam się po marmurowych schodach na trzecie piętro, gdzie znajdowały się jej

sypialnia i buduar, i po cichutku wślizgiwałam się do parującej wanny. Potem siadałam na złotokremowym szezlongu w stylu Ludwika XIV w najdalszym końcu pokoju i patrzyłam, jak matka szczotkuje swoje krótkie, płomienne włosy. Dokończywszy sto pociągnięć szczotką – zawsze sto, wierzyła bowiem, że ta liczba sprawi, iż włosy zgęstnieją przez noc – matka zerkała na mnie w lustrze i uśmiechała się.

„Ładna jest dzisiaj twoja *maman*, Nikki-*dżan*? Czy jestem najładniejszą *maman* w całym Szirazie? No, śmiało, możesz powiedzieć mi prawdę. Ty i ja potrafimy dochować sekretu. A jak tam było dzisiaj w szkole? W jakich butach przyszła *chanum* Anvari na lekcję arytmetyki? Drogich z wyglądu? Ze spiczastymi czy raczej zaokrąglonymi czubkami?”

Nigdy nie myślę o matce z goryczą. Musiała trzymać pewien standard jako żona nowego szefa policji Szirazu. Szach wybrał na to stanowisko mojego ojca spośród ścisłego kręgu zaufanych osób – tych, którzy stali u jego boku, gdy maszerował na Teheran obalić króla z dynastii Kadzarów. Szach chciał, żeby wszyscy w jego kraju ubierali się i zachowywali jak na planie filmowym, najlepiej filmu gangsterskiego. Panowie w trzyczęściowych garniturach, panie w jedwabnych sukniach i czarnych szpilkach.

Był to kompletny absurd, jak się tak zastanowić. Ten lud od tysięcy lat chodził w workowatych pantalonach i tunikach bez rękawów, kobiety nosiły długie pstre

spódnice i co do jednej owijały splecione włosy *rusari*. A tu przychodzi nowy szach i ostrzega, że jeśli któraś wyjdzie z domu z zakrytą głową, zostanie wtrącona do więzienia! Możecie w to uwierzyć?

Moja matka oczywiście uwielbiała nowe mody przychodzące z Ameryki i Europy. W marcu, ledwie dobiegły końca obchody nowego roku, wyciągała swoich siedem walizek. Olbrzymich waliz ze skóry aligatora. Walizy z aligatora były puste, gdy wyjeżdżała do Europy, ale pękały w szwach od *haute couture*, kiedy wracała do domu.

Cięte ze skosu suknie z karczkiem zdobionym sztucznymi diamentami, a na to etole z gronostajów z oczkami z paciorków. Kremowe rękawiczki z koziej skóry, zapinane na guziki aż po łokcie, kloszowe kapelusze przybrane pawimi piórami.

Walizy zawsze wracały pełne – poza tym jednym razem. Wyjeżdżając do Londynu pod koniec września, matka nie wzięła z sobą swoich aligatorów. Piętrzyły się piramidą w gościnnym pokoju, gdzie zostawiła je minionej wiosny. Nie miała już wrócić do Iranu. Porzuciła ojca i mnie; porzuciła róże, wino i pieśni Szirazu.

Minęły lata, zanim zobaczyłam ją znowu i spytałam, dlaczego wyjechała. Do tego czasu jednak sama już nieraz coś zyskałam i coś straciłam, o wiele lepiej rozumiałam więc potęgę miłości. Siebie też rozumiałam lepiej.

– Pamiętacie dolinę oszołomienia z baśni *Konferencja ptaków*? To oczywiście jeden z filarów opowieści. Ptaki

muszą doświadczyć oszołomienia, zanim osiągną końcową jedność. – Hadzi Chanum urwała i popatrzyła po sali. Wszystkie – Homa, Parastu i Zadi – słuchały jej z przejęciem. – Tak też ja trwałam w oszołomieniu do dnia, w którym skończyłam dziewięć lat. Większość zdarzeń z wcześniejszych lat nie ma w mojej pamięci kształtu. Ani nawet koloru.

Tak przedstawia się świat, kiedy wiruję o poranku. Gdy kręcę się w miejscu. Jeżeli nie mam trzonu, który by mnie przytwierdzał do ziemi, do siebie – jestem stracona dla świata. Nie widzę nic z przelatujących obok rzeczy. – Hadzi Chanum opuściła ręce po bokach. – Tak samo wyglądało moje życie do dziewiątych urodzin, kiedy doznałam ukłucia. Ostrego ukłucia.

Ranek, pamiętam, był wyjątkowo mroźny. Koniec stycznia, ale w Szirazie nawet w środku zimy temperatura rzadko spada poniżej piętnastu stopni. Dlatego słowik wybrał sobie to miasto na miejsce igraszek: przez okrągły rok słowiki parzą się i wyśpiewują swoją pieśń – nie odlatują do Afryki, jak ich angielscy pobratymcy.

Obudziłam się z myślą o słowikach. Miałam o nich koszmarny sen, związany jakoś z baśnią, którą niania Feze opowiadała mi poprzedniego wieczoru na dobranoc.

Feze, niech ją Bóg ma w swojej opiece, była poczciwą i łagodną duszą, ale czas, kiedy rozdawali bystrość umysłu, przespała chyba pod drzewem orzecha. Na pewno nie powinna była opowiadać mi przed snem bajki o słowiku kąpiącym się we własnej krwi.

Co za okropny sen! Las pełen słowików o małych zielonych łapkach wyprężonych sztywno w górę i delikatnych piersiach przeszytych długimi kolcami. Krzyczałam, biegnąc nago przez ten ciemny las, w którym padała deszczem krew omdlałych słowików.

Obudziłam się z krzykiem, złana zimnym potem. Pot ściekał mi po twarzy i całym ciele w kałużę pode mną. Czułam, że tonę w swoim łóżku z baldachimem, osłoniętym satynowymi falbanami. Jediną rzeczą, którą widziałam przez satynę i fałdy tej puchowej jaskini, były szerokie okna w przeciwległej ścianie pokoju.

Malował się na nich mróz. Możliwe też, że targał nimi wiatr, ale przez własne wrzaski tego nie słyszałam.

„Nikki-dżan! Co się stało? Aj! Co się dzieje, co ci się przyśniło?”

Niania zerwała się ze swego legowiska – maty obok łoża z baldachimem – i jęła potrząsać mną za ramię jak szmacianą lalką. Jej grube czarne warkocze, powiązane wielobarwnymi wstążkami, śmigają przede mną niczym wystrojone węgorze. Majtały się w tył i w przód, a Feze wytrząsała ze mnie sen.

Pochlipując, opowiedziałam jej swój koszmar o szkliskich słowikach.

„Ależ słowiki nie umarły! – zapewniła mnie Feze. – Zimno im pewnie na dworze, ale żyją; śpią sobie w swoich gniazdach”.

Zaciągnęła mnie do siedziska w niszy okiennej. Nasadą dłoni poprzecierała dwie szybki, żebyśmy obie

mogły wyrzeć. Na dworze właśnie świtało. Płatki i liście wirowały na wietrze.

Woda w kanale płynęła wolniej niż zazwyczaj, ale poza tym wszystko poruszało się szybko; nawet cyprysy i palmy pod ogrodowym murem chłostały się wzajemnie na wietrze. Przypomniało mi to pochody męczenników w święto Aszura, podczas których mężczyźni chłoszczą się łańcuchami.

Tylko raz, rok wcześniej, widziałam sztukę pasyjną, siedząc zresztą w tym samym oknie.

Matka zabroniła mi surowo oglądać uliczny pokaz *tazije*, który skłaniał dorosłych mężczyzn do płaczu nad Husajnem, wnukiem proroka Mahometa – ale wślizgnęłam się do jej pokoju, gdy brała swoją mleczną kąpiel, i zobaczyłam czarny sznur ludzi, skandujący i chwiejący się do taktu, w alei poza murem naszego ogrodu.

Brzęk łańcuchów, które milkną, zanim dosięgną poranionej skóry, to odgłos, który pozostaje w człowieku na zawsze.

Drzewa granatów wydawały inny dźwięk. Choć były bardziej krzepkie od reszty, nie spotkał ich lepszy los: wszystkie owoce, ostatnie w sezonie, pospadały na ziemię.

Feze miała rację: dwa ptaszki, Lejla i Madżnun – nazwałam je imionami słynnych kochanków z powieści Nizamiego – uplotły nowe gniazdo z gałązek cyprysa w dołku pod krzakami granatowców. Zaprzyjaźniłam się z tą parą ptaków wczesną jesienią, mniej więcej wtedy, kiedy matka wyjechała do Londynu.

„Za parę chwil Lejla i Madżnun zbudzą się i zaśpiewają ci pieśń urodzinową, Nikki-dżan. – Tłuste policzki Feze nadęły się z przejęcia. – Dziś twoje dziewiąte urodziny, małpeczko! Dziś stajesz się kobietą!”

Roześmiała się i otoczyła mnie ramionami, grzebiąc moją głowę w czeluści swego obfitego biustu. Feze była Kaszkajką, członkinią plemienia. Nocami, gdy byliśmy same, opowiadała mi historie o swoim ludzie, o rodzinie, którą zostawiła.

„Nigdy nie uciekniesz od miejsca, do którego należysz, moja mała” – powtarzała.

„No, dość tych głupstw! – zdecydowała Feze, odciągając mnie od okna. – Musimy cię wyszykować. Dziś przyjdą twoje ciotki, żeby cię zabrać gdzieś na urodziny”.

Ciotki były siostrami ojca. Dwie okrutnice. Nigdy ich nie lubiłam i wiedziałam, że wcale ich nie obchodzę.

„Powinieneś ją wysłać do szkoły z internatem, Ephramie – perorowały podczas swoich wizyt. – Przecież to istny małpiszon, dziczeje tutaj. Spójrz tylko na jej buty, na jej włosy!”

Ojciec pomrukiwał, ale nie raczył oderwać wzroku od gazety.

Gdy Feze powiedziała, że mają po mnie przyjść ciotki, zrobiło mi się ciemno przed oczami.

„Muszę się z nimi spotkać?”

„Co za pytanie!” – Feze naciągnęła na mnie przez głowę urodzinową sukienkę, istny koszmar z koronki.

„Ale dlaczego?”

„Bo to twoja rodzina. Dadzą ci dzisiaj mnóstwo prezentów”.

Widziałam jednak, że Feze sama nie jest do tego przekonana. Zawsze gdy się zdenerwowała, drżało jej miejsce pod lewym okiem. W tym momencie odstawiało popisową tarantelę.

Niania poprawiła mi sukienkę i zaprowadziła mnie na spotkanie z ciotkami.

A może jednak miała rację – myślałam później. Ciotki przez cały dzień były wyjątkowo miłe; zabrały mnie do kilku eleganckich sklepów i kupiły mi duże lody w rożku.

Wzięły mnie także do salonu piękności, nowego zakładu specjalizującego się w zabiegach na wzór zachodni. Ciotki zdecydowały, że trzeba mnie porządnie ostrzyc. Fryzjerka obcięła mi włosy – które spletałam zwykle w pojedynczy długi warkocz – w krótką bombkę, identyczną jak fryzura mojej matki.

Byłam strasznie zemocjonowana. Ale gdy pokazałam się ojcu, doświadczyłam uczucia pustki w żołądku.

„Baba! Spójrz! Zobacz, co mam!”

Okręciłam się w koronkowej sukience, z nową fryzurą muskającą moją twarz. Ciotki już wyszły, oddały mnie z powrotem pod opiekę Feze. Niania stała obok mnie, przygryzając wargę.

Ojciec podniósł się od jadalnego stołu, przy którym czytał gazetę. Obszedł go, żeby znaleźć się przy mnie. Górował nade mną; pamiętam, jak się nachylił, aby jego twarz znalazła się na wysokości mojej.

Wymierzył mi policzek.

„Nigdy nikomu nie dawaj dotknąć swoich włosów” – powiedział, po czym wrócił na miejsce.

Uciekłam na górę, zanim Feze zdołała mnie złapać, i weszłam do buduaru matki. Pokój zamieniono na magazyn, ale toaletka nadal w nim stała, zakryta kocem. Ściągnęłam koc i stanęłam przed lustrem. Przyjrzałam się swojej nowej fryzurze i sukience. Włosy ścięte w bombkę wyglądały ładnie i wyzywająco, kontrastowały z koronkową sukienką.

Ślad po uderzeniu dojrzywał na moim policzku. Był ciemnym, czerwonym stemplem.

Zamrugałam. Coś poruszało się w lustrze. Zamrugałam ponownie. Stała obok, o centymetr, może dwa ode mnie. Przesunęłam się odrobinę w prawo, ale tamta osoba stała nieruchomo. Po chwili, bardzo powoli, przysunęła się znów bliżej.

Miała moją fryzurę. Taki sam czerwony policzek.

Nigdy więcej nie spojrzałam w to lustro.

Szima Bahrami obserwowała z góry wieczorny tłum na chodniku. Z założonymi rękami i długimi nogami skrzyżowanymi w siadzie po turecku stanowiła uderzającą, imponującą figurę na tle kolumn gmachu uniwersytetu; jej laboratoryjny fartuch, krótkie ciemne włosy i sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu tworzyły kombinację niezborną niczym doryckie kolumny na południowej półkuli. A może to przemawiało jej ego, jej *nafs*. Może to ono kazało jej snuć takie myśli.

Z zewnątrz Szpital Centralny Santa Maria był blokiem wapienia z gotyckimi szczelinami okiennymi. Wewnątrz jeszcze bardziej przypominał grobowiec. Wzdłuż korytarzy, z których od dawna nie korzystano, migotały lampy.

Szpital został zlikwidowany przez rząd, jeszcze zanim Szima zaczęła studia. Trzecie piętro, gdzie dawniej leżeli obłożnie chorzy pacjenci z różnymi dolegliwościami, uruchomiono dopiero niedawno, specjalnie dla studentów uniwersytetu. Gdy Szima opowiedziała, co się dzieje w szpitalu – niezapowiedziane wizyty milicji, rutynowe przesłuchania – dało to Helen dodatkowy powód do wyjazdu z Buenos Aires.

– Pomyśl tylko – powiedziała Helen. – Jest rzeka, droga. Ruch naprzód, pokonywanie oporu nurtu. – Wraciała do Amazonii i do projektu, który pierwotnie przywiódł ją

do Ameryki Południowej. – Będą potrzebowali lekarzy – ciągnęła Helen.

Szima milczała.

– Powiedz mu, że wyjeżdżasz dopomóc w ocaleniu miłości, źródła wszystkich wierszy – poradziła Helen, gdy Szima napomknęła o ojcu. – On to zrozumie.

Lecz jak mogła to powiedzieć swojemu ojcu, który pragnął czegoś innego? Który miał całkiem inne pojęcie o miłości?

Który sądził, że między nią i Helen coś się dopiero zaczyna, podczas gdy to się kończyło?

Poznały się na wykładzie. Szima przybiegła spóźniona z Barrio Norte, gdzie miała poprzednie zajęcia, bo tam mieściła się większa część uniwersytetu. Wpadła zdyszana do szpitalnej auli i zobaczyła stojącą przed katedrą kobietę z wazonem orchidei.

Helen omawiała właśnie wpływ fotosyntezy na życie roślin. Co się dzieje, gdy roślina spotyka się z promieniami słońca? Oddycha, wydzielając energię.

Do Szimy, która łapała dech, słowa Helen docierały jak nagłe fale światła.

– Pierwszy. Ostatni. Wewnętrzny. Tylko ten oddech. Oddychająca istota ludzka. – Helen z czułością dotknęła orchidei. – Tlen wędruje w górę od korzenia do łodygi. Otwiera płatki kwiatu. Jednoczy je ze słońcem. Ze światłem. Z najwyższą Boskością.

Szima poczuła, że drży. Nigdy nie słyszała, aby ktoś z Zachodu cytował Rumiego. Helen ciągnęła wykład:

– Sufici, heretycy islamu, praktykują wiarę w moc Ukochanego, kręcąc się w miejscu. W tańcu. – Helen ujęła łodygę orchidei. – Z jedną dłonią opuszczoną ku jądro ziemi, a drugą wzniesioną do słońca, oddają Bogu cześć, obracając się wokół własnej osi. – Palcami nakreśliła spiralę wokół grubej łodygi. – Wdech i wydech, na pamiątkę źródła, które wszystkich nas łączy. – Helen rozpostarła dłoń ponad kwiatem. – Oddech. Żywioł miłości. – Podniosła wzrok. – Weźcie oddech. Teraz. Przestańcie myśleć. Myślenie wszystko burzy.

Szima nigdy jeszcze nie spotkała kogoś takiego jak Helen. Helen była ekolożką kierującą projektem w Amazonii i pojawiła się na uniwersytecie jako gościnny wykładowca.

To, że Szima przesiąknięta była irańską kulturą, uczyniło ją naturalnym źródłem inspiracji dla wszechświata Helen.

Szima czuła się jak małeńki pęd – światełko, istotka – ilekroć Helen muskała ją ustami albo rozpościerała swoje długie włosy na jej nagich piersiach. Stała się dla Helen równie niezbędna jak oddech.

Helen spędziła dotąd w mieście tylko parę tygodni, ale już знаła miejsca, gdzie warto pójść, i ulice, na których warto się pokazać. Znała zakątki, o których istnieniu Szima nie miała pojęcia: ukryte ogrody i kafejki, w których przesiadywały, gadając, pijąc wino i mate – gorzką miejscową herbatę. Muzycy grali na bandoneonach i nie okazywali zdziwienia, gdy Helen prowadziła Szimę

w tańcu na parkiecie. Szima paliła się ze wstydu za swój brak koordynacji ruchów, za długie nogi, które nie wiedziały, gdzie ma stawiać, za ramiona, które zdawały się sterczeć na boki, zdążając donikąd.

Ale przy Helen Dwyer nigdy nie musiała oglądać się za siebie, nigdy nie musiała szeptać, wchodząc do sali, w obawie, że jej niezdarne ciało i głos zakłóca spokój firmamentów. Przy Helen mogła być beztroska, a jednak hołubiona.

I właśnie to chciała powiedzieć ojcu. Nazajutrz, po zebraniu poetyckim.

Ojciec Szimy przybył do Buenos Aires wcześniej niż ona, statkiem z Ankary. Uparł się pojechać pierwszy, żeby przygotować miejsce.

Wyjechał z Iranu do Ankary, gdy wypuścili go z więzienia. Szima zastała go czekającego w drzwiach pod małym pokojem, który dzieliła z matką od ubiegłorocznego rozstania rodziców. Matka zmarła przed sześcioma miesiącami z powodu choroby. Szima oznajmiła to ojcu, gdy stali w alkowie.

Zagadnął ją o męża. Ulice Ankary żyły takimi historiami; każdy tu znał cudze wstydlive sekrety. Taki okropny wstyd. Szima straszliwie schudła: wyglądała jak kościotrup, miała zapadnięte policzki. Mąż obszedł się z nią podle. Ojciec zrozumiał ból, który wycierpiała.

Huszang Bahmanian udawał się na główny plac. Na ulicach panował spokój, tylko parę postaci okupowało parkowe ławki, przechodniów nie było widać. Szedł chodnikiem, po drodze dotarł do pomnika ofiar wojny i okrążył go.

Myślę, więc jestem.

Kartezjusza odkrył tak samo jak wiele innych rzeczy. Cechowała go wrodzona, nieposkromiona ciekawość – ciekawość, która nie dawała mu spocząć, gdy natknął się na jakieś pytanie. Rozwinął też w sobie zdolność księgowania wiedzy, jak w rachunkach: osiągnięte zostało coś ponad poprzedni stan... Liczyć to wiedzieć. Jakby z przyznaniem numeru przedmiot nabierał nieśmiertelności, dosięgł boskości. Przecież o to właśnie chodzi w kapitalizmie, prawda?

Myślę, więc jestem.

Pochodził z ludu nomadów, wędrującego po północnych równinach Lorestanu przez dziewięć miesięcy w roku, od jednej prowincji do drugiej, z owcami i bydłem, które wypasali. Co za proste życie: brać tylko to, co potrzebne, znać swoje miejsce w machinie rzeczy.

Gdy Huszang podrósł, pomagał ojcu nadzorować i liczyć stado. Teraz te proste umiejętności przekuł na sposób zarabiania na życie.

Myślę, więc jestem.

Więc to musi być Zadi Heirati – powiedział sobie. Bo myślał stale tylko o niej.

Myszę o niej, więc jestem.

Palmy na placu chwiały się w słońcu wspinającym się nad gmach prezydencki. Huszang miał z rana parę godzin dla siebie, zanim udał się do śródmieścia, gdzie pracował w międzynarodowym biurze rachunkowym.

Dzień w dzień siedział w wielkiej sali wraz z rzeszą innych, wszyscy pozamykani w boksach jak króliki, bębniący w klawiatury dużych kalkulatorów, wypełniających kolumnę za kolumną bezsensownych liczb. Podczas pracy na zautomatyzowanych urządzeniach Huszang rozmyślał o Kartezjuszu, a jeszcze częściej – o Zadi.

Pierwszy raz ujrzał ją wkrótce po wprowadzeniu się do Anny Kareniny. Stała na schodkowej drabince i wymieniała tę piekielną żarówkę na ścianie przy dębowych drzwiach.

Obserwował, jak Zadi szykuje się do pracy w swoim saloniku: zwija nić, poleruje lustro, sięga po książkę, którą zdąży przejrzeć, zanim przyjdzie pierwsza klientka – a wszystko to z wyrozumiałym uśmiechem.

Jej postawa; jej oczy, które patrzyły poza to, co przed nimi.

Była boginką. Nie istotą równą jemu, wiedział o tym. Któregoś dnia usiłował jej to powiedzieć, ale wszystko poknocił. Najwidoczniej nie radził sobie bez cudzych słów.

Znał dziewczyny na uniwersytecie: dobre, zdrowe dziewczyny, z ogniem powołania. Żadna jednak nie działała na niego tak jak Zadi. Patrząc na nią znaczyło patrzeć na boskość. Co za kobieta! Przybyła z tak daleka, żeby walczyć o to, w co wierzy. Miała w sobie nieustanny impet, który ją pchał do działania, do tworzenia czegoś dobrego, do starania o miejsce, które już widziała na horyzoncie, lecz musiała jeszcze pochwycić... osiągnąć... Boże!

Taka kobieta sprawia, że człowiek jest gotów uwierzyć właściwie we wszystko.

Budziła w nim pragnienie, opętanie. Odczuwał to zniewolenie, stan opętania, jak prawdziwy obłąd. Nigdy dotąd nie rozumiał, co to znaczy być Madżnunem, szaleńczo zakochanym, jak w poemacie Nizamię. Chciał opętać ją tak, jak ona opętała jego.

Jej się wydawało, że potrafi ukryć swoje zmagania, swój ból, ale on ją przejrzał. Na wylot.

Za piątym okrążeniem placu Huszang ujrzał po raz pierwszy Matki, *Madres de Plaza de Mayo*. Zaczynały się właśnie schodzić na swoje zwykłe miejsce pod pomnikiem, uzbrojone w transparenty, owinięte w białe szale z imionami swoich dzieci. Zbierały się tam co czwartek, żądając powrotu swoich dzieci zabranych przez milicję.

Huszang opowiedział Zadi o Matkach. Już o nich słyszała, ale nigdy nie widziała, jak zbierają się na placu. Huszang bardzo chciał, żeby je zobaczyła.

Mijając grupę kobiet w białych szalach, odwrócił wzrok. Czuł się winny, gdy na nie patrzył. Okrężały pomnik jak ludzie w Mekce, z plakatami i transparentami. Może naprawdę wierzyły, że odnajdą stracone dzieci, a może ich potrzebę fizycznego kontaktu zastąpiło coś niewymownego.

Więc życie?

Czemu to takie niemożliwe?

Tym, co na niego działało, co przyciągało go do rewolucji, był ten wewnętrzny zwrot w człowieku – to, co działało się z ludźmi wzniesionymi rewoltę: zmiana od środka, przeistoczenie w kogoś innego. Za to pokochał poezję. Dlatego ciągnęło go do słów. Rozumiał wersy, które do niego krzyczały. Rewolta, obrót w obrocie.

Huszang Bahmanian stanął w drzwiach do salonu.

– Witam panie, witam!

Wyglądał na nieco zażenowanego. Miał zmierzwiłone włosy i podekscytowany głos. Patrzył na Hadzi Chanum.

– Oglądałaś telewizję, Hadzi Chanum?

– Dzisiaj nie – odrzekła. – Co tam nowego, piękniśiu?

Huszang potrząsnął pięścią i głos mu się załamał.

– Zaczęło się! Zaczęło się!

Parastu, przerażona, przerwała nitkowanie.

– Ale co?

Jej klientka odwróciła głowę.

– To prawda. Słyszałam, że się zaczęło.

Zadi zwróciła się do Huszanga.

– Co się dzieje?

– Następna wojna, *chanum* Heirati. Brytyjczycy przypuścili inwazję na wyspy, Margaret Thatcher ze swoją armią.

Była to prawda. Telewizor w bawialni Hadzi Chanum, gdzie odbywały się także dłuższe zabiegi salonu, potwierdził wiadomość: wojska brytyjskie są w drodze. Nikt jednak nie znał powodu ani istoty sprawy.

Hadzi Chanum pokręciła głową, naprężając nić na podbródku Narges Tapesz.

– Mam nadzieję, że wreszcie zrobiła coś z tym zarostem na twarzy.

Wszyscy na nią spojrzeli. Wzruszyła ramionami.

– To długa historia – rzekła, uśmiechając się porozumiewawczo do Zadi.

Huszang skinął głową.

– W takim razie ja już pójdę. Wracam na plac. Ale się dzieje!

Kapitan, który stał w korytarzu, skrzywił się i potrząsnął głową.

– Za grosz szacunku. Gdzie twoje poczucie przyzwoitości?

– Przyzwoitość jest dla słabej na umyśle burżuazji – odparł Huszang i odszedł pośpiesznie.

Kapitan spojrział w ślad za nim z dezaprobatą.

– Burżuazji!

– Ja nie rozumiem – poskarżyła się Narges Tapesz.

– No właśnie! – rzekła Hadzi Chanum, kręcąc głową. – No właśnie, Narges-*dżan*.

I wyszarpnęła jeszcze jeden włoszek z podbródka klientki.

Dokończywszy zabieg *band andazi*, Zadi przeszła do specjalnej półki z pachnidłami, wzięła z niej mały słoiczek i jego zawartością spryskała klientkę. Niebiański zapach nosił nazwę *Ehsas* – Uczucie. Cząsteczki pachnidła błyskawicznie rozniosły się po salonie, wywołując atmosferę ożywienia i zmysłowości – przeniosły wszystkie panie w krainę miłych doznań duchowych. Natychmiast zapomniano o tym, co działo się na zewnątrz, o wiadomościach, o wojnie, o słowach Huszanga.

– To naprawdę esencja życia – westchnęła Parastu, która sprawiała wrażenie *mast*, pijanej od perfum.

Podniosła atmosfera przywiodła Zadi na myśl babcię.

Gdy Zadi miała siedem lat, jej babcia – sensacyjna piękność – zdradziła wnuczce znaczenie swojego pachnidła. Jego nieodpartą moc.

– Odkryj ją – mawiała babcia Szeherazada – a nikt nigdy nie zdoła cię oszukać. Nie daj się zwieść egoizmowi ludzkich pragnień. Odkryj swój zapach, a zajdziesz, dokąd tylko chcesz, zostaniesz, kim tylko chcesz, Szeherazada-dżan.

Lato przyszło i przeszło szybko tamtego roku. Jej rodzice umarli w czerwcu. Spali, gdy gaz przeniknął do ich sypialni i zabił oboje błyskawicznie i cicho. Choć w opowieści siostry ojca Zadi wyglądało to tak, jakby sami prosili się o śmierć.

– Ona trzymała palce w jego włosach, jakby je czesała. Możesz uwierzyć w coś takiego? – wykrzyknęła ciotka.

Ten obraz towarzyszył Zadi przez całe lato: jej młoda matka tuląca głowę ukochanego, zawłaszczająca ją, pocieszająca, w geście zarówno władczym, jak i celowym – jak gdyby rzeczywiście czesała palcami ciemne włosy męża, przygotowując go do konfrontacji z tym, co ma nastąpić.

Myśl o tym koła smutek Zadi, nawet jeśli intencją ciotki było coś wprost przeciwnego. Nie stanowiło żadnej tajemnicy, że siostry ojca nie są szczęśliwe z racji zamieszkania Zadi razem z nimi, w babcinym domu w Hamadanie.

Jej zapach. Wkrótce miała go odkryć i zacząć dostrzegać piękno w rzeczach. W samej naturze.

Stało się to po pogrzebie rodziców. Babcia Szeherezada pozwoliła jej spenetrować resztę domu. Zadi wyszła do sadu, rozciągającego się aż po zewnętrzny mur, gęsto obrosnięty wilcem. Sad był piękny, ale Zadi z nadmiaru smutku zdolna była jedynie usiąść pod persymonami i gapić się w trawę. Jej umysł był do tego stopnia przepojony smutkiem, że prawie pusty.

I tak właśnie zastała ją babcia Szeherezada.

– Jesteś gotowa ujrzeć magiczne miejsce, malutka? Miejsce wypełnione światłem? – Babcia Szeherezada uśmiechała się do niej szeroko. Miała na sobie czador i ulubione *rusari*, które wkładała tylko przy ważnych

okazjach. – No, co ty na to? Jesteś gotowa zejść na chwilę na ziemię, zanim znów porwie cię w górę?

Nie czekając na odpowiedź, babcia chwyciła Zadi w ramiona. Chwilę później przeszły przez zieloną bramę posiadłości i skierowały się ku przystankowi tramwajowemu na rogu ulicy.

W owym czasie w Hamadanie jeździły jeszcze tramwaje konne, mimo że po szosach śmigały już z rykiem fordys i paykany. Babcia była osobą zbyt praktyczną na automobile.

– To początek końca dla naszego kraju – mawiała. – Nawet jeżeli wszyscy sądzą odwrotnie. Widzisz, malutka, prędkość ciała – bo tym są w istocie auta; prędkość atomów w ludzkim ciele jest jak grad kul bijących w istotę bycia – ta prędkość ciała nie pozostawia duszy czasu na poznanie Boga. Jak można go poznać przez cały ten świst i pęd powietrza? – Babcia Szeherezada uśmiechnęła się. – I to samo dotyczy osobistego zapachu.

– Dokąd jedziemy, *maman bozorg*? – Zadi musiała skakać, żeby nadążyć za silnymi nogami babki.

– Żadnych pytań, *dżunam*. Jeszcze nie teraz. Tylko cisza. Po prostu podążaj za ciszą. Ona cię poprowadzi właściwymi ścieżkami, wcześniej czy później.

I babcia zdążyła dalej sprężystym krokiem.

Nie było ciszy na ulicach Hamadanu, a już na pewno nie w tramwaju, w który wsiadły za murami rezydencji. Zadi przypomniała sobie, jak wystawiała ucho przez okno tramwaju w nadziei, że usłyszy odpowiedź, ale słyszała

tylko konie, kupców zachwalających krzykiem towary na bazarze i jęki modlitw z meczetu. Babcia zapowiedziała jej, że jadą w bardzo specjalne miejsce, miejsce magiczne. Wszystko, co Zadi wiedziała o magii, pochodziło z kina, z filmów Disneya wyświetlanych w kinoteatrze. Był więc latający słonik Dumbo i był Pinokio z coraz bardziej wydłużającym się nosem. Magia była amerykańska. Nic z tego, co Zadi widziała przez okno tramwaju, nie miało w sobie choćby krzty magii.

Ale ulica, na którą zabrała ją babcia, nie była zwyczajna. Było to inne miejsce, miejsce magiczne.

Wysiadły z tramwaju. Babcia Szeherezada poklepała Zadi po wierzchu dłoni.

– Znasz baśń o Ali Babie, opowiadałam ci ją – przypomniawszy. – O jaskini i czterdziestu rozbójnikach, pamiętasz? No więc wyobraź sobie, że czterdziestu rozbójników postanawia porzucić przestępcze życie i zostać kupcami. Ale nie zwyczajnymi kupcami, tylko kupcami magii. Magia pachnie.

Pachniała także ulica, na którą przywiózł je tramwaj. Znajdowały się w alei Namaszczonych – tak powiedziała babcia Zadi, biorąc ją za rączkę.

„Namaszczony” nasuwało myśl o olejkach. Olejkach sprzedawanych w około dziesięciu sklepikach, stłoczonych na jednej krzywej uliczce odchodzącej od głównej arterii. Każdy sklep w owej alejce miał swoją specjalność – zapach, z którego słynął. Chociaż, technicznie rzecz biorąc, można było kupić dowolny zapach w dowolnym sklepiku

w alei Namaszczonych, zrobiłby to tylko amator albo turysta. Kto szukał, na przykład, kadzidła, szedł do Kurda Khorousha. Khoroush miał kuzyna we wschodnim Kurdystanie, który własnoręcznie mełł złotą żywicę w wielkiej mosiężnej misie.

Wyjaśniając to wszystko, babcia Szeherezada prowadziła Zadi za rękę. Mijały kolejne sklepiki, wszystkie niby takie same, a jednak różniące się jakimś drobiazgiem – ustawieniem słoików, nieco odmienną kaligrafią nazwy – i szły tak, nie zatrzymując się, aż do połowy długości alejki. Tam, przystanawszy przed sklepem jak wszystkie inne – to znaczy zakurzonym i zastawionym czystymi szklanymi pojemnikami różnobarwnych olejków – weszły do środka.

Mężczyzna za ladą też nie wyróżniał się niczym szczególnym. Wyglądał dokładnie tak jak wszyscy handlarze, choć od niektórych mógł być starszy: brakowało mu paru zębów, a nos miał dostatecznie wielki, aby móc przefiltrowywać i odrzucać jakiegokolwiek niechciane cząsteczki. Prawie nie mrugał powiekami i bez przerwy wycierał ustawione za sobą wielkie szklane słoje aksamitną chusteczką.

Stały przed tym handlarzem perfum w alei Namaszczonych bardzo, zdawało im się, długo – może pięć minut, może pół godziny – zanim ów przetaił wszystkie słoje swoją idiotyczną chusteczką. Ach, te olejki! Barwne niczym kamienie szlachetne – pomyślała Zadi. Rubin i kobalt. Wszystkie odcienie bursztynu. Zielen

sosen z gór Alvand w Hamadanie. Ale dziwna rzecz: w sklepie wcale nie pachniało. Tak jakby słoje nie dawały woniom uciec. Nawet za sam zapach olejku trzeba zapłacić – mówiła babcia Szeherazada. Nie ma nic za darmo. Zapamiętaj to sobie, malutka.

Gdy mężczyzna wreszcie zwrócił ku nim twarz bez wyrazu, Zadi oczekiwała, że zapyta, co chcą kupić. On jednak przekrzywił głowę, popatrzył w oczy babci Szeherezadzie i odezwał się:

– *Ja Haq, hadzi chanum.*

Ja Haq – Bóg jest prawdą. Było oznaką szacunku, zwłaszcza wśród kupców, tytułować starszego mężczyznę: *hadzi aga*, a starszą kobietę: *hadzi chanum*. *Hadzi* odnosiło się do kogoś, kto udał się na modły do Mekki, aby złożyć hołd i spełnić swój religijny obowiązek.

– *Ja Haq, hadzi aga* – odpowiedziała babcia Szeherazada.

I tylko tyle. Tanim, ale bezcennym kosztem. Po tej wymianie uprzejmości perfumiarz zaprosił je do korytarza, przed ciężkie, rzeźbione cedrowe drzwi. Zadi zapamiętała tylko, że przez chwilę panowała kompletna ciemność, a potem cedrowe drzwi rozwarły się, ukazując szklany strop i pokój wypełniony zapachem dobra. Cnoty.

– Widzisz, malutka – powiedziała babcia Szeherazada, schylając się ku nabożnie skupionej buzi Zadi – przyprowadziłam cię w miejsce prawdziwego piękna. W miejsce, dokąd wszystko odchodzi po śmierci.

Przed nimi stało około dwustu szklanych kul wielkości

dojrzałego kantalupa. Każda łączyła się cienką szyjką z kryształowo przejrzystą rurką. Rurka biegła wzdłuż ściany do kadzi wielkości małego basenu, umieszczonej w najdalszym końcu pokoju. W każdej kuli migotał różowawy płyn, na którego powierzchni pływała warstwa płatków. Płatków róży.

– Tak jak dusza ulatuje z ciała, tak esencja wywabiana jest z płatków. Przenosi się następnie do szklanych kul, gdzie zostaje schłodzona i skroplona. Tym, co pozostaje, są diamenty zapachów. I je właśnie *Hadzi Aga* umieszcza w swoich słojach. Dlatego czekamy. To czyni wodę różaną tak cenną.

Babcia Szeherezada wyprostowała plecy i skinęła głową staremu perfumiarzowi.

– To jest właśnie magia. Magia, która wynika z oddania wszystkiego, co się ma. Zawsze.

Kiedy wieczorem wracały pieszo do domu, babcia opowiedziała Zadi dalszy ciąg historii róż.

– To, co zostaje, Zadi-*dżan*. Tylko to, co zostaje, jest ważne. Tak jak te róże, musisz czekać. Siedzieć spokojnie i czekać, aż wszystkie cząstki, które są bezcelowe, ulecą z ciebie. Aż wszystkim, co będziesz widziała, co będziesz słyszała, będzie twoja esencja, twój *atr*.

I Zadi tak właśnie postąpiła. Po powrocie do domu babci zasiadła znów pod drzewem persymony. I siedziała. Siedziała aż do nocy, do następnego rana. Babcia Szeherezada jej w tym nie przeszkadzała. Wiedziała równie dobrze jak Zadi, co się dzieje. Zadi siedziała,

dopóki popołudniowe słońce nie prześwietliło liści. Myślała o tamtych płatkach, o tym, jak chętnie róże poświęcają swoje widzialne części, części piękne.

Ilekcraz poczuła, że jedna jej część walczy z drugą, przypominała sobie ofiarne płatki róż. Aż całkiem szybko i ją opanował spokój.

Wszystkim, co pozostało, gdy nadeszła kolejna noc, była cisza. I znajomość sposobu.

Bo wtedy Zadi to poczuła – poczuła swój *atr*, swoją esencję, siedząc w oczekiwaniu pod persymonami. Poczuła ją w żołądku, w sercu i głowie – wszędzie naraz. Pozwoliła owemu uczuciu ogarnąć się bez reszty. Chciała na zawsze zachować je w pamięci.

Zdobyta wówczas wiedza nie opuściła Zadi. Towarzyszyła jej przez wiele lat, nawet kiedy stała się już młodą kobietą. Aż do tamtego roku, gdy skończyła osiemnaście lat i wszystko się zmieniło – nawet jej esencja.

Parastu przysiadła na krześle, wciąż jeszcze upojona zapachem perfum. Ku najwyższemu zdumieniu wszystkich obecnych zaczęła głośno recytować Rumiego:

*O moja piękna, dzisiaj nie widzę
nas oddzielnie*

*Jestem tak pijany, że nie znajdę
drogi do domu.*

*W tej miłości rozstałem się
z rozumem*

Znam tylko szaleństwo i rozpacz.

*Mówili mi, że jest ukryta
przynęta w tej pułapce.*

*Jestem tak uwięziony, że przynęty
nie widzę.*

Nie przypuszczali, że Parastu cokolwiek wie, a zwłaszcza, że zna poezję – a jednak znała. Nie była kompletną ignorantką w sferze wiedzy i książek. To, że nie studiowała na uniwersytecie i nie umiała recytować wierszy tak jak reszta z nich – jakże im zazdrościła tej umiejętności! – nie oznaczało, że nie jest świadoma piękna poezji.

Wiersze Hafiza i Rumiego pokochała, odkąd usłyszała je pierwszy raz jako mała dziewczynka w warsztacie krawieckim ojca, a może przy obiadowym *sofre*, kiedy podano owoce i herbatę. Mając niespełna dwanaście lat,

nauczyła się nawet na pamięć całych gazeli z *Diwan-e Szams* Rumiego. Ale nikt o tym nie wiedział. Wchłonięcie w pamięć tych gazeli wymagało sporego hartu, może nawet pewnego rodzaju odwagi, ale o takim szaleństwie lepiej było nikomu nie mówić.

*Wymowniejszy jestem niż słowik, i pragnąłbym
krzyczeć, lecz z racji ludzkiej zawiści
zapieczętowałem swoje usta.*

Myślała o Dżamszidzie. Myślała o tym dniu, kiedy przyszedł do domu jej rodziców w ich małej wiosce. Mieszkali na pustyni poza obrębem Yazd, w środkowej części Iranu. Przypomniało jej się, jak siedziała w oknie swojego pokoju, wystającym z bocznej ściany domu ponad grządką pomidorów. Pomidory jeszcze rosły, chociaż był grudzień; tak krągłe i ciemne w kolorze, że niejeden raz, podane gościom przy obiedzie, brane były za śliwki. Parastu nigdy się nie dowiedziała, jak udawało się matce wyhodować tak dorodne i delikatne owoce. Klimat sprawiał, że ziemia u nich, na środkowej pustyni, była nieprzewidywalna, a jednak ogródek wokół kamiennego domu pozostawał zawsze obfity i wilgotny życiem.

Pamiętała, jak siedzi w oknie swojego pokoju, haftując nowy wzór na obrąbku starej sukienki – i nagle widzi jego. Białe ubranie lśniło i migotało, gdy zbliżał się do ich skromnych drzwi, odgradzonych od świata walącą się bramą i murem. Brama musiała być otwarta, bo nie słyszała kołatania. Była tak lekliwie przejęta – przypomniała sobie – gdy patrzyła na niego, jak tam stoi,

niecałe cztery stopy od jej siedziska w cieniu, że przebiła igłą obrąbek i ukłuła się w palec. Na skórze błyskawicznie wezbrała kropla krwi, którą machinalnie zaczęła ssać, czując żelazisty smak, nadal zauroczona mężczyzną w białym stroju stojącym na ganku.

– Pierwszy raz zobaczyłam go piętnastego października tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego. Nietrudno było zapamiętać dokładną datę: był to dzień wielkiej parady, obchody święta w Persepolis.

Ruiny białych kolumn za Szirazem stanowiły pozostałości pałacu Dariusza Bozorga, Dariusza Pierwszego Wielkiego, brodatego cesarza imperium perskiego. W szkole, jako dziewczynka, słyszałam, że Persepolis było kiedyś imponujące. Pomnik chwały, marmurowe komnaty i kolumny. Dachy z pulsującej zieleni, o barwie pawiego serca. Jako mała dziewczynka często wyobrażałam sobie, jak by to było żyć wtedy, dwa i pół tysiąca lat wcześniej.

Może zaprosiliby mnie do pałacu – jako służącą albo szwaczkę królewskiego haremu – i musiałabym kłaniać się na podeście wielkich schodów. Może weszłabym nawet przez pałacowe drzwi, Drzwi Wszystkich Narodów, otwierające się na wielki dziedziniec.

A teraz, po dwóch i pół tysiąca lat, kraj miał ujrzeć, jak pałac znów napełnia się życiem...

Szach i *szachbanu*, jego trzecia żona, postanowili urządzić święto w Persepolis. Wielki bankiet. Aby przypomnieć reszcie świata o potędze perskiego świata,

odnowić pamięć o dobroci, którą zapoczątkował prorok Zaratusztra, wspiąwszy się na górę. Wszyscy wiedzieli, jak ważny był to moment dla ludu irańskiego – nawet mułłowie i ich chłopcy, ci, którzy zwykli odrzucać wszystko, co nie pochodzi z ich ksiąg. Światło i ciemność, dobro i zło – to właśnie pokazał im *Zardosht*, Zaratusztra. Zanim w ludzkim umyśle wykiełkowała jakakolwiek religia, on obwieścił nowinę.

Jak przeżyć całą szpulę życia, jak rządzić błogosławioną ziemią. Dobre myśli, dobre słowa, dobre uczynki – oto co zalecał Zaratusztra jako właściwe życie. Każdy to wiedział. Ale teraz miano im to przypomnieć jeszcze raz, w rytm bankietu za wiele milionów dolarów, urządanego na wielkiej równinie w pobliżu ruin Persepolis.

Przez ponad rok wszystkie stacje radiowe i telewizyjne nadawały reportaże o postępach prac, donosiły z dokładnością co do minuty o budowie Złotego Miasta – namiotowego rajy, który wyrastał przy murszejących pałacowych kolumnach. Nie było dnia bez wzmianki o nadchodzących obchodach, które, w opinii szacha, przypomną narodowi Cyrusa i jego podbój Babilonii. Lista gości wydłużała się z dnia na dzień, bo każda osoba królewska, każdy dygnitarz i ważniak na świecie domagał się zaproszenia.

Francuscy projektanci i francuscy architekci, francuski szef kuchni dyrygujący bankietem. Miano podać kaspijski kawior i szampan Moët – tak słyszeliśmy – a koronowane

głowy całego świata już ćwiczyły dygnięcia i słówka w farsi na okoliczność prezentacji w Wielkim Namiocie. Kulminacją wszystkiego miała zaś być parada w ostatnim dniu – pochód ilustrujący dwa tysiące pięćset lat dynastii perskiej. A ja miałam być jedyną osobą poza gośćmi, która to zobaczy.

Chociaż kostiumy na paradę dostarczono samolotem z Paryża, miejscowi rzemieślnicy zostali poproszeni o prace wykończeniowe. Makijażystki z hammamów, szwaczki i krawcy, jubilerzy z okolicznych wioszek znający receptury past do polerowania nakryć głowy i napierśników – wszyscy mieli być pod ręką, by ubierać i golić aktorów uczestniczących w pochodzie imperium. Jako jeden z najlepszych krawców w regionie mój ojciec polecony został przez samego ministra kultury, który zażądał jego igły z nitką dla wszelkich poprawek, jakie mogły się okazać konieczne przed paradą. A ja miałam towarzyszyć ojcu jako jego pomocnica.

Ojciec nie wybrałby mnie, gdyby nie to, że mojego starszego brata, Sinę, partnera ojca w małym biznesie działającym w naszej wiosce na obrzeżach Yazdu, miesiąc wcześniej powołano do służby wojskowej. Przeszłam rygorystyczne szkolenie w sztuce krawiectwa męskiego, będącego wówczas kwitującym przemysłem. Dzisiaj żaden szanujący się Irańczyk nie założyłby krawata, tego wędzidla mężczyzn z Zachodu, ale wtedy krawaty stanowiły cenną ozdobę garniturów, mieniącą się dzięki jedwabnej nici wplecionej w nienaganną mieszankę

poliwiskozy i bawełny.

W dzień parady, pamiętam, wstałam przed słońcem, razem z kogutem z naszego podwórka. Jadąc z ojcem dychawicznym packardem, który kupił rok wcześniej, dotarłam do bram Złotego Miasta.

Nikomu z okolicznych miejscowości nie wolno było przekroczyć tych bram, siąść na ziemi i gapić się na paradę. Ludzi szykujących bankiet, tych od kostiumów i pomocników zasłaniały wielkie sztuczne kolumny, porobione na wzór tych prawdziwych, górujących ze wzgórza nad rozległą równiną. Mój ojciec miał asystować głównemu specowi od kostiumów, wysokiemu chudzielcowi z Francji, i pomagać mu w dokonywaniu ostatnich poprawek. Tam to właśnie po raz pierwszy ujrzałam Dżamszida, siedzącego na koniu w przebraniu starożytnego Sasanidy. Był opięty złocistym napierśnikiem, jego grube, nagie ramiona okrywały wysokie cynowe nałokietniki, szyję miał obwieszoną biżuterią.

Wszyscy odgrywający żołnierzy mieli patrzeć wprost przed siebie, niczym wojownicy gotowi zmiażdżyć dekadencję Babilonu z jego wiszącymi ogrodami i wieżą Babel. Dżamszid jednakże odwrócił głowę i spojrzał na mnie, zdobywając mnie w jednej sekundzie oczami obwiedzionymi czarnym węglem i pełnymi najgorszych zamiarów.

Pochodził z sąsiedniej wioski, ale miał większe ambicje niż stragan na naszym lokalnym bazarze, co zdradził mi później tego samego dnia, gdy trzystu mężczyzn

padło pod ciężarem napierśników za sztucznymi kolumnami. Szach i jego goście wycofali się już do namiotów, by szykować się na wielki wieczorny bal. Mając nadzór nad trzema setkami mężczyzn, mój ojciec nie zwrócił uwagi na to, że jeden rozmawia ze mną. Inaczej zmiotłby mnie od razu siłą swojej pięści.

„Wyjeżdżam do Teheranu – oznajmił Dżamszid. – A stamtąd samolotem do Nowego Jorku. Zbiję miliony w rok, góra dwa lata”.

Wiedząc, że jakiegokolwiek pytania obniżyłyby moją atrakcyjność, zachowałam własne myśli dla siebie i czekałam, aż Dżamszid sam objaśni mi, jak zamierza to zrobić: zbić swoje miliony. Uwodzicielskie sztuczki mężczyzn nie były tajemnicą; nawet ja, siedemnastoletnia dziewczyna, znałam tę fundamentalną prawdę.

Skłonić głowę, opuścić wzrok, zaczerwienić się tu i tam – a chapnie taki jak zgłodniały lew. Wytrzymać serce w gardle, wpaść w panikę na najmniejsze spojrzenie mężczyzny, schować się. Tak powinna postępować irańska kobieta – uczyła mnie zawsze matka.

Bez wątpienia podziałało to na Dżamszida. Nie więcej niż moment mojego wstydlwego mlczenia skusił go do wyjawienia sekretu.

Z wielkim podnieceniem szybko wyciągnął z plecaka jakiś papier i rozpostarł go przede mną. Kartka była pożółkła i wymięta od wielokrotnego rozkładania i składania.

„To – rzekł Dżamszid z pompatyczną miną elitarnego

Sasanidy – jest mój bilet do wielkości”.

Na kartce widniał rysunek, szkic dużego zwierzęcia. Natychmiast rozpoznałam w nim jaszczurkę, podobną do tych, które widywałam przemyskające po pustyni, a które mój starszy brat często łapał i zabijał, by robić potem biedactwom sekcję krawieckimi nożycami ojca. Ale ta jaszczurka nie była prawdziwa: był to schemat zabawki, która miała się czołgać po ziemi. Bilet Dżamszida do bogactwa, do amerykańskich milionów.

„Działa na zasadzie jo-jo – objaśnił. – Pod korpusem ma wałek, zobacz, i sznurek, który ten wałek napędza, rozwijając się i zwijając; wtedy jaszczurka idzie. Potrzebuję tylko kilkuset dolarów, żeby w to zainwestować. Trochę papieru, trochę farb – i jestem urządzony. Amerykańskie dzieciaki nigdy w życiu nie miały takiej zabawki! Przebiję wszystkie, zobaczysz!”

Był to jeden z pierwszych licznych planów, które nigdy nie doczekały się realizacji. Ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałam. Dostrzegałam tylko błysk w oczach Dżamszida, który brałam za oznakę determinacji.

Ilekoć spojrzysz mi w oczy, sypiesz sól w moje rany.

Uśmiechnął się ponownie i mrugnął.

„Mówił ci już ktoś kiedyś, że masz piękną cerę? Białą jak śniegi Elburs. Pustynia to nie miejsce dla ciebie, na pewno nie”.

Pamiętam, że znów się zaczerwieniłam, unikając spojrzenia jego świdrujących oczu. Dopiero z czasem się przekonałam, że za ich błyskiem nic się nie kryło: był

niczym napierśnik, który Dżamszid nosił tego dnia, osłaniający niezbyt jędrne ciało.

Po paradzie często go widywałam w naszej wiosce. Przychodził na plac, przy którym działało parę kawiarni w zachodnim stylu, i przesiadywał w nich całymi dniami, czekając, aż wyjdę z warsztatu ojca, gdzie na zapleczu trzymałam książki. Zawsze proponował mi herbatę, ale ja zawsze odmawiałam. Moja reputacja ległaby w gruzach w ciągu sekundy, gdybym zdecydowała się usiąść z nim przy kawiarnianym stoliku. Wszyscy w wiosce mnie znali, wiedzieli o mnie sporo.

Byłam dziewicą, jak przystało, i nigdy nikt się do mnie nie zalecał. Przez całe siedemnaście lat.

Może Dżamszid to wiedział – może wiedział, jeszcze zanim spojrzał na mnie owego dnia w Persepolis. Może brał mnie za kogoś, kto będzie słodko ćwierkał, pozwalając mu błyszczeć i bujać w obłokach; myślał, że w tym czasie ja będę skakać po ziemi, zdobywać jedzenie, więc gniazdko, żyć z dnia na dzień. Jakikolwiek miał powód, wybrał właśnie mnie. A mnie tylko on jeden był w głowie, żaden inny.

Uczył wreszcie decydujący krok, kilka miesięcy po Persepolis. Zjawił się rankiem w moim domu, wystrojony w trzyczęściowy biały garnitur, który zakupił u mojego ojca za tygodniową pensję. Jego włosy lśniły od brylantyny, a baczki i wąsy miał tylko lekko przystrzyżone, żeby nie wyglądać zbyt nowocześnie.

Mój ojciec przywykł wymieniać swoją wrodzoną

perską dumę za dolary, ale rodzona córka – to była całkiem inna sprawa. Nigdy nie zgodziłby się na zięcia dandysa, marzyciela bez stałego zawodu, najmującego się do dorywczych prac, który za całą przyszłość ma zabawkę jaszczurkę. Kiedy Dżamszid poprosił go o pozwolenie na zabranie mnie do Szirazu, do tamtejszej dyskoteki, ojciec w ułamku sekundy zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Potem odwrócił się na pięcie i dał mi w twarz.

„Dziwko! – krzyknął. – Coś ty mi zrobiła?”

W pojęciu ojca to ja skłoniłam Dżamszida do zawitania na naszym progu z tym błyskiem w oku. Straciłam swój *szarm*, swoją godność i kobiecość – i nigdy ich nie odzyskam. Usiłowałam powiedzieć ojcu, jak było naprawdę: że nie miałam pojęcia, iż Dżamszid zjawi się u nas tak bezczelnie, że wcale go nie kusiłam – ojciec jednak był na to głuchy. Moja wersja zdarzeń nie miała znaczenia. Ani wtedy, ani później, kiedy powtarzałam ją samej sobie.

Zadi wyszła z Anny Kareniny i skręciła ku północnej alei. Uprosiła córkę Kapitana, by uprzejmie pozwoliła im na odwiedzinę, chciała bowiem, żeby Maryam zobaczyła, jak to jest znaleźć się w szpitalu z prawdziwego zdarzenia. Zresztą sama też nigdy w takim nie była.

– Dokładnie taki, jaki widziałyśmy w *Doktorze Żywago*, Maryam-dżan – powiedziała Zadi. Film ten obejrzały któregoś wieczoru minionej zimy w telewizji u Hadzi Chanum. Z Omarem Sharifem w roli lekarza-poety, któremu rewolucja wywraca życie do góry nogami. Zadi już kiedyś widziała *Doktora Żywago* w lokalnym kinie, w swoim rodzinnym Hamadanie.

– Będiesz kiedyś taka jak doktor Żywago – szeptała Zadi do córeczki, patrząc razem z nią, jak Omar Sharif walczy z kozakami, żeby ocalić ranną kobietę. – Doktor Maryam, tak będą na ciebie mówili. Doktor Maryam, jest nam pani potrzebna.

Wkrótce potem Zadi wpadła na pomysł, żeby zabrać córkę do kliniki uniwersyteckiej, gdzie mogłaby zobaczyć prawdziwych pacjentów i poczuć, jak by to było im pomagać.

*Gdy ktoś zapyta cię, jak
wyglądają dobre wróżki,
unieś twarz i powiedz: tak!
Gdy ktoś zapyta cię, jak wygląda*

księżyc,
wespnij się na dach i powiedz:
tak!
Gdy ktoś zapyta cię, jak trzeba
działać,
zapal świecę i powiedz: tak.

Odebrała Maryam ze szkoły i po krótkiej pogawędce z jedną z nauczycielek, która zaliczała się do garstki argentyńskich klientek salonu, zapięła małej dwurzędowy płaszczyk i wzięła ją za rękę, by poprowadzić na zachód do szpitala. Szima Bahrami, córka Kapitana, miała na nie czekać.

– Jesteś przejęta dzisiejszym wieczorem, *dzunam*? Tym, co zobaczysz?

Maryam spojrzała na nią w górę swoimi wielkimi piwnymi oczami.

– Marzyłam o tym, *maman* – odrzekła. Objęła Zadi rączkami, wtulając buzię w jej brzuch.

Serce Zadi napęczniało dumą. Obserwowała to stworzonko od chwili, gdy pierwszy raz trzymała je w dłoniach. Obserwowała miniaturkę rozkwitającego charakteru. W rozkwicie tym odnajdywała siebie i rzeczy, które rozumiała jako dziecko. Gdyby nie poezja i mądrość słów babci, nigdy nie pojęłaby tych spraw, za żadne skarby świata: piękna rzeczy, zawłości natury czy pewności jej pozornie drobnych i arbitralnych decyzji.

Zadi dostrzegąta tę dziwną magię, gdziekolwiek się znalazła. Lecz jako mała dziewczynka widziała nie tylko

piękno życia. Odkąd sięgała pamięcią, widywała ból. Rozpoznawała ludzkie potrzeby i samotność od jednego spojrzenia.

Bywało, że jechała autobusem albo szła do szkoły i spoglądała na kogoś, całkiem obcego – zaraz rysowały się przed nią przeszłość i przyszłość tej osoby, i jej codzienne życie, wszystko razem, w jednym momencie. W jednej chwili.

Widziała ludzi w sposób, którego ani w pełni nie pojmowała, ani nie umiałyby wyjaśnić, jakkolwiek próbowała opowiedzieć to pewnego dnia babci Szeherzadzie.

Siedziały, tak jak często popołudniami, na tylnej werandzie, przyglądając się drzewom persymony szeleszczącym na wietrze. Zadi zwierzyła się babci z tego, co czuła, co potrafiła zrozumieć, patrząc na innych ludzi. Że umiałyby opowiedzieć ich historie, nazwać tajniki ich serc i serca serca, tego najwewnętrzniejszego. Wyszeptala to niczym sekret, podczas gdy wicher ciągnął swój monolog.

– Widzę, czego ludzie pragną, od jednego spojrzenia, *maman* Szeherzado. Widzę, czy są naprawdę samotni, czy szczęśliwi.

Babcia uśmiechnęła się do niej porozumiewawczo.

– Istnieje słowo na tę twoją wiedzę – powiedziała. – *Qalb*, oko serca. Wszystko, co zostało zawarte w mapie ludzkiego ciała i ludzkim sercu – wszystko to wraca do tego tajemniczego miejsca. Do *qalb* z jego dążeniem do

życia, do szczęścia. Nikt go nie widzi, ale ono jest. Jeżeli stracisz przez coś równowagę, *qalb* cię do niej przywiedzie, Zadi-*dżan*. Żebyś była z powrotem całością.

Zadi patrzyła na córeczkę podskakującą przodem – Maryam chichotała, kiedy przechodnie głaskali ją po głowie. Wychowywać ją, otworzyć przed nią wszelkie możliwości pod słońcem – oto, czego Zadi pragnęła ponad wszystko.

Głównie z tego właśnie względu przystała na spotkania poetyckie. Drugim powodem było światło, które dostrzegła w oczach Kapitana, gdy mówił o swoim dawnym kółku poetyckim.

Był to ten rodzaj światła, które lata wcześniej skłoniło Zadi do poszukiwania piękna.

Szima spoglądała na światła w dalekim końcu placu. Z kliniki uniwersyteckiej widać było całą wschodnią część miasta, aż po różowy pałac prezydencki. Przez cały dzień na placu zbierali się ludzie. Demonstrantki przychodziły co czwartek upominać się o swoje zaginione dzieci, ale tym razem było ich więcej niż zwykle. Szima czekała na Zadi i Maryam.

Zadi marzyła, żeby jej córka została kiedyś niezwykłą lekarką – kimś, jak mówiła, kto potrafi wyleczyć każdego samym wejściem do pokoju. Szima usiłowała jej tłumaczyć, że w prawdziwym życiu tak nie bywa, ale na próżno – groch o ścianę. Zadi najwyraźniej pragnęła czegoś, czego nawet nie umiała dokładnie nazwać.

I, dziwna rzecz, Szima rozumiała to jej pragnienie: ona

także przez całe życie pragnęła czegoś, nie wiedząc, co to właściwie jest.

Gdy była mała, wiedziała to dokładnie. Chciała być z ojcem, widzieć go, siedzieć mu na kolanach, być przez niego tuloną i całowaną. Tak, chciała ojca, którego wcześniej nie знаła, ponieważ został wtrącony do więzienia przed jej narodzeniem. Szima fantazjowała, tworzyła sobie w myślach obraz idealnego ojca, którego kiedyś pozna.

Dotyk ojca, jego pieśczoć, które wyobrażała sobie jako dziecko, radowały ją aż do zawrotu głowy.

Jednak kiedy ojciec wreszcie się zjawił – zwolniony z więzienia, jak jej powiedział, kiedy na ulicach Teheranu rozszalała się rewolucja – nie był wcale taki, jakiego oczekiwała.

Jej ciało zareagowało na to dziwacznie, konwulsyjnie. Szimie zdawało się, że się rozsypuje, że jej ciało rozpada się na miliardy cząstek, jedna daleko od drugiej, tak że już nie wiadomo, czy kiedykolwiek stanowiły całość. Tego doświadczała przez wiele dni po powrocie ojca. Ale gdy ją zapytał, co się stało, poczuła się z powrotem bardziej prawdziwa, tyle że teraz wszystkie jej cząstki zbiły się w ciemną, wirującą grudę w centrum jej ciała. Nic nigdy nie dało się opowiedzieć.

Szima urodziła się w Ankarze, kilka miesięcy po ucieczce jej matki z Iranu w obawie przed prześladowaniami – bo matka była aktywistką popierającą linię polityczną męża.

Z tęsknoty za mężem, za rodziną, za przyjaciółmi i rodzinnym krajem matka Szimy popadała w coraz głębszą niemoc fizyczną i psychiczną. Tylko miłość do córki pozwoliła jej odpiąć chorobę aż do zamążpójścia Szimy.

Hadzi Mahmoud Nosratollahi, wielce religijny i wpływowy mułła, który uciekł z Iranu wraz ze swoją rodziną i dostał w Turcji status uchodźcy, utrzymywał Szimę i jej matkę.

Szima, mając chorą matkę i nieobecnego ojca, przyjęła powoli rolę domowej pielęgniarzki. W szkole radziła sobie dobrze. Nie miała jednak żadnych ambicji na przyszłość. Zaczęła się zaniedbywać.

Jest, czym jest.

Po ukończeniu szkoły złożyła podania na wiele wydziałów uniwersyteckich, między innymi na inżynierię, rolnictwo i medycynę. Przyjęto ją na wszystkie trzy.

Nie wiem, co powinnam studiować – myślała sobie – ale jedno wiem: chcę móc wyleczyć moją matkę. I tak poszła na medycynę.

Wychodziła z jakiejś bramy. Zgubiła się – ulice w Turcji nie różniły się zbyt wiele od tych w Buenos Aires. Złapała się na tym, że głośno powtarza pomyślane słowa. Często jej się to zdarzało: sięgała w głąb do źródła, skąd wyciągała wersy i gizele, złożone tam niewidzialnymi rękami; wersy, które tam były, odkąd pamiętała. Powtarzała te słowa, kiedy go ujrzała.

Alireza, syn Hadżiego Mahmouda Nosratollahiego, stał w niszy po przeciwnej stronie alei. Deszcz padał mu na

twarz, gdy wyszedł stamtąd, żeby z nią porozmawiać. Niedaleko, rzekł, odbywa się wieczór poetycki; może chciałaby z nim pójść. Odpowiedziała, że musi pomóc matce w szyciu, i poszła dalej.

Ale kilka tygodni później on zjawił się w pokoju, gdzie mieszkała z matką. Przyszedł z ojcem; usiedli na dywaniku w części bawialnej.

Hadzi Mahmoud Nosratollahi grzecznie i wstrzemięźliwie, jak nakazywał obyczaj w takich okazjach, poprosił matkę Szimy, aby przyjęła jego syna na ich sługę, *qolam*, męża Szimy.

W tym czasie Szima była na drugim roku studiów medycznych. Wcale nie myślała o małżeństwie. Ona i Alireza dorastali razem w Ankarze jako sąsiedzi i przyjaciele. Uważała go za dobrego chłopaka, nigdy nie dopatrzyła się w nim większych wad, więc lubiła go jako przyjaciela – peszyło ją może tylko to, że Alireza, w przeciwieństwie do niej samej, umiarkowanej muzułmanki, był bardzo religijny i musiał iść śladami ojca: uczestniczyć w wielu religijnych zgromadzeniach i rytuałach.

– Chcę najpierw zrobić dyplom. A poza tym muszę opiekować się *maman* – powiedziała Szima, zaszokowana oświadczeniami, z poczuciem, że wpadła w pułapkę nieuniknionego losu.

Mówili mi, że jest ukryta przynęta w tej pułapce.

Jestem tak uwięziona, że przynęty nie widzę.

– Ależ to żaden problem. Możesz skończyć studia

i zająć się matką. Obiecuję ci to – zadeklarował Hadzi Mahmoud Nosratollahi ze szczerym i niewinnym uśmiechem. – Obiecuję!

Szima pochwyciła spojrzenie matki, ale nie było w nim sekretnej wiadomości. Znała już sekret. Swe przeznaczenie miała wyryte na czole od początku początków. Co innego mogła odpowiedzieć jej chora matka człowiekowi, który był tak wspaniałomyślny i uprzejmy, że wspomagał ją i córkę w tych trudnych czasach?

Nie doszły do kliniki uniwersyteckiej. Gdy przechodziły na drugą stronę alei, tłum na placu zaczął skandować. „Śmierć Margaret Thatcher”. „Śmierć armii”. Maryam spojrzała na Zadi przerażonymi oczami, gdy zaczęły zawracać tam, skąd właśnie przyszły.

Nie odzywały się ani słowem, póki nie doszły do Calle Florida.

– Maryam! *Dżunam!* To zrozumiałe, że się bałaś. – Zadi ścisnęła rączkę córki. – To są głupstwa. Głupi ludzie. Do szpitala pójdziemy innego dnia.

Maryam gapiała się przez chwilę w chodnik. Nagle potrząsnęła głową, aż cienkie warkoczyki trzepnęły o szkolny mundurek.

– Nie chcę iść do szpitala. Nie chcę być doktorem. Nie chcę być doktorem, jak dorosnę.

– Oczywiście, że chcesz. Jeszcze nigdy nie byłaś w szpitalu. – Zadi nachyliła się i zajrzała małej w oczy. – Pamiętaj, że nawet się w szpitalu nie urodziłaś.

Maryam znów potrząsnęła główką.

– Ja nie chcę. Nie chcę być doktorem! – Puściła rękę Zadi.

– Ale przecież zawsze chciałaś! – Zadi dźgnęła ją palcem.

Nagle wpadła na pomysł. Powinna zabawić się w coś z Maryam, może w chowanego!

– Goń mnie – powiedziała i ruszyła biegiem w stronę apartamentowca.

Zatrzymała się przed wejściem do Anny Kareniny i obejrzała przez ramię. Jej córeczka wciąż stała w połowie ulicy.

Zadi weszła do hallu. Gdy znów się odwróciła, Maryam była już w budynku.

– Przestań! – krzyknęła cienko mała, biorąc się pod boki.

– Uciekam ci! Patrz! – Zadi wbiegła na jeden z długich ciągów schodów. Dobiegłszy na piąte piętro, zatrzymała się dla złapania tchu.

Otworzyła drzwi i weszła na korytarz – właśnie w chwili, gdy Maryam stanęła na podeście.

Zadi roześmiała się, kręcąc głową.

– Nie bądź takim bojącym dudkiem!

– Powiedziałam ci: przestań!

Maryam podbiegła ze złością do przeszkłonych drzwi salonu i walnęła w nie piąstką tak mocno, że wybiła sporą dziurę w rżniętej szybce tuż nad klamką. Okruchy szkła rozsypały się po podłodze u ich stóp.

Dziewczynka darła się wniebogłosy, podtrzymując

krwawiącą rękę.

Zadi przyskoczyła do niej i, próbując ją uspokoić, oglądała skaleczony nadgarstek.

Wszyscy sąsiedzi wyjrzeni ze swoich mieszkań i patrzyli na tę szokującą scenę.

– Szybko! Zawieź ją do szpitala! – zarządził Kapitan.

Atrium z rżniętego szkła lśniło miriadami kolorów, ptaki rozproszone w jego obrębie rzucały cienie na mozaikową posadzkę piątego piętra. Niebawem miały wzlecieć ponad wieże i szczyty katedr, ponad oksydowane kopuły zniszczone przez żywioły, które dają się ujarzmić, lecz nie dają sobie rozkazywać. Jak mówił sir Francis Bacon, siły natury można obłąskawić, pod warunkiem że jest się posłusznym jej regułom i wymaganiom.

Innymi słowy – „jest, czym jest” – więc trzeba z tym żyć.

Przystanąwszy w otwartych drzwiach, Zadi ogarnęła wzrokiem pokój, który opuściła poprzedniego wieczoru. Pomieszczenie, oświetlone zwykle lampami w każdym kącie, pozbawione było światła. Odczekawszy chwilę, aż oczy przywykną do ciemności, Zadi rozejrzała się wokół. Wszystko było na miejscu: regał z książkami i kontuar, ustawione wokół nich krzesła. Szafki i stoliczki pod tylną ścianą, nad którymi wisiały lustra w złotych ramach rozmaitych kształtów i rozmiarów.

Prawie wszystko zostało umyte i odłożone na miejsce dzień wcześniej – i właśnie ten fakt zaparł Zadi dech w piersiach.

Wzięła głęboki oddech i wkroczyła do środka. Starodawny kredens przy drzwiach lśnił czystością, lecz jedno otwarte puzderko sproszkowanej henny leżało na nim przewrócone na bok.

Był to jeden jedyny przedmiot w salonie, który nie został odłożony do właściwej szafki.

Wzrok Zadi zatrzymał się na wazonie z liliami, stojącym na kontuarze: białe płatki właśnie zaczynały się otwierać.

Cóż to mówił Hafiz o kwitnieniu?

*Miłość niechybnie rozewrze cię
szeroko
w nieskrępowaną, kwitnącą nową
galaktykę,
nawet jeśli twój umysł jest teraz
jak krnąbrny muł.*

Pomyślała o wszystkich sytuacjach, w których słyszała te słowa.

Zamknęła pudełeczko z henną i wstawiła je na miejsce do oszklonej szafki. A potem wróciła do swojego mieszkania.

Stojąc pośrodku pokoju, trudno było usłyszeć jakikolwiek dźwięk, nawet dobiegający z korytarza za drzwiami, a cóż dopiero z ruchliwej ulicy pięć pięter poniżej.

Zadi opadła na jedno z wyściełanych krzeseł, najbliżej drzwi, i zakryła twarz dłońmi. Przeczesując palcami ciemne włosy, wzięła jeszcze jeden głęboki wdech.

Zapach henny wciąż trwał w jej nozdrzach – ostry, leśny, przenikał powietrze. Nagle dosięgło ją pewne wspomnienie, upojne aż do zawrotu głowy.

Dzień nad Morzem Kaspijskim w czasie zaćmienia słońca; nauczyciel mówiący im, że koniec świata jest bliski. Że jedyną ich obroną jest poezja.

Zadi i koleżanki chichotały potem, odgrywając stukniętego nauczyciela w autobusie odwożącym je do domu – cytowały go nie mniej obficie niż wiersz Hafiza.

Koniec świata jest bliski! Rozkwit nowych galaktyk!
Otworzy was szeroko! Ha, ha, ha!

Miały przez to potem spore kłopoty – każdą odesłano na tydzień do domu z listem ostrzegawczym – ale warto było wykrzyczeć te kwestie wedle własnej woli, bez drżenia o konsekwencje. Brak szacunku był ich sprzymierzeńcem.

A potem przyszedł ranek jej dziesiątych urodzin, kiedy babcia podarowała jej jedną perłę – początek naszyjnika, jak powiedziała, który zostanie skompletowany, zanim Zadi zacznie studia. Otwarcie ostrygi, ekspansja wszechświata, cząsteczki wokół szyi dające ci głos do wykrzyczenia wszystkiego. Tak mówiła babcia Szeherezada.

Ale najpierw jest miłość, początek wszystkiego.

*Ona niech będzie twoim katalizatorem, twą matką,
twym ojcem.*

*Miłość niechybnie otworzy cię szeroko
na nieskrępowaną, nowo rozkwitłą galaktykę.*

Zapominając o zwykłym sobie szacunku dla śpiących sąsiadów, Zadi podążyła za światłem słońca zalewającym podest.

Atrium z ukośnych szyb kierowało promienie wprost na hall budynku, rozszczepiając je w symfonię kolorów – pryzmatyczne światło pstrzyło każdy kąt i zakamarek starego foyer o marmurowej posadzce.

Tutaj, na piątym piętrze, blask rozpraszał się, wsiąkał w ściany i okna.

Drzwi strzegące pokoi i apartamentów piątego piętra były prawie w całości szklane – tylko pojedyncza listwa biegła przez ich środek, co pozwoliło na zamontowanie klamki i dziurki od klucza. Gdyby nie wielobarwne zasłony na fasadowych ścianach mieszkań, czynności ich lokatorów byłyby równie widoczne jak niebo przeświecające przez dach.

Zadi tak się spieszyła, zobaczywszy znów dziurę wybitą małą piąstką Maryam w szklanej tafli – większą, niż pamiętała – że dopiero po paru chwilach zauważyła Kapitana.

– Jak tam, malutka? – spytał, gdy Zadi odwróciła się od drzwi.

Kapitan nie mógł spać; miał podkrążone, zapadnięte oczy, a resztki włosów sterczały mu na głowie we wszystkie strony.

– Nic jej nie będzie, Kapitanie – odrzekła Zadi. Przygryzła wargę, nie chcąc zdradzić więcej, niż musiała.

Nie chciała mówić Kapitanowi, co powiedzieli

lekarze – że w żyłach jej dziecka krąży, być może, trucizna i zżera małe ciało.

Zadi podniosła wzrok na Kapitana.

Starszy mężczyzna nie wyglądał na kogoś, kto zniesie więcej złych wieści.

– Muszę już wracać – powiedziała Zadi.

Kapitan skinął głową.

– Oczywiście, oczywiście. Proszę ją ode mnie ucałować, pobłogosławić. – Rozkaszał się.

– Zrobię to, Kapitanie. A pan niech się położy – powiedziała Zadi. Nacisnęła kławkę, spoglądając znów na ziejącą dziurę. Z szyby zostało niewiele, resztki spękanego szkła pospadały przez noc, na pewno od drzeń wywołanych przechodzeniem przez próg wielu osób.

– Zadi *chanum*? – zagadnął Kapitan, dając krok w jej stronę. – „Są w nas różne studnie. Jedne napełniają się z każdym dobrym deszczem. Inne są na to o wiele, wiele za głębokie”. – Znowu zakaszła.

– Dziękuję, Kapitanie.

Zadi pozbierała odłamki szkła i weszła do kuchni; w uszach dzwoniły jej wersy z Hafiza:

*Są w nas różne studnie,
Jedne napełniają się z każdym
dobrym deszczem,
Inne są na to o wiele, wiele za
głębokie.*

Jak w tym starym porzekadle o konsekwencjach – myślał Kapitan. O zrozumieniu końca.

Oparł się na miotle i zapatrzył w górę na strop. Gołębie jak zwykle gruchały, przycupnąwszy na zewnętrznym gzymsie. Popołudniowe niebo zasnuwała mgiełka, jak przez cały miniony tydzień. Wiał chłodny jesienny wiatr.

Kapitan wiedział to bez wychodzenia z domu, bo wychodził bardzo rzadko. Miał jednak świadomość zmiany i ta świadomość wprawiała go w zakłopotanie. Chociaż bardzo się starał, nie potrafił przywyknąć do innego następstwa pór roku, do karkołomnej zamiany zimy i lata na tej południowej półkuli.

Spostrzegł stado wędrownych ptaków przelatujące nad świetlikiem – odlatywały do ciepłych krajów, gdzieś za ocean.

Ruszyć znów w podróż? – spytał sam siebie. Powrócić, skąd przybyłem? Mowy nie ma. Już dość.

Dawno pogodził się z tą myślą. Tutaj będzie mój koniec – powiedział sobie, chociaż w głębi duszy czuł pragnienie powrotu do Tebrizu, miejsca swoich narodzin, i spotkania z dawnymi przyjaciółmi. Tylko gdzie oni są? Kapitan nie miał pewności, czy którykolwiek z jego przyjaciół jest jeszcze w Tebrizie.

Dziwne, jak dusza tęskni za tym, co zna, za powrotem

do źródła, jak ta trzcina w wierszu Rumiego.

*Słuchaj jak flet trzcinowy smutną
Baśń o tęsknocie opowiada.*

*Wyrwana z ziemi trzcina płacze
I płakać każe wszystkim ludziom.
Chce znaleźć pieśń męką*

szarpaną,

*By zwierzyć ból wielkiej tęsknoty.
Każdy, kto z miłym rozdzielony,
Czasu spotkania oczekuje².*

Kapitan westchnął. Nigdy nie słyszał ani nie czytał nic bardziej prawdziwego. A słyszał i czytał wiele przez swoje pięćdziesiąt lat. Oto jedna z niespodzianek starości. Jak słowa niegdyś przeczytane zaczynają pasować do doświadczeń życia.

Nie dokładnie – ale prawie.

Kapitan odstawił miotłę w kąt za drzwiami kuchni i wrócił do swojego mieszkania. W szparach mozaiki wciąż błyskały okruchy szkła.

*

Kapitan wraz z przyjaciółmi obserwował, jak aresztują premiera Mosaddegha – jedyne go człowieka, który był w stanie ocalić kraj od tej nieznośnej korupcji, ropy naftowej i chciwości, która sycąc próżność, przykuła ich do obcych państw.

Więc Kapitan i jego koledzy postanowili udać się do stolicy, Teheranu, żeby coś zrobić w tej sprawie.

Wpakowali się wszyscy do autobusu w kierunku

Vatanu i ruszyli wyboistymi drogami po graniach masywu Sahand.

Góry i doliny oczyszczone wiosennym śniegiem nie przygotowały ich na widok, który ich czekał. Gdy zajechali na plac Uniwersytecki, krew już się łała.

Każdy tam słyszał o poczynaniach popleczników szacha albo sam ich doświadczył. Kapitan i jego znajomi wprost nie mogli uwierzyć w to, co propaganda szacha trąbiła przez radio i telewizję. Do ludzi docierały fałszywe peany o szachu, który przybył, aby zbawić kraj. Słyszeli to tyle razy – bo tak często powtarzano te łgarstwa – że zaczęli wierzyć nawet echu tych słów. Tak było do dnia, w którym zabrano premiera z jego własnego domu.

Kapitan i jego przyjaciele wierzyli słowom premiera, jego wizji kraju. Rozumieli, co chce zrobić. Wszyscy pragnęli uczestniczyć w przekazaniu władzy. Coraz więcej ludzi odwracało się więc od szacha, odrzucało jego nienasycone apetyty i głupotę jego bandy. Ludzie zrozumieli, czym mogliby się stać, czym byli w istocie bez pchającej ich bez sensu chciwości. Lecz wszystkie ich nadzieje przysły owego dnia w Teheranie.

A cóż to był za dzień. Niebo bezchmurne; na ulicach handlarze z chłodnym napojem różanym. Oraz grupa ich – przeważnie studentów – oczekujących swego przeznaczenia.

Nie zostało ze mnie nic.

Upłynęły miesiące, odkąd go zamknęli w więzieniu Evin. Przyjaciół, z którymi uczestniczył w proteście, nie

widział nigdzie, w żadnej z sąsiednich cel.

Dlaczego policja szacha nie przyszła po niego wcześniej – to doprawdy tajemnica. Ale oprawcy działali w sposób, którego nikt nie rozumiał. W sposób, który uczynił strach chlebem powszednim.

Kapitan leżał na macie, gapiąc się na ceglana ścianę celi. Słyszał różne odgłosy, od krzyków po modlitwy. Pomyślał sobie, że te cegły muszą być nawiedzone po tylu nieszczęściach, jakie oglądały.

I wtedy to spostrzegł: jedna z cegieł była lekko odchylona. Szarpnął ją i po ciemku wymacał wepchniętą w otwór książkę.

Ktoś ukrył w ścianie tomik wierszy Hafiza. Otworzył się na stronie ze słowami:

*Wszystkie półkule, jakie istnieją,
leżą przy równiku twojego serca.
Powitaj siebie w tysiącu swoich
innych form,
dosiadając tajnego przyływu, by
wrócić do domu.*

A więc było jasne: Kapitan z uliczek i miękkich stepów Tebrizu musi ruszyć do akcji.

– Musimy znaleźć sobie tutaj obszar wolności – oznajmił towarzyszom z celi tydzień później. – Musimy go wywołać.

I tak stworzyli kółko poetyckie.

Co tydzień siadali na swoich matach i czytali z książki. Ale nie tylko z książki – czytali też z pamięci rzeczy

dawno zapamiętanych, które dotychczas wydawały im się stracone. Tak bywa ze wszystkim, czego się stale nie dogłąda, i tak też było z ich słowami.

Co za piękna i głęboko znacząca poezja – myślał Kapitan, wchodząc do cichego mieszkania. Zasiadł na dywanie i skrzyżował chude nogi. Wiersze Ferdousiego z dzieła *Szahname* i wielki dywan Hafiza. Móc usłyszeć, jak powstała dusza. Jak zdołała rozkwitnąć. Rozkwitnąć, kiedy wszystko dążyło ku śmierci, ku zatraceniu. Usłyszeć to jako pieśń z jednego serca do drugiego.

Co oznaczało wyśpiwywać te gازه, wiedzieć, że na końcu każdego przychodzi powtórzenie innego rodzaju, pchnięcie ku czemuś właściwemu. Rozumieć i wchłaniać piękno uniwersalnej harmonii.

Byliśmy wszyscy młodzi, chcący – myślał Kapitan. Wiedzieliśmy, że chcieć to właściwy sposób istnienia. Sposób życia. I że sposobem na przyswojenie tej nici było jej odnalezienie. Jakaż była lepsza droga niż zanurzyć się w bogate słowa Attara, Rumiego, Hafiza i Nizamię?

To Nizami rozumiał palące pragnienie kochanka, jego namiętność, jego poświęcenie, wewnętrzny ogień miłości i jej zewnętrzne objawy.

Kapitan i jego bracia rozmawiali o swoich pięknych ukochanych dziewczętach. Dziewczętach, które zostawili w poprzednim życiu. Każdy z nich miał bowiem ukochaną, o której mógł myśleć i mówić.

Ach, Bóg był człowiekiem! Bóg był poetą, który przynosił nam te łzy zrozumienia. Ach, kochać i być

młodym, chcieć pragnienia, pragnąć chcenia!

I tak spędzali swoje noce, wolni ponad wszystko, oczekując rozpraw za zdradę.

Wówczas Kapitan już dziesięć lat przesiedział w więzieniu; znając kapryśną naturę irańskiego systemu karnego, mętnego i okrutnego, nastawił się na siedzenie tam w nieskończoność. Cały kraj, zdawało się, trwał pod militarnym kluczem; nie-tak-tajna policja szacha, SAWAK, krążyła po ulicach wszystkich miast, wypatrując każdego, kto okazywał najmniejsze choćby oznaki buntu.

Tego rodzaju wieści docierały do Kapitana i jego współwięźniów pocztą pantoflową, drogą okrężną poprzez ludzi, którzy znali innych ludzi, albo – tak jak Kapitan – znali właściwych strażników i właściwe słowa poezji.

Wyrecytowałem sobie drogę do wiedzy – myślał Kapitan – do wiadomości.

Zadi siedziała za kontuarem, patrząc jak Hadzi Chanum i Parastu obsługują klientki. Od paru dni trudno jej było pilnie pracować; każdy wysiłek, by wykrzesać z siebie energię, kończył się fiaskiem. Źle znosiła oznaki troski pań odwiedzających salon i ich pytania o to, co się stało Maryam.

Większość dni i nocy spędzała w szpitalu, aż do wczoraj, kiedy w końcu jej córka została stamtąd wypisana. Czuwając całymi dniami na krześle przysuniętym do łóżka Maryam, obserwowała, jak dziecko śpi: okrągła buzia małej miała zielonkawy odcień, spoczone włoski przylegały do czoła.

Na jej cieniutkim nadgarstku gruby bandaż.

Sepsa, która już była blisko, w krytycznej chwili postanowiła odejść gdzie indziej, gdziekolwiek odchodzą trucizny, i łaskawie oszczędziła ciało jej córeczki.

Maryam skaleczyła nadgarstek bardzo głęboko, jedna tętnica wymagała szycia.

Po szwie pozostanie jej trwała blizna, jak uprzedziła Szima, ale więcej szkody nie będzie. Operację przeprowadziła córka Kapitana wraz z resztą studentów obecnych w szpitalu.

Kłamstwo, pomyślała Zadi.

Żadna aparatura na świecie nie potrafiła wykazać tego, co Zadi wiedziała: że coś pękło i nie da się naprawić.

Skłoniwszy głowę w podzięcie za słowa współczucia, Zadi wyszła z salonu na korytarz. Widziała stamtąd Maryam w mieszkaniu Hadzi Chanum. Dziewczynka leżała na kozetce, kartkując machinalnie książkę z bajkami. Nie powiedziała ani słowa, odkąd przywieźli ją ze szpitala. Odmawiała odpowiedzi na pytania i poświęcała Zadi uwagę jedynie w formie przelotnych spojrzeń. Spojrzeń oczu pełnych pretensji i gniewu. Szima zapewniała, że to efekt uboczny, który też minie z czasem.

Zadi podniosła wzrok na atrium. Na gzymsie wystającym za jego podstawę przycupnęło ptasie trio. Ćwierkanie ptaków słyszała już w salonie.

Zadi posprzątała mieszkanie i przygotowała posłania na noc. Dwa materace rozwinęła jeden przy drugim obok regału na książki, pełnego pięknych tomów. Przespała

obok Maryam całą noc, głęboko i spokojnie. Nie spała tak od dawna – od czasów w hammamie. Kiedy dorastała w domu babci Szeherezady, miała pokój dla siebie, z łóżkiem i materacem, tak jak przedtem w domu rodziców, ale jakoś nie brakowało jej tych luksusów, gdy przeniosła się do hammamu.

Czy to były luksusy, czy nie – można by się spierać.

Zadi popatrzyła na córeczkę. Maryam zapadła w płytki sen. Wcześniej wyszła z łazienki z Hadzi Chanum: buzię miała posmarowaną kremem różanym, nadgarstek umyty i świeżo obandażowany.

– Czy ja jej przekazałam jakąś żyłkę męczeństwa? – zapytała Zadi Hadzi Chanum tego wieczoru. – Czy nieświadomie przekazałam jej słabość?

– Nie słabość, *dżunam* – sprostowała Hadzi Chanum, kręcąc głową. – Siłę. Prawdę.

Zadi nie była tego taka pewna. Coś kazało jej powiedzieć te słowa do córki. Coś, czego w sobie nie podejrzewała. Jak mogła ją tak sprowokować? Co w niej siedziało, że była taka słaba?

Jej zachowanie wobec Maryam było odruchem wbrew życiu.

*

Homa Sukut patrzyła tępo zza stolika straganu. Targ pełen był sprzedawców szykujących się do handlu tego dnia. Rozstawiano stoiska z warzywami i wyrobami tkackimi. Daleko temu było do bazarów, które Homa znała, ale z tego akurat była zadowolona. Na bazarze każdy

człowieka znał. A tu byli dla innych tylko dwojgiem kolejnych imigrantów usiłujących zarobić na życie.

Miniatury prezentowały się cudownie. Nawet sama Homa się dziwiła, że tak ładnie wyszły. Ani ona, ani Reza nie uczyli się nigdy sztuki malowania, a już na pewno nie w zawiłym stylu perskich miniatur; oczywiście, podobne malunki widywało się w Iranie wszędzie, lecz do przyjazdu tutaj Homie nigdy nie przyszło do głowy, że mogłaby je sama tworzyć.

Patrzyła na tłum kłębiący się na targowisku.

Plac zawsze otaczali ludzie, głównie kobiety w białych chustach, z transparentami. Ich widok za każdym razem Homę poruszał. Miała wrażenie, że pochodzą z tego samego nurtu co ona, że gna je ten sam impuls, który jej kazał się zapisać do partii Tude, gdy była jeszcze na Uniwersytecie Teherańskim.

Uważała to za swój obowiązek, tak samo jak Reza. Szli drogą wytyczoną im przez rodziców.

Wiem, co to znaczy spełniać swój obowiązek – pomyślała Homa – i jaką cenę płaci się za wierność własnej drodze i celowi.

Bardzo wcześnie, bo już w wieku dwóch lat, Homa poznała, czym jest obowiązek – obowiązek zabawiania brata i obowiązek posłuszeństwa. W tamtym czasie jej starszy brat, Pedram, urządził z nią swoją zabawę z poduszką. Ktoś mógłby powiedzieć, że dorosła osoba nie pamięta wiele ze swoich przeżyć w wieku lat dwóch. A jednak codzienna tortura, którą z lubością zadawał jej

Pedram, była czymś, co Homa pamiętała nadzwyczaj wyraźnie.

Pedram robił to, gdy matka wychodziła z pokoju. Brał poduszkę i chyłkiem zbliżał się do otomany, na której leżała Homa.

Z całej siły przyciskał poduszkę do jej buzi. Pamiętała brak powietrza i wszechogarniającą czerń przez parę chwil, zanim Pedram ze śmiechem cofał poduszkę i odchodził. Homa już wtedy wiedziała, że jeżeli nie będzie uważać, jeżeli zdradzi się z niechęcią do tej zabawy, Pedram kiedyś przytrzyma poduszkę na jej buzi tak długo, żeby nigdy już nie mogła oddychać.

Zabawa z poduszką wreszcie się skończyła, gdy Pedram podrósł i stracił do niej serce. Odtąd wolał razem z kolegami strzelać do jaskółek w ogrodzie niż zajmować się młodszą siostrą. W Homie jednak pozostało pojęcie obowiązku.

Spotkania poetyckie kontynuowano, chociaż Homa nie czuła się na siłach w nich uczestniczyć.

Dzisiaj zaczęli od Rumiego. Kapitan co prawda palił się do rozpoczęcia od Hafiza, ale ostatecznie postanowił zachować go na potem, na późniejszy wieczór. Taki *fani, hicz*, takie nic jak ja powinno zawsze ustępować – pomyślał sobie.

Kiedy Hadzi Chanum skończyła odmawiać *Zekr*, Huszang włączył się z wierszem Rumiego:

*By wypróbować kochanka,
spytała:
czy bardziej kochasz siebie, czy
mnie?*

*Odrzekł jej: tak się w tobie
zatracam,
że staję się całkiem wypełniony
tobą.*

*Nic ze mnie nie zostało, tylko
imię,
nic we mnie nie istnieje, tylko ty.
Gdy kamień staje się rubinem,
wypełnia go blask słońca.
Gdy taki rubin kocha siebie,
to znaczy, że kocha słońce.
Jeżeli kocha słońce,*

to znaczy, że kocha siebie.

Huszang zrobił pauzę i rozejrzał się dokoła. Wyglądał, jakby czekał na słowa podziwu – a może wyrażał tym własne uczucia.

– Zdaje mi się, że kawałek opuściłeś – powiedziała Zadi. – Pozwól, że spróbuję.

Zaczęła recytować z pamięci:

*By wypróbować kochanka,
spytała:
czy bardziej kochasz siebie, czy
mnie?*

*Odrzekł jej: tak się w tobie
zatraciłem,
że jestem całkiem wypełniony
tobą.*

*Nic ze mnie nie zostało, tylko
imię,
nic we mnie nie istnieje, tylko ty.
Gdy kamień staje się rubinem,
wypełnia go blask słońca.
Gdy taki rubin kocha siebie,
to znaczy, że kocha słońce.
Jeżeli kocha słońce,
to znaczy, że kocha siebie.*

Kapitan otworzył oczy.

– „Zmierzamy teraz w stronę czeluści... wchodzimy”.

– Popatrzył po zebranych. – „A oto jak rzekł Halladż: jestem Bogiem i powiedziałem prawdę”.

– Tak, ale czy istotnie? – Hadzi Chanum sięgnęła po pistacjowe ciasteczko. – Rzeczywiście mówił prawdę, czy to tylko jego zwierzęce pragnienie, jego *nafs*, przemawiało przez niego?

– Och, Hadzi Chanum, przecież to jedno i to samo. Są jednym i tym samym... blask słońca i rubin. To, co ziemskie, profanum.

– Kochanek i kochanka budzą się. Przed chwilą się kochali. On to miał na myśli.

– Tak, ale...

Dyskutowali tak długo w noc, rozważając poezję i jej znaczenia.

Kulturę poezji i jej recytacji Irańczycy kultywowali od starożytności. Wydaje się, że poezję mają we krwi, w genach. *Awesta*, święta księga zaratusztrian, napisana została wierszem. Każda rodzina ma w domu przynajmniej jeden tom poezji, a jest nim dywan Hafiza – dzieła zebrane tego poety, zapisane przepiękną perską kaligrafią i ozdobione malowanymi miniaturami. Drugim najszerzej czytany tomem poetyckim musi być *Gulistan* Sadiego, a dalej w kolejności: *Rubajjaty* Chajjama, *masnawi* oraz *kolijat* Rumiego, i *Szahname* Ferdousiego. Jest oczywiście wielu sławnych poetów współczesnych, wśród których najbardziej uznana i lubiana poetka to Forugh Farrochzad.

Irańscy poeci zawsze byli bardzo szanowani za swoją rolę w podtrzymywaniu żywej kultury i języka wbrew wielu niszczycielskim obcym inwazjom. Literackie arcydzieło Ferdousiego, *Szahname* (Księga królewska),

napisane w dziesiątym wieku, pomogło językowi, kulturze i starożytnej historii Iranu przetrwać inwazję arabską. Irańczycy wychowują się na recytacjach, zapamiętywaniu, interpretowaniu, omawianiu i zaciekłych sporach o znaczenie wierszy od najmłodszych szkolnych lat, jeżeli nie wcześniej. Piękno poezji zasadza się na jej wieloznaczności. Wiersze wymagają interpretacji i dyskusji, a nade wszystko – cieszenia się nimi. Irańska poezja przekracza różnice kulturowe, religijne i polityczne; działa na Irańczyków jak czynnik jednoczący.

– Eh... dla mnie najistotniejsze jest, dlaczego ona mu zadaje takie pytanie. Jaką właściwie miłością sama go kocha? Wybiera między sobą a nim? – głowił się Kapitan.

Huszang Bahmanian wziął od niego tomik poezji.

– Proszę poczekać – powiedział. – Rumi w tym wierszu mówi coś więcej:

*By wypróbować kochanka,
spytała:
czy bardziej kochasz siebie, czy
mnie?*

*Odrzekł jej: tak się w tobie
zatracam,
że staję się całkiem wypełniony
tobą.*

*Nic ze mnie nie zostało, tylko
imię,
nic we mnie nie istnieje, tylko ty.
Gdy kamień staje się rubinem,*

wypełnia go blask słońca.
Gdy taki rubin kocha siebie,
to znaczy, że kocha słońce.
Jeżeli kocha słońce,
to znaczy, że kocha siebie.
Staraj się bardzo, byś był mniej
kamieniem,
aby twój kamień zalśnił jak rubin.
Stań się bez reszty zasłuchanym
uchem,
byś zrobić mógł kolczyki ze swego
rubinu.
Kop swoją studnię głęboko jako
studniarz,
abyś dosięgnął własnej wody na
dnie.

– Co to jest za pytanie: „czy bardziej kochasz siebie, czy mnie”? Jak człowiek ma na nie odpowiedzieć? – zapytał Huszang, dokończywszy recytację.

– Tak jak odpowiada kochanek – odrzekł Kapitan, sącząc herbatę. – Rubin i blask słońca są jednym.

– To nie wystarczy – zaproponował Huszang, popatrując po kółku zebranych w oczekiwaniu wsparcia.

– Pomijasz najważniejsze – odezwał się Reza Sukut.

– Najważniejsze jest to, że Rumi pisze, ponieważ znalazł prawdziwą miłość – stwierdziła Hadzi Chanum. – I została mu ona odwzajemniona. Ktoś o złamanym sercu nie wspiąłby się na wyżyny takiego ideału. Takiego

łatwego oddania.

Kapitan był w szoku.

– Hadzi Chanum! Dziwię się pani. Spodziewałbym się, że właśnie pani spośród tu obecnych zrozumie ten wiersz najlepiej.

– A czemuż to? – uśmiechnęła się chytrze Hadzi Chanum. – Bo co rano kontaktuję się z pierwiastkiem boskim?

– Właśnie dlatego.

– To nie znaczy, że nie jestem kobietą, nie należę do profanum.

Huszang zerwał się na równe nogi.

– No proszę! Wreszcie dotarliśmy do prawdy. Oto kobieta dla pana.

Kapitan podniósł na niego oczy.

– Zaraz, zaraz, chwileczkę, młody człowieku...

– Może powinniśmy zrobić przerwę? – wtrąciła się Zadi.

Siedząca obok ojca Szima Bahrami skinęła głową. Zadi zwróciła się do pary z naprzeciwka. Homa i Reza Sukutowie prezentowali się nie najlepiej. Dni na targu trwały długo, a przez większą część nocy małżonkowie malowali miniatury na sprzedaż.

Szima też wyglądała na zmęczoną. Od tygodnia pracowała prawie non stop – w każdej chwili wolnej od studiów doglądała Maryam i zносиła z magazynu kliniki tyle lekarstw, ile się dało.

– Przydałaby się przerwa... – powiedziała.

Wszyscy, szurając, wyszli na oświetlony księżycem korytarz.

Kapitan popatrzył na pozostałych; miał smutek w oczach.

– Zapewne... – odezwał się z westchnieniem. – Ale...

– Dziękuję, Kapitanie – powiedziała Zadi; przykro jej było go rozczarować co do Hadzi Chanum.

Zadi postąpiła dłuższą chwilę przy drzwiach salonu. Hadzi Chanum zabrała Maryam do kuchni. Zadi patrzyła w drugi koniec korytarza. Widziała Kapitana z córką w ich mieszkaniu – nie zaciągnęli zasłony. Kapitan wbijał wzrok w podłogę, a jego córka znikła w swojej części małego pokoju.

Ciekawe, jak oni zapatrują się na życie – pomyślała Zadi. Szima jest obowiązkowa, ale z ojcem nie spędza nazbyt wiele czasu. Wydaje się, że dzieli ich jakaś otchłań.

W codziennych rozmowach tych dwojga czuć coś bolesnego – myślała Zadi, lecz nie umiała tego nazwać.

Zaciągnęła zasłonę na szklaną ścianę. Spytała kiedyś gospodarza domu, dlaczego na piątym piętrze ściany są ze szkła.

– Bo piąte piętro było kiedyś strychem, na którym poprzedni właściciele trzymali rasowe gołębie – wyjaśnił jej Niendo. – Patriarcha rodziny miał feblik do skrzydlatych stworzeń; uważał, że są nosicielami sekretów *magi*, mędrców, i jeszcze na dodatek Eldorado. Señor był odrobinę stuknięty. Gdy przegrał dom w pokera, zamknął się z gołębiami i odmawiał wyjścia tak długo, aż do reszty

zwariował... Przepraszam! Sama pani spytała, prawda? – rzucił Niendo, tłumiąc chichot, podczas gdy w pośpiechu zbiegał na dół.

Zadi nasłuchiwała się dziwnych opowieści.

Hadzi Chanum wyszła z kuchni z herbatą i ciasteczkami.

– Wracajmy poczytać jeszcze trochę poezji; potrzebuję boskiego bodźca; może coś z Attara?

Zadi zawołała wszystkich.

Zasiedli kołem i popijali herbatę. Hadzi Chanum przyniosła dywan Attara i poprosiła Huszanga o wyrecytowanie dowolnego wiersza. Huszang doskonale wiedział, co to ma być.

*Motyle zgromadziły się pewnej
nocy*

*by poznać prawdę o świetle
świacy.*

*Postanowiły więc, że jeden
podfrunie*

*i zbierze wieści o ukochanym
blasku.*

*Jeden motyl przyfrunął z daleka,
przez pałacowe okno ujrzał
świacy blask*

*i bardziej się nie zbliżył: poleciał
z powrotem*

*oznajmić innym, co sądził, że wie.
Mentor motyli skarcił go,*

*mówiąc, że nie wie nic
o płomieniu.*

*Motyl pilniejszy od tego
pierwszego*

*pofrunął; minął pałacowe drzwi.
Obleciał wokół palenisko
jak drżąca smuga zalęknionej
żądzy.*

*Wrócił pochwalić się, jak daleko
był*

*i opowiedzieć o tym, co zobaczył.
Mentor powiedział: Nie masz
więcej znaków,
niż ten przed tobą, o świeceniu
świacy.*

Hadzi Chanum cmoknęła cicho i pokiwała głową.
Huszang odchrząknął i poprawił okulary na nosie.

*Następny motyl puścił się
w taneczny lot*

*i przysiadł na płonącym ogniu
światła świecy.*

*Zanurzył się w tym ogniu w swym
szalonym transie*

*jego Ja z ogniem splątało się
tańcem,*

*Ogień ogarnął go od głowy po
odnóża*

w przezroczystej, ognistej

czerwieni rozbłysło ciało.

*Gdy mentor dostrzegł ów nagły
pożar,*

*formę motyla zmienioną
w płomieniu,*

*Rzekł: Ten motyl zna prawdę,
której my szukamy,
ukrytą prawdę, której nie
wypowiadamy.*

Huszang przymknął oczy i wzniosł otwarte dłonie.

– Tak, aby zdobyć prawdziwą wiedzę, musimy się nauczyć być jak ten trzeci motyl: nieustraszeni – powiedział Kapitan.

– Namiętni – dodała Zadi.

– Pijani – dorzuciła szybko Hadzi Chanum.

Lampy migotały, zapadła cisza.

Kiedy już wszyscy wyszli, Zadi zamknęła drzwi i usiadła w fotelu, żeby pobyć chwilę w ciszy sama z sobą. Coś nowego absorbowало jej myśli – coś, co domagało się odpowiedzi. Przypomniała sobie, jak parę dni wcześniej do salonu zapukał gospodarz domu.

– Señora Zadi – zaczął Niendo i fuknął gniewnie, krzywiąc się na widok dziury w drzwiach. – Będę potrzebował pani pomocy.

– Czy chodzi o wojnę? – spytała Parastu drżącym głosem.

– Co? Och, nie! Nie!

Weszła Hadzi Chanum.

– To prawda, trąbią o tym w telewizji. Thatcher w natarciu. – Zwróciła się do skrzywionego mężczyzny. – O, pan Niendo, nareszcie przyszedł pan na to workowanie?

Niendo znowu fuknął.

– Wasze szczęście, że mam miękkie serce. Tylko ani słowa o tych rozwalonych drzwiach. – Odwrócił się do Zadi i odezwał po hiszpańsku: – Señora, musi pani tu być jutro wieczorem. Ma pani nową lokatorkę.

– To chyba *pan* ma nową lokatorkę – sprostowała Zadi.

– Wszystko jedno. Będzie pani tutaj jutro wieczorem? Pani wie, że ja nie znam waszego języka. Będzie mi pani potrzebna jako tłumaczka.

– A gdzie by miała być jak nie tutaj? – wtrąciła Hadzi Chanum, rzucając mu pogardliwe spojrzenie.

– Eh! Z wami nawet pogadać nie można! Tylko mi nie wspominajcie o tych drzwiach! – Niendo machnął ręką przed otworem bez szyby i zniknął w mroku schodów.

Hadzi Chanum poklepała siedzisko na znak, że Narges Tapesh ma je zająć z powrotem.

– Śniło mi się kiedyś, że we dwie z Parastu związałyśmy go nicią do zabiegów i bardzo powoli powyrywałyśmy mu te krzaczaste brwi. Uważacie, że to coś znaczy?

Parastu przybrała zgorszona minę.

– Ja bym tego nigdy nie zrobiła!

– Jeszcze jak byś zrobiła! – nie zgodziła się z nią

Hadzi Chanum. – Sama to zaproponowałaś.

Zadi zdążyła już zapomnieć o prośbie Nienda, kiedy ten uchylił drzwi.

– Señora Zadi.

Obok Nienda stała kobieta w ciemnym stroju i chuście *rusari* na głowie.

– Pani nowa lokatorka.

Skinął na nieznaną, ta jednak zawahała się i dalej stała w drzwiach. Zadi dała krok naprzód i wyciągnęła rękę. Kobieta uścisnęła ją po chwili, podnosząc oczy i spotykając wzrok Zadi.

– Farzane Soltani – przedstawiła się szeptem, cichym, lecz spokojnym.

– No właśnie, Sułtan. Te nazwiska. Tak trudno je spamiętać – burknął gospodarz. – Sułtan. Nazywa się Sułtan.

– W porządku, panie Niendo, słyszałam. Dziękuję panu – powiedziała z uśmiechem Zadi.

Choć to może się wydawać dziwne, mam poczucie, że już ją znam; ale jak to możliwe? Jej imię, Farzane, brzmi znajomo, ale Soltani? – głowiła się Zadi.

Nowo przybyła miała coś w oczach: ten wyraz walki, jaki Zadi dostrzegła wielokrotnie u siebie samej, patrząc w lustro – rodzaj światła, które potrafiło zmrocznić, ledwie się zapaliło, bez uprzedzenia czy ostrzeżenia. Bierze się to z tego, że było się świadkiem zbyt wielu smutków w zbyt krótkim czasie; tę grę światłocienia w oczach widywała już Zadi u wielu innych kobiet.

Ciekawiło ją, co przydarzyło się Farzane, którą kiedyś znała – Farzane z jej pamięci. Czytała i słyszała, że tamta Farzane popadła w kłopoty z powodu zaangażowania w irański ruch kobiet.

Zadi poczuła mętlik w głowie. Mam nadzieję, że gdziekolwiek jest, znalazła spokój.

Tamta Farzane była wspaniała – robiła coś, co mogło odmienić życie kobiet – myślała Zadi. Ale jak to możliwe? Jeżeli to ta sama Farzane, czemu się tutaj znalazła? Dlaczego nosi inne nazwisko? Soltani, zamiast Farahanguiz?

– Zadi-dżan! – W progu stał Huszang Bahmanian.
Zadi pospiesznie otarła łzy z krawędzi policzków i podniosła wzrok.

Huszang odchrząknął. Przeczesał ręką włosy.

– Ponieważ zbliża się wojna...

Zadi przeszła przez pokój i zaczęła zaciągać zasłonę.

– To nie jest wojna.

– Pani tego nie czuje, Zadi? Przecież to się dzieje wszędzie. Nie uciekniemy przed nią, ściga nas. – Huszang przerwał na chwilę. – Wyjdź za mnie!

– Słucham?

– Kocham cię. Kocham cię od pierwszej chwili, w której się ujrzeliśmy.

– Witaj, piękniśiu. Zostaniesz na herbatę? – Hadzi Chanum weszła właśnie z kuchni, z tacą słodczy i imbrykiem herbaty.

Huszang pobladł, wyglądał na zgnębitego.

– Nie, dziękuję! – Skinął głową i ulotnił się w ciemny korytarz.

Zadi odetchnęła z ulgą.

– Maryam-dżan jest na dworze. Wyszła z książką, którą trzyma pod poduszką. Wiesz, co śmiesznego powiedziała o Thatcher?... Ale co się stało, dżunam? Taka jesteś blada.

Zadi chciała zachować oświadczyzny Huszanga

w sekrecie, przynajmniej na razie, więc sprytnie zmieniała temat.

– A więc to się naprawdę dzieje, Hadzi Chanum? Następna wojna?

– Nie ma się czym przejmować, *dzunam*. Nic się nam nie stanie. Salonowi też nie. – Hadzi Chanum westchnęła.

– Wojna. Stale wojna.

– Hadzi Chanum, dlaczego mnie się wydaje, że stale walczę?

– Chodź, siądź tu przy mnie, moja mała. – Hadzi Chanum poklepała miejsce na dywanie obok siebie. – Chodź i opowiedz mi, co się dzieje.

Zadi znienacka wybuchnęła płaczem.

– Nie wiem, dlaczego płaczę – chlipała, ocierając oczy. – Z natury nie jestem beksą. Nigdy nie płakałam. Nawet na pogrzebie mojej ukochanej babci, gdy reszta kobiet z rodziny przyszła ubrana w czarne czadory i zasiadła kołem przy jej wychudłym, kruchym ciele. Nawet wtedy nie umiałam zmusić się do płaczu. Myślę, że to po prostu nie leży w mojej naturze. Mam w sercu mur, który powstrzymuje łzy.

My, Irańczycy, znamy ten mur. Jest jak mury otaczające nasze domy i ogrody – tak wysokie, że z ulicy nie widać nawet dachów. *Darun* i *birun*, wewnątrz i na zewnątrz, to dwa odrębne światy – tak nas uczą. Trzeba wiecznie strzec ich odrębności. Nie można o tym zapominać.

A jeśli któregoś dnia wespnieiesz się na swój mur i zaczniesz krzyczeć, zamiast siedzieć cicho, albo śmiać

się, kiedy powinnaś płakać – zamykają za tobą bramę.

Jesteś *diwune*, szalona, niebezpiecznie jest być przy tobie – oskarżą cię.

Ja wolałam śmiać się niż płakać. Zamiast spuścić wzrok, spojrzałam w oczy mężczyzny – w niebieskie oczy mężczyzny, który doskonale rozumiał słabość murów.

I za to mnie ukarali w najgorszy możliwy sposób: odcięli mnie od *jej* imienia...

– Moja babcia i ja nosiłyśmy to samo imię. Obie nazywałyśmy się Szeherazada, po sławnej opowiadaczce z *Baśni tysiąca i jednej nocy*.

Tak jak tamta czarnooka księżniczka, która swymi dywanowymi opowieściami ocaliła całe królestwo kobiet, tak i moja babcia była królewskiej krwi. Urodziła się Kadzarką. Z linii królewskiej, ale nie bezpośrednich następców tronu.

W dzieciństwie spędzała każde lato wraz z resztą królewskiego rodu nad Morzem Kaspijskim i co roku składała wizytę na królewskim dworze w rocznicę koronacji – poza tym jednak wiodła ze swoją rodziną całkiem normalne życie w mieście Hamadan. Wyszła za mąż za lekarza swojego ojca, przystojnego młodzieńca, który mówił pięcioma językami i uwielbiał czytać jej na głos dzieła zachodnich filozofów. Przeprowadzili się do dużego, wygodnego domu naprzeciwko domu jej rodziców. Rósł tam wielki sad z drzewami persymony.

Moja babcia Szeherazada nie była najpiękniejszą dziewczyną w okolicy, ale na pewno najbystrzejszą

i najpraktyczniejszą, a tych cech większości Kadzarów brakowało.

Gdy jej kuzynki zakochiwały się po uszy w odurzonych opium książętach, zatracaly w obzarstwie i pałacowych intrygach, babcia pracowicie budowała własne małe imperium – dom pełen wspaniałych zbiorów sztuki *Saffavian*, przytulnych kącików lektury oraz śmiechu jej siedmiorga dzieci. A po śmierci moich rodziców przygarnęła mnie do siebie i zamieszkałam w jej domu.

Za to, i z tysiąca innych powodów, czciłam ziemię, po której stapała.

Z siedmiorga dzieci babci tylko dwie moje ciotki i mój ojciec pozostali w Iranie.

Wszyscy stryjowie powyjeżdżali do szkół w zimnych krajach, takich jak Szkocja i Szwecja, poznali rudowłose kobiety z ogniem w oczach i pożenili się z nimi.

Gdyby coś takiego spotkało inną matkę, złamałoby jej serce, ale moja babcia miała filozoficzne podejście do synów, którzy ją opuścili.

„Córkę – mawiała – ma się na całe życie. A syn jest synem tylko, dopóki się nie ożeni”. Mądra obserwacja, lecz trudno było w nią uwierzyć, patrząc na moje ciotki.

Amme Latifeh była najstarsza. Średnio urodziwa jako nastolatka, przyjęła oświadczyzny człowieka znacznie od niej starszego, jednego z najzamożniejszych kupców Hamadanu. Był gruby, ospowaty i cuchnął smażoną kozieradką, której kilogramy codziennie konsumował.

Apetyt miał też na młodych chłopców, co było dla

amme Latifeh bolesnym odkryciem, w którego rezultacie zgorzkniała.

Co do *amme* Tahereh, która nie miała ani cienia młodzieńczej urody, ani też przebiegłości swojej starszej siostry – oddała się studiom koranicznym i znana była z używania pasa wobec wszystkich, od własnych dzieci po psa sąsiadów, tytułem osobistej pokuty.

Strasznie mi zazdrościły babcinej miłości. Nie mogły znieść, że babcia daje mi swobodę, której one same nigdy nie zaznały; narzekały, ilekroć dostałam nowy strój albo wyszłam z koleżankami do kina.

*

– Był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty, w kraju panowała wolność, jak jeszcze nigdy. Minispódniczki i dyskoteki. Trzymanie się za rękę na ulicy, pocałunki. Jako osiemnastolatka nie miałam wyznaczonej godziny powrotu do domu, wolno mi było chodzić do pobliskiego kina i do włoskiej pizzerii.

To w tym kinie, zbudowanym przez Amerykanów, zakochałam się pierwszy raz w mężczyźnie. W Peterze O'Toole'u. Był angielskim aktorem o blond włosach i niebieskich oczach.

Grał Lawrence'a w filmie *Lawrence z Arabii*.

Och, jak szybko biło mi serce, gdy widziałam go na wielkim ekranie!

Wracałam na ten film codziennie, aż właściciel kina się nade mną zlitował i pozwolił mi wchodzić za darmo.

Powiedział, żebym zachowała pieniądze za bilet na

makijaż i ładne ciuszki.

Nie podobało mi się, jak na mnie patrzył.

Szczerze mówiąc, nie podobało mi się to, jak patrzyli na mnie irańscy chłopcy i mężczyźni. Moje serce należało do Petera O'Toole'a, koniec kropka. Przysięgłam sobie, że mężczyzna, za którego wyjdę za mąż, będzie Peterem O'Toole'em albo kimś bardzo do niego podobnym.

Kimś, kto ma niebieskie oczy i skórę tak białą, że widać przez nią żyły.

Żyły tętniące miłością do mnie.

I znalazłam takiego mężczyznę, wkrótce po ukończeniu osiemnastu lat.

David, bo tak się nazywał, nie był – o czym dowiedziałam się później – Anglikiem, jak Peter O'Toole, ale kimś prawie równie dobrym: Amerykaninem. Amerykańskim blondynem o niebieskich oczach.

Pracował jako architekt, należał do ekipy budującej nowy most pod Hamadanem. Most ten przecinał też strumyk, który płynął na tyłach domu mojej babci. Strumyk obrzeżony orzechowcami, a zasilany z gór Alvand.

Och, jak tęsknię za moim Hamadanem! Widzisz, Hadzi Chanum, nie byłam tam od ukończenia osiemnastu lat.

Skręciłam za róg ulicy i zobaczyłam go. Był koniec września, ale letni upał wciąż dawał się we znaki w naszym górskim mieście: już o ósmej rano temperatura wynosiła trzydzieści dwa stopnie. Nie wiem, co spodziewałam się zobaczyć, kiedy tak skręcałam za ten róg pędem, z powiewającymi warkoczami – ale z całą

pewnością nie nagiego mężczyznę.

Był nagi od pasa w górę, ale więcej mężczyzny nigdy w życiu nie widziałam. Nie znalazłby się, oczywiście, Irańczyk, który publicznie zdjąłby z siebie koszulę. Przypuszczałam jednak, że tamten miał po temu ważki powód, pracując wraz ze swą ekipą przy budowie mostu.

Most budowali na skraju miasta, a David należał do ekipy kontraktowej. Amerykanów było wtedy pełno w Hamadanie. W całym kraju. Od zakończenia drugiej wojny światowej budowali swoje biura i centra handlowe, domy i baseny, ogrody na widoku wszystkich sąsiadów. Całkiem nie w guście Irańczyków, którzy wolą wysokie mury wokół swoich domostw.

„Amerykanie nie mają, w odróżnieniu od nas, problemu z murami – powiedziała kiedyś babcia Szeherezada. – A może ich mury są niewidoczne, co jest jeszcze groźniejsze”.

Tamtego dnia nie pamiętałam o słowach babci.

Myślałam tylko, jaki piękny jest ten Amerykanin – niczym gwiazdor filmowy. Zrobił sobie przerwę z brygadziwą; palił papierosa Camel.

Włosy miał złote, czyste złoto, a jego nagi tors ociekał potem.

Oczywiście nie przeszłam przez most. Nie zrobiłabym tego, nawet gdyby był już gotowy. Jakkolwiek babcia Szeherezada zostawiała mi więcej swobody, niż miały moje szkolne koleżanki, nie wybaczone by mi nigdy wejścia na cudzoziemską drogę. Moją babcię wychowano,

bądź co bądź, w domu lojalistycznym. Nie mogła znieść tego, jak Kadzarowie, a później szach, sprzedają się Anglikom i Amerykanom. Nigdy by mi nie darowała, gdyby się dowiedziała, że przeszłam przez ten most.

Poszłam więc dłuższą, okrężną drogą, jak co rano.

Nawet się nie obejrzałam na mężczyznę ze złotą głową i nagim torse, chociaż serce biło mi tak mocno, że widziałam jego ruchy pod szkolnym fartuszkim.

Przez cały dzień marzyłam o moim złotym mężczyźnie. Wyobrażałam go sobie w białym turbanie – takim, jaki nosił na pustyni Lawrence z Arabii – jak porywa mnie na swego rumaka i wywozi w dal. Och! – wzdychałam – dlaczego nie mogę mieć tego mężczyzny, zamiast śniadego wąsatego chłopaka, jakich pełno wokół, i wszyscy chcą tylko dopaść dziewczynę w ustronnej uliczce, by z paskudnym uśmiechem dybać na jej cnotę? Nie życzyłam sobie takiego losu.

„Bądź ostrożny w swoich życzeniach” – poradził dżin Aladynowi. Ja też powinnam była go usłuchać.

Powinnam była pomyśleć dwa razy o swoim pragnieniu, nim za nim podążyłam. Powinnam była trzymać swoje fantazje za bramą. Ja tymczasem już tydzień później podeszłam do mężczyzny o złotych włosach i dałam się poczęstować camelem.

Szłam do szkoły, kiedy znów go ujrzałam. Pomagał robotnikom uruchomić korbą jeden z dźwigów przy moście. Moje myśli pochłaniał kolor jego włosów, biel i różowość skóry – och, jaki on był przystojny! A gdy mi

zapropował papierosa i sam go dla mnie zapalił, nie ośmieliłam się odmówić. Nie chciałam, żeby mnie wziął za wiejską prostytutkę.

Jest moim przeznaczeniem – postanowiłam; i już szłam w jego stronę. Zmobilizowawszy całą odwagę i upchnąwszy ją w żołądku, pozwoliłam jej się poprowadzić do strumienia i mojego Lawrence’a z Arabii.

Nie spytał, czy chcę zapalić – po prostu podsunął mi paczkę.

„W przyszłym roku zaczynam studiować prawo” – powiedziałam ze swoim najlepszym amerykańskim akcentem, biorąc papierosa. Po angielsku mówiłam płynnie od szóstego roku życia, co jest u nas normalne dla wszystkich dzieci. Uczono nas tak podstawowych rzeczy, przynajmniej kiedy ja byłam mała. Jego pracownicy musieli uznać mnie za wariatkę: uczennica z Hamadanu co poniedziałek rano pali papierosy z Amerykaninem i gada z nim o głupstwach. Tego pierwszego dnia rozmawialiśmy o pogodzie, o rzeczach bez znaczenia.

Miał dwadzieścia siedem lat, jak mi powiedział, i pochodził z małego miasteczka w Iowa. Czy słyszałam o tym stanie?

„Nie ma nic piękniejszego niż niebo nad Iowa – mówił. – Nieskończone. Takie właśnie jest. Rozciąga się w niezmierną dal, ogarniając Góry Skaliste, pola, wszystko. Taka jest Ameryka, Zadi. Nic cię nie powstrzyma przed zdobywaniem tego, czego chcesz. Nie to co tutaj. – Cisnął niedopałek do wody i pokręcił głową.

– Te tutejsze góry, które tak kochasz, blokują niebo, spójrz. W architekturze nazywa się to szkaradzieństwem. Nie poddają się. Są tu po to, żeby odgradzać. Trzymać w zamknięciu. – Spojrzał na mnie niebieskimi oczami. – To wcale do ciebie nie pasuje, Zadi. Ty potrzebujesz wiedzieć, że nic cię nie zakotwicza. Potrzebujesz być wolna”.

I tak naszym porannym rytuałem stały się spotkania przy zakolu rzeki i głupie pogaduszki. Coś cudownego.

Pierwszego dnia o pogodzie, ale potem o polityce i wolności.

Zdradziłam mu swoje ambicje: chęć studiowania wstępu do prawa na Uniwersytecie Teherańskim, a potem zdobycia dyplomu magisterskiego. Sześć lat, by stanąć na wokandzie.

On na to zacytował wiersz, który przeczytał niedawno w jakimś piśmie:

*Powstań, siostró, i wyrwij
korzenie ucisku.*

*Ulżyj swojemu krwawiącemu
sercu.*

*Na rzecz wolności
walcz o zmianę prawa. Powstań.*

Fragment był wyjęty z kontekstu – te wersy oznaczały w istocie coś całkiem innego – ale dla mnie to nie miało znaczenia. On był po mojej stronie: wzywał mnie do powstania.

Zakochałam się.

Nic, oczywiście, nie robiliśmy – nic, czego miałabym się wstydzić – ale i tak nikomu nie mówiłam o tych porannych spotkaniach. O naszych rozmowach. Wiedziałam, że chcę z nim być, pójść za nim wszędzie, tylko jak i kiedy? To wydawało się nieosiągalne. Na każdym kroku napotykałam trudności. No i była moja ukochana babcia, która mnie przygarnęła, gdy miałam siedem lat, i dała mi wszelką swobodę, na jaką mogła liczyć dziewczyna w Iranie. Jak mogłabym jej zrobić coś takiego?

A jednak musiał istnieć jakiś sposób.

Nasza tęsknota jest sposobem.

Sposób pojawił się znienacka na wiosnę.

*

Dzień, w którym straciłam swoje imię. To było dwudziestego marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku. W wigilię Nou Ruz, obchodów Nowego Roku. Jak cudnie zaczął się ten dzień, jaką radość czułam rano!

Jak mocno wszystko pachniało, jak pełne było życia i obietnic wiosny.

Cały Hamadan szykował się w najlepsze do świętowania Nowego Roku. Dywany, rozwieszane na murach, trzepano, aż uchodził z nich cały kurz i ukazywała się barwna przedza. Wszędzie pachniało świeżym chlebem *barbari* i szafranowymi ciasteczkami.

W porze wiosennej wszystko w życiu się odnawia. Ludzie, którzy mogą sobie na to pozwolić, kupują nowe

ubrania, dywany, meble, dekoracje do wystroju wewnątrz itp. – a jeśli kogoś nie stać, to szoruje, przemaalowuje i czyści to, co ma.

Z ogrodów i dziedzińców zrywa się zonkile i tulipany do wazonów, a leśna woń kadzidła przesłania progi domów, broniąc wejścia maruderom zimowych duchów.

Było też w tym okresie dużo śmiechu, zwłaszcza wśród okolicznych dzieciaków, niecierpliwie wyczekujących przybycia Hadżiego Firuza – noworocznego klauna, który za drobny datek tańczył z tamburynem przed każdymi drzwiami.

Ja, jako dziecko, zawsze trochę się bałam Hadżiego Firuza.

Miał coś złowrogiego w swojej usmarowanej na czarno twarzy i czerwonym stroju, coś diabelskiego – tak mi się zdawało.

Na dźwięk jego tamburynu, gdy zbliżał się ulicą, uciekałam za zieloną metalową bramę domu babci i chowałam się za największym drzewem persymony. Pod zasłoną owoców czekałam, aż moje serce przestanie szaleć, a brzęk tamburynu oddali się na sąsiednią ulicę. Babcia Szeherezada знаła mój lęk i nigdy mnie nie wypychała do zabawy z Hadżim Firuzem, w której brały udział inne dzieci. Babcia nigdy nie zmuszała swoich dzieci do robienia tego, czego się bały. Była to jedna z jej pięknych zalet.

Tego dnia, poprzedzającego Nowy Rok, przygotowania trwały wszędzie, tak samo w murach Persymonowego

Pałacu. Na piecach bulgotały garnki z jedzeniem, a wszystkie kąty zmyto wodą różaną, przez co dom napełnił się wonią ożywczą jak żadna inna: wonią rozkwitłych róż.

Podobnie jak meble, dywany w całym domu wyszykowano i uprano parę tygodni przedtem. Z tym że służba zajmująca się tymi pracami przegapiła jakoś długi chodnik w hallu. Był to chodnik z Tebrizu, miasta ręcznie tkanych dywanów, z wzorem dwóch całujących się synogarlic pośrodku.

Zamiast zlecić służącym rozwinięcie chodnika na dziedzińcu i spryskanie go detergentem, moja babcia postanowiła, że ostatni dywan wypierze sama.

Deptanie jedwabnej przędzy sprawiało jej przyjemność. „Lubię czuć wzór pod wzorem” – powtarzała.

Nikt więc się nie zdziwił, gdy babcia wzięła od służącej chodnik, rozwinęła go na dziedzińcu i zaczęła się ślizgać po jego pokrytej pianą powierzchni.

Oczywiście nikt poza moimi ciotkami. Te były zgorszone.

Amme Latifeh jedynie zacisnęła usta, ale *amme* Tahereh dała głośno wyraz swoim obiekjom na widok matki wykonującej fizyczną pracę.

„Bogu dzięki, że mamy tu mur – powiedziała. – Umarłabym ze wstydu, gdyby to zobaczyła któraś z sąsiadek. Ale czy nie dość, że Bóg to widzi? Czy nie dość, że ona burzy, jak zawsze, naturalny porządek rzeczy?”

Szczerze mówiąc, uważam, że powinniśmy z nią poważnie porozmawiać. Niech wyjedzie na jakiś czas nad Morze Kaspijskie, powdycha trochę słonego powietrza, to może jej się rozjaśni w tym słabym umyśle”.

Amme Latifeh, nadęta, ruszyła po schodach do domu, rzucając mi w przelocie gniewne spojrzenia. Siedziałam na pleconym stołku, łuskając fasolę. Fasola miała iść do garnka z koprem i maślanym ryżem – jednym z ulubionych dań babci na Nowy Rok. Przez całą noc służba i domownicy mieli gotować, szykować niezliczone dania podawane potem rodzinie i gościom tłumnie odwiedzającym nasz dom w ciągu trzynastu dni noworocznych obchodów. Gotowanie było jedyną pracą gloryfikowaną nawet przez moje ciotki.

Pamiętam, że wycisnęłam właśnie fasolkę ze strąka i uśmiechałam się do odgłosu, jaki wydała, wyskakując na światło, gdy babcia Szeherezada uderzyła głową o ziemię. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że fasola wyciśnięta ze strąka nie powoduje takiego huku. Wypuściłam z rąk misę fasoli, której ziarna rozprysły się dokoła, i skoczyłam na pomoc babci.

Piana pokrywająca dywan wezbrała wokół jej ciała, ale nie ochroniła czaszki. Lekarz stwierdził, że to nie miało znaczenia, że babcia zmarła na udar mózgu, jeszcze zanim jej głowa uderzyła w wapienne płyty dziedzińca.

Umarła, zanim padła na ziemię, wpatrzona w niebo na wysokości.

Nie było już babci. I mnie też.

Uciekłam. Uciekłam od tego domu i od tłumu żałobników, którzy przyszli konsumować nie potrawy nowego początku, tylko kęsy wspomnień.

Gdy moje ciotki owinęły się w żałobne czadory i zaczęły lamentować – „Komu nas zostawiasz? Komu nas zostawiasz?” – szarpiąc i rozdzierając fałdy woali oraz szaty na piersiach, niczym oszalałe zwierzęta, ja owinęłam włosy ulubioną chustą babci i wymknęłam się z domu.

W głowie miałam pustkę, serce nietykalne. Ledwo widziałam drogę przed sobą, gdy mijałam kolejne budynki na naszej ulicy. Północne celebracje zaczynały się już we wszystkich domach, prócz naszego.

Biegając, wciąż słyszałam żałobne, jękliwe głosy ciotek.

Komu nas zostawiasz? Komu nas zostawiasz?

Zdawało się, że nic ich nie obchodzi poza własną żałobą. Były tak samolubne wobec woli tego, co w górze.

Czyżby nie dość dobrze znały swoją wiarę? Czyżby nie wiedziały, że ich lamentsy sprawiają tylko ból ulatującej duszy babci Szeherezady, która od nas odchodzi?

Gdzie była ich pokora wobec Boga?

Obracałam w myślach te pytania i była to moja własna forma żałoby, wiedziałam bowiem, że już nie zadam ich babci.

Nie mogłam jej prosić, żeby została.

Była gotowa do odejścia, tam, na dziedzińcu; wybrała sobie na odejście z ziemi tę chwilę, gdy palce jej stóp spoczęły na gołębach skrzydłach.

Albo chwila ta została dla niej wybrana.

Przyszedł jej czas – po prostu.

A jednak nie mogłam przestać biec. Biegłam i biegłam, aż dotarłam na miejski plac. Plac w Hamadanie nie jest kwadratem, tylko kołem, centralnym sercem większego koła. Z tego centrum rozchodzi się sześć głównych ulic, niczym szprychy, zmierzając we wszystkie strony do obwodnicy, która je łączy. Jedź na południe – a dotrzesz do grobowca Awicenny. Był to wielki lekarz. To on pierwszy wyekstrahował esencję z płatków róży, on odkrył, jak to robić. Lecz nawet Awicenna nie mógł przywrócić do życia babci Szeherezady. Droga na południowy zachód doprowadzi cię do innego grobowca – Baby Tahera. Pisał on wiersze dla zwykłego człowieka; za wydobywanie najczystszych słów nadano mu przydomek „Nagi”. Lecz wszystko to jest mniej ważne niż fakt, że nadal stałam na kolistym placu, niezdolna podjąć jakąkolwiek decyzję, niezdolna myśleć rozsądnie. Wtedy właśnie uprzytomniłam sobie, że nie płaczę, chociaż tak mi się zdawało. Że mój smutek obrósł własną skórą i ukrył się jak najgłębiej w momencie, gdy usłyszałam huk uderzenia głowy babci o ziemię.

Nie wydobędę tego smutku, choćbym padła na kolana i grzebała w ziemi obiema rękami. Jest taki wiersz Rumiego, a raczej powiedzenie, drogie wielu Irańczykom. Na pewno je znasz, brzmi tak:

Kop swoją studnię głęboko... Abyś dosięgła wody na dnie.

Ale moja studnia była już za głęboka; zdawała się zbyt mroczna na łzy.

Stałam u zbiegu wszystkich dróg, nie wiem, jak długo. Ale musiał minąć jakiś czas, zanim sobie uświadomiłam, że jestem sama. Że niebo ma dziwny kolor bordo i że wiosenny dzień przemienił się w zimną zimową noc.

Zmarzłam bez płaszcza. Wybiegłam z domu tak, jak stałam: w dzinsowych dzwonach i cienkim swetrze – no i w tej czarno-białej chuście pachnącej moją babcią.

„Hej tam. Nie powinnaś już leżeć w łóżku?”

Siedział na jednej z kamiennych ławek po mojej lewej stronie. Papieros zwisał mu z ust, długi skórzany płaszcz otulał wysoką postać. Mój Amerykanin.

Myślałam, że nie zmieszczę już w ciele więcej szoku, a jednak się myliłam. Na widok Davida mogłam tylko paść pośrodku placu, prosto na zimne kamienne płyty.

„Hej, hej!” – David już był przy mnie, podnosił mnie. Przeniósł mnie na ławkę i zaczął rozluźniać moją chustę. Chyba nie oddychałam, a przynajmniej nie wydawałam żadnego odgłosu, bo nawet Amerykanin powinien wiedzieć, że nie wypada publicznie dotykać kobiety, tak jak on to czynił. Tylko mężowi wolno zdjąć kobiecie chustę, co powiedziałabym Davidowi, gdybym nie zapomniała języka w gębie.

Zapomniałam języka, ale David go znalazł. Bo zanim się zorientowałam, poczułam jego usta na swoich.

Uderzył mnie zapach papierosów i mięty, myślałam tylko, że zaraz zemdleję. To był mój pierwszy pocałunek

w życiu – co mogłam wiedzieć o tych sprawach?

Skąd miałam wiedzieć, że to nie jest prawdziwy pocałunek? Że David próbuje tchnąć we mnie życie, bo myśli, że umieram?

Myślałam, że to robi, bo mnie kocha.

Po cóż innego miałby szeptać: „Nie opuszczaj mnie teraz. Nie odchodź nigdzie, Zadi”.

To on pierwszy nazwał mnie Zadi. Pamiętam, jak próbowałam opowiedzieć mu historię swojego imienia, o księżniczce Szeherazadzie i o tym, dlaczego tak zachwycała wszystkie perskie kobiety – ale on tylko znów kręcił głową.

„To zbyt zawiłe, zbyt długie. Znam ciebie. Jesteś o wiele prostsza. Jesteś Zadi. Oto, kim jesteś. Tak będą cię nazywali u mnie w ojczyźnie. Zadi. To brzmi sympatyczniej, wiesz?”

Wiedziałam. Też pomyślałam, że to łatwiejsze, sympatyczniejsze. Oczywiście, że byłam Zadi.

Po tym przemianowaniu zaczęłam szybciej chodzić. Nie byłam już przywiązana do ziemi ani ścian domu babci. Hamadan stał się nagle dla mnie za ciasny, na jego ulice i staromodne tramwaje patrzyłam z zażenowaniem. Zaczęło mnie przerażać chodzenie na bazar, konieczność borykania się z licznymi zawiłościami codziennego życia. To wszystko, co Irańczycy cenią, czym żyją.

To, że musimy ze wszystkim się certolić, *taarof*; ta fałszywa pokora, dwukrotne udawanie, że czegoś nie chcemy, zanim za trzecim razem to przyjmiemy. Nie dość,

że tak robimy na bazarze, nad *sofre* z jedzeniem – zwyczaj ten obowiązuje także na weselach. Panna młoda udaje, że jest niewinna, że nie pragnie miłości. Zwyczajna farsa. Nierzeczywistość. David miał rację. W Iranie zanadto wszystko komplikujemy. Jeżeli czegoś chcesz, podążaj za tym. Wykrzykuj to ponad dachy. Mów o tym świecie. Po co te wszystkie fałszywe formy?

Snułam te rozważania przez następne tygodnie, przez całą jesień. Myśli kłębiły się w mojej głowie, krążyły w kółko, oszałamiając możliwościami.

Możliwościami przyszłości, która nagle otwarła się przede mną.

Przyszłości za szczytami gór Alvand.

Zakochałam się w nim. Tak strasznie pragnęłam jego ramion, jego niebieskich oczu, że nawet zaczęłam zaniedbywać naukę. Odkąd skończyłam czternaście lat, chciałam studiować prawo. Iść śladem tych wszystkich kobiet, które sięgają wyżej, odpowiadając na wezwanie do tworzenia lepszego kraju. Żeby kobiety zrozumiały. Kobiety wiedzą, że żadne społeczeństwo nie przetrwa, jeżeli jego matkom i siostronom knebluje się usta. Jeżeli nie mają co powiedzieć i nie wiedzą jak. Wyciąć macicę z tego świata i trzymać ją za wysokim murem – to sprzeczne z naturą. To działanie przeciwko Bogu i życiu. Milczeć znaczy umrzeć. Ale przemówić w nieodpowiednim momencie to także umrzeć. Trzeba umieć zdecydować, kiedy zachować słowa dla siebie. Tylko że czasem człowiek nie wytrzymuje. Czasami słowa

wyrywają się z ust, zanim się je pomyśli.

A czasem inni wybierają twoje słowa, przypieczętowując twoje przeznaczenie.

Tak właśnie stało się ze mną.

Pamiętam tamten pierwszy pocałunek mojego Amerykanina na kamiennej ławce, na kolistym placu w Hamadanie.

Pamiętam, jak uniosłam osłabione ramiona i przyciągnęłam jego kark, i nie puszczałam.

Pamiętam, jak David wziął mnie na ręce i przeniósł przez pusty plac do swojego samochodu, zaparkowanego w bocznej uliczce.

Pamiętam, jak przestałam widzieć ulice, które przemykały obok, poruszając wszystkie moje atomy, przenosząc mnie w inną przestrzeń i inny czas.

Auto gdzieś się zatrzymało. Czas gdzieś się zatrzymał, gdy całowaliśmy się z Davidem w samochodzie.

Ulatywała ze mnie esencja.

Wynurzałam się z własnej głębi, niezakotwiczona. Usłyszałam podzwanianie. Słyszałam je, miałam wrażenie, od wielu godzin. Pomyślałam, że to moje serce, falujące jak ocean, którym stało się w piersi, pod ciałem Davida. A kiedy dzwonek ustał pod oknem samochodu, nie wydało mi się to dziwne, bo poczułam, że serce wreszcie się uspokoiło i nie musiało już bić, rezonując na całe ciało.

Myślałam tak, nawet gdy już spojrzałam w górę i zobaczyłam, w odbiciu przeciwległej szyby, całkiem czarną twarz.

Uczernioną twarz i czerwoną czapkę. Tamburyn wzniesiony na wysokość ostrożnego uśmiechu.

Zamrugalam, a potem spojrzałam w okno ponad ramieniem Davida. Nie patrzyła na mnie żadna twarz. To było tylko złudzenie.

A jednak się myliłam. Diabeł zajrzał prosto w moją duszę. Hadzi Firuz nareszcie mnie dopadł, nie miałam gdzie się przed nim ukryć.

Tutejszy Hadzi Firuz, noworoczny klaun, był miejscowym muzykantom, który grywał po herbaciarniach Hamadanu. Raz do roku przebierał się i grał na tamburynie. Wiedział, kim jestem i gdzie mieszkam.

Nie miałam wątpliwości, że wkrótce powie ciotkom, co widział na tylnym siedzeniu samochodu amerykańskiego architekta.

David i ja spędziliśmy noc w mieszkaniu, w którym stacjonował. Była to noc pełna radości bycia razem i strachu przed tym, że nazajutrz zabiją nas albo moi krewni, albo rozsierdzony tłum. Dla fanatyków religijnych nie jest niczym niezwykłym wziąć sprawiedliwość w swoje ręce i ukarać śmiercią osobę określaną jako szmata, dziwka albo niewierny. Nie wiedziałam, co myśli David, ale sama byłam pewna, że życie, jakie znałam, dobiegło końca.

Kiedy się obudziłam, był późny ranek dnia następnego. David spakował się i wyniósł; nie zostawił po sobie ani śladu. Pospiesznie zesłam na dół, do recepcji. Recepcjonista poinformował mnie, że David wymeldował

się wcześniej tego ranka. Popędziłam do domu babci. Tak strasznie byłam naiwna – nawet nie pomyślałam o tym, co może mnie czekać. Wiedziałam tylko, że jestem przerażona i zła.

Mój kochanek się ulotnił. Całe miasto już o tym wiedziało, dzięki Hadziem Firuzowi. Mężczyźni z jednej herbaciarni szukali Davida, chcieli wymierzyć mu sprawiedliwość. Kiedy się dowiedzieli, że zdążył wyjechać z miasta, wpadli w jeszcze większy gniew.

Mężczyźni z naszego sąsiedztwa głośno żądali krwi, tak byli wściekli. Nie żeby seks z irańską dziewczyną był nielegalny – mnóstwo Amerykanów brało sobie podówczas perskie żony – ale wciąż pozostawał kwestią honoru. Pochodziłam z rodu Kadzarów, jednego z najstarszych w mieście. Nie wspominając o tym, że moja babcia umarła poprzedniego dnia rano, więc zniewaga była podwójna.

Słyszałam wściekłe wycie, jeszcze zanim wślizgnęłam się przez zieloną bramę – ale nie byłam przygotowana na to, co zobaczyłam na dziedzińcu. W jednym rogu buzowało wielkie ognisko. Goście, którzy byli na stypie, już się rozeszli – pozostały moje dwie ciotki. I to one wyły na dziedzińcu, wrzucając w ogień rozmaite przedmioty. Przez chwilę pomyślałam, że to ognisko Czerwonej Środy, przez które przeskakuje się w ostatnią środę poprzedzającą Nowy Rok. Babcia przeskoczyła przez takie raptem kilka dni temu – przypomniało mi się. Podkasła spódnicę i przeskoczyła, skandując życzenie szczęścia, prosząc

płomienie, aby dały jej siły na kolejny rok. Ja zrobiłam to samo, podwinawszy nogawki dżinsowych dzwonów; skoczyłam z zamkniętymi oczami, żeby okazać swoją wiarę w to, że Bóg przeniesie mnie w chłodne i bezpieczne miejsce po drugiej stronie.

Ale ogień, który teraz płonął na dziedzińcu, nie był ogniem na szczęście. To był ogień zniszczenia. Ciotki paliły wszystko, co kiedykolwiek należało do mnie. Wszystkie moje rzeczy, co do sztuki. Tego ranka wyгнаły mnie z domu, zakazując na zawsze powrotu do Hamadanu. Zabroniły mi też używać imienia babci i rodowego nazwiska. Te dwie kobiety przepędziły mnie tak, jak stałam – nie miałam nic poza małym orzeszkiem, rosnącym w moim brzuchu. Dzieckiem.

Zadi podniosła wzrok na Hadzi Chanum. W oczach miała bolesną determinację.

– Niebawem miałam się przekonać, jak bardzo będę potrzebować mocy tamtego ognia. Potrzebowałam jej mnóstwo. Niegasnącego płomienia.

Los to dziwna rzecz – pomyślał Kapitan.

Miał na myśli film obejrzany w telewizji u Hadzi Chanum. Zachodził tam czasami po kolacji, na herbatę i *sohbat*. Nie widział w tym nic niestosownego – i słusznie, jak zapewniła go ta wielka dama, gdy poruszył ową kwestię. Jakże pragnął powiedzieć jej więcej, jak komicznie rwało się do niej jego serce – ale nie wolno, nigdy.

*Oszacowałem wpływ Rozumu na Miłość
i stwierdzam, że jest taki, jak wpływ kropli deszczu na ocean.*

Dzisiaj telewizja pokazywała film *Papillon*, ze Stevem McQueenem w roli głównej. Mówili na niego *Papillon* z powodu tatuażu z motylem na torsie. Hadzi Chanum zaprosiła Kapitana, żeby obejrzał ten film razem z nią. Z jakiegoś powodu film przypomniawszy mu dzień, w którym jego córka złapała motyla. Historię opisała mu matka dziewczynki, bo sam Kapitan nie mógł być jej świadkiem. Mała Szima wyszła na spacer po stepach powyżej Tebrizu i znalazła sobie skrzydlatego towarzysza. Motyla wielkości jej dłoni. O skrzydłach posypanych pyłkiem, który dorosłego oślepiłby na tydzień. Matka ostrzegła ją, żeby nie dotykała skrzydeł, ale dotknęła – zrobiła to. I oślepała na trzy dni za miłość do tak pięknego stworzenia.

Kapitan znalazł wspaniałą bratnią duszę

i entuzjastyczną słuchaczkę, której mógł opowiadać swoje historie. Historie trzymane dotąd w utajeniu – całe życie cennych skarbów, oczekujących na przedstawienie komuś, kto byłby wart tego, by je posiadać i ich strzec.

*Sekrety, których nigdy nie
wyznałem i nie wyznam,
Teraz, mej zaufanej towarzyszcze,
wyznaję.*

– To był ciekawy film, ale my w Evin nie mieliśmy tak dobrze – rzekł Kapitan po zakończeniu filmu. – W przeciwieństwie do Steve’a McQueena nie mieliśmy nawet luksusu myślenia o ucieczce, nie mówiąc już o okazji do skoku z urwiska, prosto w gościnny ocean.

W święte istnienie, które przewyższa wszelkie istnienie.

Zezwolono nam tylko na jedno: modlitwę. Mogliśmy modlić się rano, chociaż praktyka ta nie była dobrze widziana. Mieliśmy wszak nową epokę: szach, jak donosili przybyli po nas więźniowie, narzucał prawa wszystkim zakamarkom naszego świata.

Wraz z towarzyszami z celi recytowałem *Szahname*, gdy strażnik poinformował nas szeptem o powrocie szacha. Radio nadało tę wiadomość w całym kraju: o jego powrocie, Amerykanach, prezydencie Eisenhowerze, helikopterach i jeszcze dużo więcej.

Ciekawa rzecz: akurat na ten tydzień wybrałem na spotkanie poetyckie temat historii metalurgii. Wiersz mówił o narodzinach tej szalonej sztuki, począwszy od

iskry wznieconej rzuconym krzemieniem i pierwszego płomienia. Idea alchemii w jej najczystszej formie obudziła we mnie poczucie, że jesteśmy wolni i możemy robić, co chcemy.

Wystarczyła, abyśmy we czterech zapomnieli na chwilę o rzeczywistości, o tym, że w świecie na zewnątrz nie wszystko jest w porządku, o naszym ukochanym kraju. Przypomniała za to o innych rzeczach. O esencji tego, co znaczy być Irańczykiem, człowiekiem. Nie mogliśmy zrobić nic więcej, jak tylko spróbować pamiętać i wspomagać się nawzajem, wymieniając między sobą słowa; wspominać, wciąż na nowo, naszą przeszłość, nasze prawo do wolności; tkać dywan wspomnień i opowieści.

Tak to przez wszystkie dni więzienia przetrwaliśmy najgorszy rodzaj ciężkich robót – nicnierobienie. W więzieniu nie przydzielono nam żadnych obowiązków, nie udzielano informacji o świecie na zewnątrz. Ani o naszych przyszłych losach.

Gdybyż było nam wolno przez cały czas recytować poezje, kontynuować spotkania! Ale nie było to możliwe. Więc siedzieliśmy.

Siedzenie w ciemności.

Jakie szaleństwo budzi się w takich momentach.

Kapitan przerwał, bo poczuł mdłości – jakby w żołądku miał ciężką grudę, gotową wybuchnąć z płaczem. A jakże mógł płakać? Był mężczyzną!

Hadzi Chanum, zdając sobie sprawę, co się dzieje

z Kapitanem, powiedziała:

– W porządku, dobrze jest wyrzucić to z siebie; jestem tu z panem. Napijmy się herbaty, a dalszą rozmowę przełożmy na inny dzień.

Aby przygotować hennę, należy parzyć liście herbaty przez pięć godzin od zagotowania. Dodać olejek goździkowy i parzyć przez następne trzy godziny. Mieszaninę odstawić następnie na noc, dopiero potem można dodać hennę.

Zadi zrobiła to wszystko poprzedniego wieczoru: zagotowała trzy porcje w głębokich miedzianych rondlach, w małej kuchence na tyłach salonu. Do tatuazu szykowała zazwyczaj jedną porcję, ale jako że salon miał przez następne kilka dni gościć towarzyszki panny młodej, postanowiła na wszelki wypadek potroić ilość. Preparat, schłodzony w kubeczku z lodem, zostanie przełożony na szerokie półmiski, w których można zanurzyć kilka pędzelków jednocześnie.

Liście henny miały kolor bladozielony. Szima Bahrami, wychodząc z rana, wpadła do salonu i przyniosła ich całe wiadro. Powiedziała, że jej koleżanka z uniwersytetu ma dostęp do uprawy.

– To kwas zawarty w roślinie sprawia, że henna pachnie jak *sahra*. Czuję ją w drodze do Mekki. Tak, wyobraźcie sobie, że odbyłam kawałek tej drogi – powiedziała Hadzi Chanum.

– Po co to zrobiłaś, Hadzi Chanum? Zawsze chciałam cię o to spytać. Po co szłaś do Mekki? Nie przyznajesz się

przecież do żadnej religii. I właściwie nie jesteś, w moim pojęciu, religijna – zagadnęła Szima.

– Kiedy miłość miota człowiekiem po powierzchni ziemi, człowiek robi, co może, żeby znaleźć kawałek swojego gruntu. Nawet jeżeli jest on nie do znalezienia.

Dzień był deszczowy i bardzo spokojny – przez całe wczesne popołudnie zaledwie dwie klientki. We cztery miały zatem okazję spokojnie pogadać. Zadi postanowiła nauczyć Parastu i Homę mieszania henny.

Idąc za jej pouczeniem, Parastu wymieszała hennę z gorącą wodą. W odróżnieniu od henny stosowanej do farbowania włosów henna do rytuału panny młodej ma ciemny kolor.

Zadi instruowała koleżankę, opowiadając jednocześnie o swojej babci. Widziała w wyobraźni, jak babcia miesza hennę do nakładania na włosy i na dłonie; zawsze robiła sobie zabieg sama, chociaż stać ją było na salon piękności.

Później, w hammamie, Zadi nauczyła się dokładniejszej metody. Wąchała ubite listki i słuchała opowieści o Pieśni Salomona.

*Mój miły jest mi wiązką mirry,
położoną między moimi
piersiami.*

*Gronem henny z winnic Engaddy
jest mi mój miły...³*

– Homa, co z tobą? Taka jesteś cicha. Nie wyglądasz na szczęśliwą; czuję, że coś cię gryzie. To ma coś wspólnego z Rezą, prawda? – spytała Zadi.

- Wszystko przez mężczyzn – westchnęła Parastu.
- Dajcie jej mówić – wtrąciła się Hadži Chanum.
- Ja nie wiem, co powiedzieć – szepnęła Homa.

*Och, ja nie wiem, kto rezyduje
w mym zmęczonym sercu,
choć sam milczę, ona tam krzyczy
rozgłośnie.*

– Wysłałam za Rezę w rok po tym, jak się poznaliśmy. Wprowadziliśmy się do małego domku w centrum miasta i podjęliśmy szacowne zajęcia: Reza jako badacz na uniwersytecie, ja w sklepie sprzedającym bogatym żonom bogatych mężów ceramikę i piękne przedmioty do domu.

Nie wolno nam było niczym zdradzić, że należymy do partii. Oficjalnie partia już nie istniała, ale wszyscy wiedzieli, że Tude trwa i rośnie w siłę. Mieliśmy swój udział w wielu ówczesnych wydarzeniach w Iranie – od powstania na polach naftowych po Uniwersytet Teherański. Ale nagroda za to przyszła rok później. Oboje z Rezą otrzymaliśmy polecenie zorganizowania naszej komórki i przewiezienia jej członków autobusami na miejsca akcji. Takie działania były naszą drugą naturą. Nigdy nie kwestionowaliśmy swoich obowiązków wobec rodziny i wyższego dobra. Rozumieliśmy, że stanowimy zbiorowisko indywidualności, w którym każdy ponosi odpowiedzialność. Zamierzaliśmy doprowadzić kraj do sytuacji, w której o jego losie nie będzie przesądzał jeden ojciec. Bo to jest problem z naszymi ludźmi. Nie przychodzi im do głowy, że mogą działać bez oglądania się

na wielkiego *babę* – cesarza czy króla – który im powie tak lub nie. Co jest z wieloma z nas, że tak się boimy spojrzeć na obraz pod innym kątem? Odrzucić potrzebę polegania na kimś, kto twierdzi, że wie więcej niż inni?

W takim duchu zostaliśmy wychowani, Reza i ja. I stosowaliśmy się do tego. Ale nagle w ambasadzie wzięto zakładników.

Oglądaliśmy to u siebie w telewizji. Widzieliśmy, jak sytuacja się rozwija w kolejnych dniach. Zakładników wyprowadzono na dziedziniec amerykańskiej ambasady i wystawiono na pokaz. Bo świat chciał zobaczyć. Wszyscy wstrzymywali oddech i patrzyli, co będzie dalej. Czy zrewoltowani studenci zabiją kogoś z Amerykanów.

Czy prezydent Jimmy Carter z Waszyngtonu ześle armię helikopterów, żeby skosiła wszystkich pociskami.

Na ulicach Teheranu trwało niekończące się szaleństwo. Panowało straszliwe rozprężenie.

Paykany i wojskowe dżipy z rebeliantami za kierownicą pędziły ulicami wyludnionymi z przechodniów. A ekipy telewizyjne filmowały wszystko, żebyśmy mogli to śledzić.

Do tego momentu, do momentu wzięcia zakładników, nie brałam właściwie pod uwagę opuszczenia rodzinnego kraju. Wiedziałam, że Reza ma swoje idee, swoje plany związane z partią – ja też je miałam, ale jeśli miałabym być wobec siebie szczerą, musiałabym przyznać, że nigdy nie wierzyłam w ich realizację. Teraz jestem tego pewna. Wtedy jednak było to tylko niejasne poczucie.

Oglądaliśmy telewizję, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

„Kto tam?”

„Otwierać! Otwierać, na litość boską! Ja tu zaraz skonom!”

Była to nasza gospodyni. Reza otworzył drzwi i wpuścił Fereszte Emami. Miała dzikie spojrzenie. Swoje *rusari* trzymała w garści, zamiast mieć je na głowie, i szaleńczo nim wymachiwała.

„Zamknijcie drzwi! Zamknijcie drzwi! – wrzeszczała, wbiegając w sam środek naszego salonu. – Boże, dopomóż nam, oni są wszędzie!”

„Co się stało, Fereszte *chanum*? Ma pani jakiś kłopot?”

Podeszłam do niej. Widziałam, że Reza już wrze gniewem. Nigdy nie miał zbyt wiele cierpliwości do naszej gospodyni; twierdził, że nie znosi jej wścibstwa.

„Kłopot? Spójrz pani na to! Tu jest kłopot! To koniec świata! – Wskazywała na ekran telewizora. Na środku ulicy strzelano ogniem maszynowym. Ludzie krzyczeli. – Muszę się wydostać z tego miasta. Jak najdalej!”

Reza, zaciskając zęby, przyciszył telewizor. Zwróciłam się z powrotem do Fereszte Emami.

„Ale sama pani widzi, Fereszte *chanum*, że to niemożliwe. Niebezpiecznie jest wychodzić na ulicę”.

„Nie! Pani nie rozumie! Oni mnie zabiją, jak mnie znajdą! Już by mnie zabili, gdyby wiedzieli, gdzie jestem!”
– Przysiadła na naszej otomanie i rozszlochała się

spazmatycznie. *Rusari* nadal spoczywało w jej rękach. Wytarła w nie nos.

„Kto panią zabije?” – spytałam, siadając przy niej. Chociaż mieszkaliśmy pod gospodynią od prawie roku, po raz pierwszy gościliśmy ją u siebie w domu.

Fereszte Emami chlipnęła.

„Ci wariaci! Ci zrewoltowani studenci z drugiej strony ulicy zapowiadają, że nie poprzestaną na wzięciu amerykańskiej ambasady, ale będą chodzić po wszystkich domach i szukać bahaitów. Sami mułlowie ogłosili, że wolno im zabić każdego znalezionego bahaitę. To nie będzie wbrew prawu nowego reżimu! Ajaj!”

Zaczęła łkać jeszcze głośniej.

W tej samej chwili w telewizji pokazali kobietę w *rusari* i czadorze. Stała przed amerykańską ambasadą, otoczona studentami uniwersytetu i innymi mężczyznami. Reza pogłodził telewizor.

Wielki tłum demonstrantów skandował: „Śmierć Ameryce!”.

„Ajaj! – Fereszte Emami zerwała się z krzykiem. Uniosła ręce. – Ja muszę się stąd wydostać! Zabijają mnie!”

Jak stała, popędziła do drzwi, rozryglowała je i wybiegła. Miała rację.

Gdy wzięto zakładników, zrozumiałam, że przyjdzie nam opuścić Iran.

Ale zrobić to, co zrobiliśmy... Odebrać to, cośmy odebrali, aby spełnić swoje przeznaczenie... Tego sobie nigdy nie wyobrażałam. Pozbawić kogoś samej esencji

życia – to było coś, czego przenigdy nie planowałam.

Fereszte Emami miała nieduży dom na przedmieściach Teheranu, którego część wynajmowaliśmy. Była wdową i wyznawała bahaizm. Nigdy wcześniej nie znałam żadnego bahaity – nie osobiście. Podobnie jak Żydzi, którzy trzymali się swojej części miasta, tak i bahaici woleli przestawać ze swoimi pobratymcami. Nie mając wyraźnego przywództwa, nie mieli też miejsc kultu – modlili się w domach, co w sumie wychodziło im na dobre. Bo prawdą jest, że sporo ludzi w kraju ich nie lubiło. Byli nawet mniej szanowani niż nasza partia Tude, chociaż my dawno uznaliśmy, że miejscem Boga jest sfera przesądów.

Fereszte Emami była gadułą, dobrze to pamiętam. Nade wszystko lubiła plotkować o sąsiadach. Przesiadywała na swoim balkonie, podglądając sponad muru okoliczne domy.

Sprawiła sobie nawet na bazarze lornetkę, by mogła lepiej obserwować kłótnie i romanse naszych sąsiadów.

Reza i ja musieliśmy u siebie w mieszkaniu na dole ściszać głosy, byliśmy bowiem pewni, że gospodyni nam też założyła jakiś rodzaj podsłuchu.

Fereszte Emami nie miała pojęcia, że jesteśmy komunistami. Gdyby o tym wiedziała, zapewne próbowałaby nas nawrócić na swoją religię. Poinformowaliśmy ją tylko, że jesteśmy ateistami. To wystarczyło, żeby strach zamknął jej usta.

Dziwne, jak nowiny, których tak pragnęła, przyniosły

jej koniec, a nam – to, co uważaliśmy za początek. Teraz się zastanawiam, czy aby nie było odwrotnie: czy nasza gospodyni nie znalazła wreszcie spokoju, a my – wiecznego cierpienia.

Postanowiliśmy wracać do Meszhed. Chcieliśmy się tam zatrzymać u matki Rezy i przeczekać to, co się działo. Potem wyjedziemy do Ameryki – powiedział Reza.

Spakowaliśmy walizki, spodziewając się, że pojedziemy koleją. Pociągi w kraju jeszcze kursowały, ale marnie. O samolotach lepiej nie mówić. Trzeba by być bogatym – podobno któryś z ludzi szacha zbiegł samolotem w trakcie tego szaleństwa.

Myślałam o Fereszcie Emami – o tym, jak wypadła w krzykiem z naszego mieszkania. Nie widzieliśmy jej od tamtego czasu.

„Nie sądzisz, że powinniśmy do niej zajrzeć, Reza?” – spytałam, kiedy wyszliśmy z mieszkania na korytarz. Tak jak w reszcie domu i tutaj podłogę pokrywały drobne płytki niebiesko-białej mozaiki. Kamienica była zbudowana oszczędnie, jednak nawet w najskromniejszym budynku można było znaleźć dzieła rzemieślników. Taki jest nasz Iran, prawda? Piękno, nawet wśród ruin i rozpacz.

Reza tylko na mnie spojrział, jakby mi odbiło. Chwycił walizki i pomaszerował do wyjścia. Nie czekała na nas żadna taksówka – w tym morzu agresji, jakie zalało naszą okolicę, było to niemożliwe. Mieliśmy pojechać na stację własnym dżipem.

„Ale może ona powinna wiedzieć, że wyjeżdżamy. Może czegoś potrzebuje?” Nagle zrobiło mi się żal Fereszcie Emami i jej strasznego osamotnienia.

Dokąd miała się udać, gdy rewolucjoniści zapukają w końcu do jej drzwi?

„Moglibyśmy jej udzielić jakiejś rady”. Odwróciłam się ku schodom wiodącym do mieszkania gospodyni.

„Homa, wracaj natychmiast! Co za głupia dziewczyna!” – warknął na mnie Reza. Ale go nie słuchałam.

Pospiesznie wspięłam się na piętro. Reza sadził za mną wielkimi krokami i już miał coś wrzasnąć, gdy nagle i on zrozumiał to, co przeczuwałam.

Drzwi mieszkania Fereszcie Emami były otwarte na oścież. Jej ciało leżało pośrodku salonu. W *rusari* na głowie, z jedną ręką przełożoną przez pierś, a drugą wyrzuconą w bok na dywanie. Oczy miała zamknięte. Nie żyła. A przynajmniej tak pomyślałam.

Reza widocznie tak samo. Bo w następnej sekundzie buszował już po jej mieszkaniu, zgarniając wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

Stałam z rozdziawionymi ustami, niezdolna wykrztusić z siebie słowo, gdy on tymczasem łupił cudzy dom. Znalazł pieniądze w funtach szterlingach i *tomanach*, a nawet parę amerykańskich banknotów. Z pudeł i szuflad wyciągał klejnoty. Zabrał naszyjniki z pereł i kilka diamentowych kolczyków, za które później miały zostać kupione nasze bilety do Turcji.

Zgarniał wszystko, a ja patrzyłam.

Nie przerwał ani na chwilę, żeby na mnie spojrzeć, zapytać, co się mogło stać gospodyni, w jaki sposób umarła na podłodze pośrodku dużego pokoju. Brał i brał, a potem upychał wszystko w naszych kieszeniach i walizkach. To był jakiś obłąd. Szaleńcza, karygodna zachłanność.

Ten, kto uczynił krzywdę Fereszte Emami, nie zamierzał jej obrabować. Wystarczyło mu widocznie, że pozbawił ją życia.

Nie chciałam na nią patrzeć. Staralam się tego nie robić, gdy Reza tymczasem domykał ostatnią szufladę, kręcąc z podziwu głową. Byłam już za drzwiami i miałam zacząć schodzić ze schodów, ale się odwróciłam. Reza klęczał przy ciele naszej gospodyni. Coś jej robił.

Pognałam z powrotem.

„Co robisz?” – szepnęłam przerażona. Reza zaciskał dłoń na palcu Fereszte Emami, usiłując coś ściągnąć. Pierścionek z rubinem.

Mój mąż powstał z klęczek z czerwonym klejnotem trzymany między kciukiem a palcem wskazującym.

„Jej to już na nic, Homa. A dla nas to bilet, okno na świat”.

Zaniemówiłam. Nie miałam nic do powiedzenia. I wtedy zobaczyłam najgorsze. Bo Fereszte Emami nie była martwa. Oddychała jeszcze, gdy Reza ściągał jej pierścionek. I on też to widział.

Reza wykorzystał dla nas moment i ten zwrot

przesądził o wszystkim.

A ja wiedziałam, że przyjdzie nam zapłacić za to, co mój mąż przed chwilą zrobił. Za rabunek, w którym sama też uczestniczyłam.

Odbyli już rundę recytacji, gdy korytarzem przesunął się cień.

– No, sprawdźcie, kto tam jest – zachęciła Hadzi Chanum.

Podbiegłszy do drzwi, Zadi spostrzegła nową lokatorkę akurat w chwili, gdy ta postawiła nogę na schodach.

– *Chanum Soltani*.

Kobieta odwróciła się. Na głowie miała to samo *rusari* co w dniu przybycia.

Zadi postąpiła jeszcze o krok.

– Pomyślałam, że może chciałyby pani do nas dołączyć. Odbywamy właśnie jeden z naszych wieczorów poetyckich. Spotykamy się raz na tydzień.

– Wychodziłam na spacer. – Farzane Soltani skierowała wzrok na schody.

– W taką pogodę? – Zadi spojrzała w świetlik, nad którym formowały się szare chmury.

Farzane patrzyła na nią bez słowa.

– Zapraszam, *chanum Soltani* – powiedziała Zadi, kierując otwarte ramiona w stronę drzwi do salonu.

Nastąpiła wzajemna prezentacja, po czym zrobiono miejsce na dywanie obok Homy Sukut, która – jak spostrzegła Zadi – przygryzła dolną wargę. Zapewne z emocji. Jeśli Zadi się nie myliła, to w atmosferze zaszła

wyraźna zmiana. Nawet Huszang przestał się krzywić i spojrzął z zainteresowaniem na nową lokatorkę.

– Może spytamy naszą nowo przybyłą, co chciałaby usłyszeć? Albo wyrecytować. Jak pani woli, *chanum* Soltani – rzekła Hadzi Chanum, podając jej szklanę herbaty.

Farzane, która wpatrywała się w dywan, podniosła na nią wzrok.

– Mam coś zaproponować?

– Taki mamy zwyczaj. Cokolwiek przyjdzie pani do głowy. Wybieramy w porządku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara, żeby każdy, kto ma chęć recytować, mógł to zrobić.

Kapitan zachęcająco pokiwał głową. Siedząca przy nim Szima trzymała ręce splecione na kolanach i miała poważną minę. Nie odzywała się wiele tego wieczoru i zrezygnowała z kolejki do recytacji.

– W takim razie wasze spotkania muszą trwać godzinami – odrzekła Farzane, znów spuszczać wzrok.

– Cóż, każdy z nas ma własne plany na dziś wieczór, ale...

– Ale dzisiejszy temat to miłość! – podchwycił Huszang Bahmanian.

– I za tydzień ten sam! – dodał Kapitan, podrygując na kościstych kolanach.

– Uważajcie, bo on nie przestanie cytować Hafiza, póki go ktoś nie powstrzyma – ostrzegł Huszang.

– *Baba* – odezwała się Szima, poklepując ojca po

ramieniu.

Kapitan, prawdziwie rozanielony, wrócił do siadu po turecku.

– Przed Hafizem nikt mnie nie powstrzyma!

Maryam, która siedziała przy Hadzi Chanum, nagle się zerwała i przeniosła na miejsce obok matki, dokładnie naprzeciwko Farzane Soltani.

Zadi popatrzyła na córeczkę. Bandaże na przegubie małej odpowiedziały jej wściekłym spojrzeniem. Maryam zdawała się zaciekawiona obcą osobą.

Farzane patrzyła na wszystkich w milczeniu.

– Oczywiście nie musi pani niczego recytować, jeżeli nie ma pani na to ochoty – powiedziała Zadi.

Farzane skinęła zdawkowo. Podniosła oczy.

– Attar?

– Idealnie! Tak! Nieskazitelnie! Attar! – Kapitan aż klasnął w ręce.

Reza Sukut pokręcił głową.

– Czego mu dodaliście dzisiaj do herbaty?

Huszang zwrócił się do Farzane:

– Mogę?

I zaczął recytować:

*Zatraciłem się w sobie, nie
wiedząc, gdzie mnie
znaleziono.*

*Byłem rosą z morza, w morzu
zatracałem się.*

Z początku byłem maleńkim

cieniem na ziemi.

*Gdy zaświeciło słońce, zniknąłem
z oczu.*

*Ni znaku mojego przyjscia, ni
wieści o odejściu.*

*Moje przyjscie i odejście było,
zda się, jedną chwilą.*

*Nie pytajcie mnie jak, bo niczym
motyl*

*w ogniu oblicza mojej ukochanej
przepadłem.*

*Twoje ciało musi stać się jedynie
wzrokiem, lecz ślepym.*

*Jakże oślepiłem, widząc
doskonale, głowiłem się.*

– Jakim sposobem ślepy może widzieć doskonale? – spytała Homa. – Uważam, że Attar zbyt wiele wymaga.

– To metafora, która znaczy, że jeśli chcesz ujrzeć swoją miłość, swojego Boga, oczami duszy, to musisz zamknąć swoje oczy pozorne, czyli własne oczy. – Kapitan wskazał palcem na swoje oczy. – Zamknąć oczy na świat materialny, na przemijające zachcianki i pragnienia. – Spojrzał na Farzane, szukając potwierdzenia swoich słów, i szybko spytał: – A pani jak myśli, Farzane Soltani?

– To prawda – odrzekła Farzane z wielką pokorą w głosie. – Myślę, że Attar nie wzywa nas do samooślepienia, tylko do zamknięcia oczu pragnienia materialnego. W istocie, dostrzeganie piękna tego świata

i misternych powiązań rzeczy materialnych to jeden ze sposobów widzenia obecności Boga.

– Podoba mi się, gdy Attar mówi: „Zatraciłem się w sobie, nie wiedząc, gdzie mnie znaleziono” – wyznała Hadzi Chanum z zagadkową miną. – Ja chyba zatracam się w sobie co rano, gdy wiruję.

– Proszę mnie zabrać z sobą, Hadzi Chanum! – wykrzyknął Kapitan.

– Mnie też, proszę! – zawtórowała mu Zadi, nie chcąc zostać w tyle.

Wszyscy się roześmieli.

Dyskusję kontynuowano długo w noc. Zebrani usiłowali rozgryźć duchowy sens nauki Attara. Co to znaczyło: być rosą i zatracić się w morzu, być małym cieniem i zniknąć pod słońcem. Jak być niczym, a zarazem częścią całości. Wytworzyła się uduchowiona atmosfera, w której każdy czuł boskie połączenie i jedność.

Coś pięknego. Szczególnie wyjaśnienia Huszanga i – o dziwo – Szimy, która z racji swojej wiedzy o przyrodzie, życiu i wzajemnej relacji pierwiastków znalazła okazję do wypowiedzenia się.

W którymś momencie tłumaczyła z entuzjazmem:

– W rzeczywistości jesteśmy niczym wobec wszechświata; jesteśmy jak kropla z oceanu, a jednocześnie cały ocean, złączeni z oceanem, z przyrodą, z wszechświatem.

– I z Bogiem – dodała Zadi.

– Dość bluźnierstw! – zareplikował Kapitan.

– Myślę, że dość tej strawy duchowej. Może teraz herbata i *gaz* z Isfahanu – zaproponowała Zadi.

Mimo wysiłków Zadi wieść o Farzane Soltani szybko się rozeszła. Wszyscy chcieli wiedzieć, kim jest i dlaczego ktoś taki, kto wygląda na uczonego i dociekliwego, przyjechał do Argentyny. Większość lubiła ją i szukała jej towarzystwa.

Homa myślała o Farzane. Siedziała w swoim pokoju, kończyła malować kolejną partię miniatur, tych nawiązujących do *Szahname*, gdy usłyszała, że stary Kapitan rozmawia z Farzane. Kobieta wprowadziła się do narożnego pokoju sąsiadującego z ich mieszkaniem, gdy oboje z Rezą byli na targu. Wieczorem Homa zrelacjonowała Rezie, czego się dowiedziała o nowej sąsiadce – nic wielkiego, głównie o Hafizie i Teheranie, skąd ta pochodziła, jak sama podała; lecz Reza drążył każdy szczegół.

– Ona dużo wie, Homa. Nie wiem, skąd wie, ale wiem, że wie.

Zawiesił głos, trzymając w górze pędzelek, którego używali do malowania rysów twarzy postaci na miniaturach – zazwyczaj książąt i ich suplikantów.

Homa nie miała pojęcia, o co mężowi chodzi, ale lata spędzone z Rezą sprawiły, że dobrze go znała. Panicznie bał się nowej lokatorki.

Zadi zapamiętała rozmowę z Farzane rankiem nazajutrz po wieczorze poetyckim. Farzane otworzyła drzwi, ledwie

Zadi zapukała.

– Dziękuję za wczorajszy wieczór – powiedziała Zadi.

– Za to, co pani zrobiła.

Farzane popatrzyła jej w oczy.

– Nic nie zrobiłam.

– Ależ oczywiście, że tak! – odparła Zadi. – Wiem, że ma pani swoje powody. Ale to, co zrobiła pani wczoraj wieczorem na naszym zebraniu, było nieocenione. To, jak wszystkich pani odmieniła swoją obecnością. Myślałam, że może panią rozpoznali.

– Ludzie rzadko ufają oczywistości, jeżeli nie jest to konieczne.

Zadi pokiwała głową. Podniosła wzrok.

– Pani nazwisko. Nie zmieniła go pani. To panińskie nazwisko pani matki. – Zarumieniła się. – Pamiętam, że o tym czytałam.

– To jedyna rzecz, której naprawdę nie byłam w stanie odrzucić – przyznała Farzane Soltani, uchylając drzwi nieco szerzej.

Farzane poszła do kuchni przygotować herbatę; odkąd się wprowadziła, jej codzienną trasą była droga do kuchenki i wspólnej łazienki, gdzie nieraz natykała się na którąś z pracownic salonu.

Obserwowała je przelotnie przy pracy – jak myją szamponem głowy lub instruują klientkę, w jaki sposób wykonywać ten czy inny zabieg. Obcość tych podobieństw do hammamu, w jakże zmienionej formie, była ekscytująca. Farzane nie spodziewała się znaleźć tu niczego na kształt

radości, a jednak znalazła. Bo właśnie radość czuła, widząc kobiety zajęte codziennymi sprawami.

Zarazem jednak odczuwała obawę, gdy mijała salon i inne pomieszczenia o szklanych ścianach i często rozsuniętych zasłonach. Kobiety z ośrodka dla uchodźców nad rzeką, gdzie ją wysłano po przyjeździe do Argentyny, uprzedziły ją o dziwnej architekturze Anny Kareniny. Myślała, że przesadzają, gdy mówiły, że ściany tam są zrobione ze szkła – sądziła, że to po prostu metafora plotkarskiego sąsiedztwa – toteż niejakim szokiem było dla niej odkrycie, że określenie jest dosłowne: ściany były ze szkła. Kamienie i domy ze szkła. To powinno ją nauczyć.

Postanowiła trochę poczekać z szukaniem pracy. Ośrodek dla uchodźców chętnie dowiadywał się, że ktoś podejmuje pracę, lecz ona obiecała sobie ten jeden luksus, jeśli już żadnych innych. Czas, żeby odetchnąć, na co nigdy wcześniej sobie nie pozwalała.

*

Tego poranka, po ostatniej wizycie Zadi, Farzane obudziła się z gotową decyzją. Zaparzy herbatę. Zaparzy herbatę i wyniesie ją na dach tego dziwnego budynku. Gdy jednak weszła do kuchni, ktoś tam już był – jedna z sąsiadek, której dotąd nie poznała.

Zawróciła więc i przeszła korytarzem na podest, gdzie wcześniej zauważyła schody obok ściany w głębi. Prowadziły do zamkniętych na haczyk drzwi i na dach.

Dzień był ciepły jak na tę porę roku i na dachu było

przyjemnie. Płaska powierzchnia miała wystarczającą szerokość, żeby dało się tam usiąść. Farzane usadowiła się i rozejrzała.

Liczne kamienne dachy tego miasta, piękno zielonkawego metalu i terakoty kazały jej pomyśleć o Paryżu i kilku innych miejscach.

Oparła się i wspomniała dzień, gdy z malutką córeczką jechała pociągiem z północy do Teheranu.

Córeczka miała niespełna osiemnaście miesięcy i pyzate policzki rumiane jak owoce granatu. Farzane tuliła ją do piersi, pokazując widoki za oknem, wdychając słodki, senny zapach maleństwa. Ten rodzaj szczęścia, jakiego przy niej doświadczała, przewyższał wszystkie inne; ekstaza tych chwil pisania, w których słowo w ułamku sekundy jawi się jako słuszne, naoczne, własne i posuwające narrację – to też była przyjemność, tyleż niewymierna, ile niepewna. Pisała o tym chyba z dziesięć razy – o tej sekundzie, w której pod kapiącym piórem wszystko się łączy, szaleństwo staje się słuszne, a ból tego świata (nasz ból) okazuje się tylko przejściem w ten inny czas, w miłość, która z pewnością dla nas wszystkich nadzieje.

Piękny, przeklęty i głupi los.

To określenie prawdziwie ich rozwścieczyło: gazety nazwały ją radykałką. Rebeliantką szukającą sławy.

Lecz ona miała swoją małą Nazanin. Miała radość przebywania z nią, trzymania jej na kolanach w pociągu albo chodzenia z nią na spacer, na przykład po placu

małego północnego przedmieścia Teheranu. Było to szczęście chwilami wprost nie do zniesienia. Zbyt idealne. Zbyt słuszne. Ten rodzaj szczęścia, który sprawia, że człowiek przestaje myśleć o potrzebach, o cielesnym głodzie pożywienia i snu. Czas stawał w miejscu. To było jak przebywanie w raju.

Mąż, jak zwykle, wspierał ją bardzo. Sekundował jej sprawie. Kochali się. Byli *w ogniu, w płomieniach*, jedno wobec drugiego. Czy to wszystko był sen? – pytała sama siebie.

– Co na dzisiaj? Czuję się wyśmienicie! – obwieścił Kapitan, wtykając głowę przez drzwi salonu. – Moje panie. – Skinął kurtuazyjnie, wchodząc do środka. Zwrócił się do Zadi: – Jakaś zmiana u małej?

– Nie.

– No, nie trzeba się martwić. Po prostu musi jeszcze odpocząć, i tyle – rzekł dobrotliwie starszy pan.

*Złapałem szczęśliwego wirusa tej
nocy*

Gdy śpiewałem z gwiazdami!

– Zaniosę jej swój zestaw do tryktraka. Jestem w nastroju do przegranej. – Uśmiechnął się szeroko i ruszył ku wyjściu z salonu. – Wiecie, panie, że kompletnie zapomniałem o urywku, który chciałem dzisiaj przynieść na wieczór poetycki?

Zapomniał dywanu Hafiza i wyboru jego wierszy.

Staruszek jest dzisiaj zadowolony, pomyślała Zadi, gdy Kapitan zniknął jej z oczu; już trzeci raz w ciągu paru

godzin wpadł do salonu; nie przeszkadzało mu nawet, gdy odezwała się do niego któraś z klientek.

– Żałuję, że nie mogę dzisiaj przyjść na wieczór poetycki. Chciałabym to zrobić dla Farzane. Ale Dżamszid... – Parastu ugryzła się w język.

Zadi uśmiechnęła się do niej współczująco. Nigdy nie spotkała męża Parastu, ale wszystko wskazywało na to, że nie jest zadowolony z nowej pracy żony jako asystentki Zadi. Parastu niechętnie mówiła o swoim życiu poza salonem, więc Zadi i Hadzi Chanum hamowały własną ciekawość.

Parastu przypomniała sobie kłótnię z Dżamszidem sprzed paru dni.

– Ta cała Zadi Heirati to dziwka! Zapytaj, kogo chcesz.
– Dżamszid sięgnął po następną kromkę chleba. Użył jej do zebrania z talerza resztek gulaszu, po czym podjął watek. – Poszedłbym i podpalił tę budę, gdyby nie to, że potrzebujemy pieniędzy.

Mlaskał i cmokał między jednym przełknięciem a drugim.

Parastu siedziała naprzeciwko niego przy małym stole. Obiad dobiegał końca. Jeszcze tylko jeden kęs.

Dżamszid urwał jeszcze kawałek chleba i oczyścił talerz.

– Trzeba, żeby jej ktoś solidnie przyłożył. Wybił te głupstwa z głowy.

Parastu parzyła swoją herbatę. Czuła, że mąż się w nią wpatruje, oczekując jakiejś reakcji. Trudno było znaleźć

właściwe słowa odpowiedzi: wiedziała, że cokolwiek powie, zostanie to przeinaczone, wypaczone zależnie od nastroju, w jakim był Dżamszid. Poza tym przywykła do takiej jego gadaniny. Wiecznie o destrukcji.

– Dzisiaj duża dostawa.

– A, to dobrze. Miejmy nadzieję... – Pożałowała tych słów, ledwie wyszły z jej ust.

– Miejmy nadzieję? Odbiło ci? – Dżamszid wbił w nią wzrok, nachylając się nad talerzem.

– Ja tylko... Chciałam powiedzieć, że dobrze by było mieć nadzieję. Na przyszłość.

– Dobrze wiem, co chciałaś powiedzieć. Nagle stałaś się wyrocznią, co? Parę godzin w tym całym salonie i znasz wszystkie tajemnice wszechświata, co?

– Potrzebne nam pieniądze – powiedziała Parastu, szybciej, niż chciała.

Wzięła jego pusty talerz i zniosła do zlewu.

Gdyby miała chwilę na zastanowienie, wyrzałaby najpierw przez okno, jakby w zamyśleniu. I dopiero potem, żalonym głosem, napomknęłaby o pieniądzach.

Jak gdyby chwytając się ostatniej deski ratunku, jakby wołała, żeby tak nie było.

A wyszło stłamszone i zaprawione lękiem.

Ale tak się rozmawiało z Dżamszidem: on stale kalkulował, myślał trzy kroki naprzód.

– Nie wiem, po co w ogóle ci cokolwiek mówię – burknął Dżamszid, patrząc na nią z odrazą. Pokręcił głową.
– Zastrana baba.

Porwał ze stołu gazetę i wyszedł z mieszkania, trzaskając drzwiami.

Na pewno pójdzie do kawiarni w pobliżu placu, gdzie zbierają się mężczyźni niemający pracy, do której trzeba chodzić – przesiadywali tam, pijąc gorzką herbatę i paląc fajki wodne albo papierosy.

Parastu odetchnęła; przytrzymała się krawędzi blatu. Trzymaj się – powiedziała sobie. Jeszcze przez chwilę.

Ale i to nie pomogło.

Kręciło jej się w głowie, więc usiadła z powrotem przy kuchennym stole i oparła czoło o zimny metalowy blat.

Dzamszid był wściekły. Ten Algierczyk go wystawił.

– Kamizelki obszyte cekinami, takie jak w serialu *I Dream of Jeannie* – obwieścił, jak zwykle z entuzjazmem. Algierczyk miał kontakty w branży odzieżowej. Zamierzali sprzedawać te kamizelki na ulicznym straganie.

– To będzie hit sezonu w Buenos Aires.

Wcześniej hitem sezonu miały być gipsowe figury greckich i rzymskich bogów i bogiń. Mieszkali jak w mauzoleum. Gdy figurki nie chciały się sprzedawać, Dzamszid zmuszony był rozdawać je za darmo, żeby pozbyć się inwentarza. No a po figurkach przyszły, oczywiście, jaszczurki. Zabawki jaszczurki, które miały się sprzedawać za miliony.

Tylko że się nie sprzedawały. Nie udało się wyjechać do Ameryki; rewolucja zmusiła ich do przyjazdu do tego

miasta.

– Te zachodnie dzieciaki. Nie wiedzą, co dobre – powiedział Dżamszid, kiedy interes padł. Pudła jaszczurek stały wzdłuż wszystkich ścian ich mieszkanka. Wydali na ten pomysł prawie całe swoje oszczędności.

Parastu westchnęła i dźwignęła głowę. Jak to powiedziała niedawno Hadzi Chanum? „Wybieranie mężczyzny jest jak czytanie Koranu” – rzekła, gdy szykowały się na przyjęcie klientki do zabiegu *band andazi*. „Wystarczy otwo rzyć i wybrać dowolny werset. Ten, który pozwoli przetrwać”.

Czy Hadzi Chanum miała rację? Czy to rzeczywiście tak jest? – dumiała Parastu. Czy wystarczy po prostu wskazać na oślep palcem – i już się wie? Czy da się wybrać właściwe słowa, właściwe myśli?

A nawet jeśli tak, to skąd wiadomo, że to są akurat te właściwe?

Trudno było uwierzyć, że można by mieć taką moc.

Ona nigdy nie czuła się pewna, gdy chodziło o miłość, zresztą w innych sprawach też.

Przecież gdyby dostępna jej była taka wiedza, nigdy nie wybrałaby Dżamszida.

Ani nikogo podobnego – nikogo, czyja matka sama przyznaje się do porażki.

– On ma źle w głowie – powiedziała jej w sekrecie matka Dżamszida, rankiem nazajutrz po weselu. Sprzątały po przyjęciu.

Bałagan był straszliwy, zwłaszcza na *sofre aghd*,

ślubnym kobiercu, zasłanym bibelotami mającymi przynieść szczęście.

– Dżamszid był taki od chwili urodzenia – ciągnęła teściowa, drobna, religijna kobietka, która nawet spała w chuście. – Z początku myślałam, że jest *garm*, gorący i porywczy, jak wielki ogień w naszej świątyni. To mi nie przeszkadzało, bo myślałam sobie, że lepiej jasno płonąć niż wyrzec się światła. Każda zaratusztrianka pragnie tego dla swojego dziecka. Z czasem jednak dostrzegłam, że ten ogień to tylko przykrywka. – Urwała; sięgnęła prawą ręką do lewego przedramienia, a jej zmęczoną twarz wykrzywił ból.

Nadwerężony mięsień – dowiedziała się później Parastu; rezultat nagminnego wykręcania ręki matce przez syna. Dżamszid najwyraźniej nie miał oporów przed rękoczynami wobec matki i pięciu siostr, kiedy porwał go gniew.

Teściowa podniosła lustro, które stało na krańcu *sofre*.

Spojrzała w nie, marszcząc brwi.

– On ma w sobie za dużo drugiej strony. Zimnej, niszczycielskiej siły, złego Arymana. Tego, przed którym ostrzegał nasz wielki prorok Zaratusztra – objaśniła, tak jakby Parastu nie znała się na ich wspólnej wierze. – Pamiętaj, żebyś nigdy nie świeciła jaśniej od niego. On potrzebuje stale światła *Mehr*. Musi być pawiem w waszym związku. Zapamiętaj sobie, co ci mówię. Nie próbuj być za piękna, bo pożałujesz.

Takiego niebezpieczeństwa nigdy nie było i nie będzie

– pomyślała Parastu; nigdy nie stałaby się piękna, nawet gdyby ścięła włosy, żeby naśladować fryzurę Googoosh, piosenkarki pop, na której widok ślinił się nawet Dżamszid, albo gdyby pokryła twarz europejskim pudrem i *sepidabe* – białym kredowym podkładem z czasów próżności swojej babki. Nadal pozostałaby tą samą pospolitą Parastu, małym wróblem o niechlujnych skrzydłach.

Dżamszid był dandysem, pawiem na wszystkich przyjęciach, wszystkich piknikach, wszystkich uroczystościach, na jakich bywali.

Rozmyślając o swoim życiu z Dżamszidem, Parastu doznała nagle objawienia.

Nie – powiedziała sobie. Na pewno nie wybrałaby kogoś takiego jak Dżamszid Etemadi, gdyby wiedziała.

Kapitan pierwszy mówił o Attarze.

– I oto patrzymy na siebie nawzajem. My wszyscy tu zebrani. Czy i my nie jesteśmy depozytariuszami tej prawdy? – Potoczył wzrokiem po pokoju. – Zebraliśmy się tutaj. Popatrzcie na wszystkich, dobrze?

– Witam. – W drzwiach stała Farzane Soltani. – Nie chciałabym przeszkadzać...

– *Chanum* Soltani! Prosimy, prosimy!

– Nie przeszkadzam?

– Ależ proszę, proszę! – powtórzyła Zadi i dodała wierszem: – „Czemu sobie nie znaleźć lepszego zajęcia?”.

– To z Hafiza, Zadi *chanum* – zauważyła Farzane.

*Teraz, gdy wszystkie twe troski
okazały się tak*

*Nielukratywnym interesem, czemu
sobie nie znaleźć*

lepszego zajęcia?

– Proszę kontynuować dyskusję – dodała przepraszającym tonem.

– Zasada się na niej działanie, które posuwa cię naprzód – rzekła enigmatycznie Hadzi Chanum.

– Jedność – wypaliła Zadi, potakując głową.

– Od początku to mówię. Jedność! – wykrzyknął z pasją Huszang. Pochylił się i okulary zjechały mu na czubek nosa. – Ale czy to konieczne? Czy to miał na myśli

Attar: dążenie naprzód?

Głos zabrał Reza Sukut.

– Pytanie, które zadajesz, młody człowieku, brzmi: czy jedność z pierwiastkiem boskim jest ruchem naprzód?

Huszang przyznał mu rację.

– Tak, właśnie. Czy to raczej nie kwestia ziemskiej miłości, prawdziwego działania, które stwarza życie?

– Wówczas nie byłoby powodu dla istnienia poezji – odparła Hadzi Chanum.

– Tego bym nie powiedział, Hadzi Chanum – zaproponował Kapitan.

Huszang zapatrzył się w przestrzeń.

– Jak to szło, o motyłu i płomieniu? Czy to Rumi pisał coś o konieczności?

– Jest taki wiersz Hafiza... – powiedział Kapitan.

– „Moje serce płonie miłością”. – Reza, zdumiony, podniósł wzrok. – Nie wiem, skąd mi się to wzięło. – Odwrócił się do żony, a potem znów popatrzył po pokoju. – Czy to ma jakiś związek z rzeczywistością? Z moją miłością do żony?

– Myślę, że twoje serce jest zakotwiczone w ogniu – odparł Huszang z łobuzerskim uśmiechem.

– Tak jak i moje – dodał Kapitan i uśmiechnął się, a potem spojrzał na nową lokatorkę. – Bardzo przepraszam, na ogół nie omawiamy spraw osobistych w naszym kółku poetyckim.

Wszyscy się roześmieli.

Zadi patrzyła na siedzącą *vis-à-vis* kobietę. Trwała

ona w bezruchu, śledząc rozwój debaty.

Kapitan dalej cytował Hafiza:

*Niebiosa by nie zniosły tego cudu
zaufania,
To nie płomień sprawia, że
świeca się śmieje,
ogień, co spalił motyla, jest mym
celem.*

– Tak, wróćmy do motyla i płomienia.

– No cóż, to bez wątpienia metafora wiary – powiedział Huszang.

– Ależ to coś więcej – zaproponował Kapitan. – Hafiz próbuje nam powiedzieć, że to wolna wola. Wybór, którego dokonujemy.

– Całkowita odwrotność tego, co teraz robi Margaret Thatcher, Hadzi Chanum.

– Podziwiam wprost jej hucpę, Huszang-dżan, tyle tylko mogę powiedzieć. Taka bezczelna odwaga to jednak coś.

– Kompletne nic. Na dodatek nic, czego można by zazdrościć.

– No dobrze, ale wracajmy do poezji – wtrąciła się Zadi.

Maryam, która leżała na małej macie pod ścianą, przypatrywała się dyskutantom, obracając główkę od jednego do drugiego.

– Trzeba zawsze wybierać to, co duchowe, ponad to, co cielesne – powiedział Huszang. – To nigdy nie

zwiedzie na manowce. To, co materialne, oznacza same kłopoty...

– Za młody jesteś, żeby tak myśleć, chłoptasiu. Chyba sam w to nie wierzysz, co? – Kapitan zwrócił się do Farzane: – Farzane *chanum*, proszę nam zdradzić swoje myśli.

– Przyznam się, że myślałam raz jeszcze o tych wersach, które wspomnieliśmy...

Reza Sukut wyrwał się nagle, nie czekając na pełną odpowiedź Farzane:

– To wyrasta z tego samego korzenia czy też impulsu.

– Jedno rodzi się z drugiego.

Wszyscy odwrócili się do małej dziewczynki, która właśnie przemówiła.

Maryam wstała.

– Jest tak, jak ona mówi w tym wierszu. Jeżeli kochasz ogień, musisz iść w ogień.

Zadi mimowolnie wydała okrzyk. Patrzcie no ją! – pomyślała. Patrzcie no!

Huszang zerknął na Szimę Bahrami, która intensywnie wpatrywała się w Zadi.

– A co pani myśli? – zapytał.

– Hm... tak. Tak też można na to spojrzeć: motyl zamienia się w ogień. – Szima zrobiła małą pauzę, po czym kontynuowała: – Metamorfoza. Śmierć płodzi to, co konieczne. Konieczność. „Spal mnie, spal mnie, spal. Raz po raz, jeszcze raz i jeszcze raz”.

Podniosła wzrok. Farzane Soltani patrzyła przed

siebie.

– W każdej dyskusji o konieczności czuję się w obowiązku wspomnieć, jak teoria marksistowska rozpatruje rzeczywistość społeczną i...

– Przepraszam, młody człowieku – przerwał Huszangowi Kapitan – ale nie rozmawiajmy o polityce i teoriach, które nigdy nikomu nie wyszły na dobre. Tak, znam się na polityce.

– Pan nie wie, co mówi! Chodzi o dokładne przeciwieństwo płaskiego materializmu. „Społeczeństwo nie składa się z jednostek, lecz wyraża sumę więzi i stosunków, w których jednostki te pozostają względem siebie”. Proszę mi powiedzieć, czym to się różni od Rumiego. Jedność, jedność, jedność!

– Pan nie ma pojęcia, co to słowo znaczy – skrzywił się Kapitan, odwracając głowę od Huszanga.

– A może mała przerwa i szklanka herbaty, ha? – włączyła się Hadzi Chanum.

– Nie wiem, *chanum*. Nic już nie wiem. – Kapitan oparł się o poduszkę i wbił wzrok w dywan.

Zadi zaniepokoiła się. Kapitan przez cały wieczór zachowywał się dziwnie.

– Tak, świetny pomysł; herbata zawsze dobrze robi – powiedziała i zaczęła nalewać wszystkim gorący napój.

– Ja się znam na polityce. – Kapitan najwyraźniej wciąż myślał o swoim sporze z Huszangiem: o słowach „polityka”, „konieczność”, „rzeczywistość”, a także o interpretacji motyla i ognia zaproponowanej przez

Szimę. Wrócił myślami do czasów więziennych, o których zamierzał później opowiedzieć Hadzi Chanum.

Owszem, Kapitan znał się na polityce. Ta wiedza drogo go kosztowała. Po wielu latach w więzieniu otrzymał list ze zdjęciem Szimy, swojej ukochanej córki. To zdjęcie go przeraziło. Jego córeczka wyrosła na wysoką, chudą kobietę; odziana była w ciemną szatę. Zdjęcie zrobiono w dniu jej ślubu, zaledwie parę miesięcy wcześniej. Miała dwadzieścia lat. Młodzieniec obok niej był synem dobrze znanego mułły, człowieka wielce wpływowego, który zdołał sprawić, by list ze zdjęciem dostarczono Kapitanowi do więzienia. Mieli szczęście, że przeżyli. Mieszkali teraz w Turcji, w Ankarze, gdzie mułła i jego syn mieli wielu zwolenników. Szima w liście zapewniała ojca, że ma na zawsze zapewnioną opiekę. Niech się ojciec o nic nie martwi. W tym dniu w Kapitanie coś pękło.

Coś się w nim zmieniło, coś tak namacalnego, że odczuł to jako obracający się wewnątrz klucz. Przywykł spędzać dni i noce ze słowami, przywykł wierzyć słowom – ale gdy czytał to, co miał teraz przed sobą, słowa listu niosły życie i śmierć zmieniające się jak w kalejdoskopie, i nie było dokąd się zwrócić, jak tylko do wewnątrz, do tego miejsca, którego wcześniej nie znał.

Stał się niewiadomą. Dla samego siebie. Dla swoich braci. Zamiast się zrywać z pierwszymi promieniami światła wpadającymi przez okienko celi, leżał na macie do połowy przedpołudnia; ręce miał ciężkie jak z ołowiu.

Gdy któryś z braci odzywał się do niego, Kapitan tylko na niego patrzył, bo w gardle i piersiach miał pustkę. Był martwy, wiedział to. Co do poezji – cóż, wciąż była, ale na sam jej dźwięk robiło mu się niedobrze. Nie mógł już słuchać ani czytać słów: kręciło mu się od nich w głowie, czuł taki zamęt, że zachwiałyby się, gdyby wstał z maty i zrobił krok w bok – tak jakby stracił wewnętrzny kompas. Jego niemoc była tak oczywista, że dostrzegli ją nawet strażnicy; kazali mu przestać się wygłupiać.

Groźby strażników podziały na Kapitana chyba odwrotnie, bo zaczął śmiać się i krzyczeć, przytakując sobie ruchami głowy. Jego bracia, towarzysze z celi, którzy siedzieli z nim od samego początku, nie mogli zrobić nic innego, jak tylko patrzeć – lecz gdy Kapitan pewnego ranka nie wstał wcale, zrozumieli, że nadszedł koniec kółka poetyckiego.

Jeden po drugim koledzy Kapitana opuszczali więzienie. Najpierw ten młody z Teheranu, przeniesiony do obozu pracy w Lorestanie. Mówiono, że jego ojciec przekupił urzędnika zakładu karnego, bo syn inaczej stanąłby przed plutonem egzekucyjnym. Podobnie jak Kapitan skazany był za zdradę cesarstwa. Dwaj inni, jeden mniej więcej w wieku Kapitana, drugi – młody ojciec czworga dzieci, którego zgarnęli z ulicy, gdy zaplątał się w demonstrację po drodze z pracy do domu, wyszli w odstępie paru tygodni.

Kapitana przenieśli wtedy do innej części zakładu karnego, do celi z widokiem na małe ogródki, który

dawniej by go ucieszył, ale teraz sprawiał mu tylko ból. Wychudł i osłabł, chociaż nie odmawiał przynoszonego mu jedzenia i wody. Coś w nim domagało się zaspokojenia podstawowych potrzeb. Nawet ta wiedza była przed nim zakryta. Gdyby bowiem był świadom, że jego podstawową potrzebą jest życie, mógłby odrzucić je ze względu na samą absurdalność takiej myśli. Przypuszczał, że jeszcze jakiś czas to potrwa, a potem nastąpi nieuchronne – a jednak tak się nie stało. Zamiast tego wszystko miało się odmienić za sprawą najmniej spodziewanego sprawcy – postaci tak haniebnej, że mogłaby wyjść ze strof *Szahname*, wiecznotrwała jak zło, jak diabelski Aryman.

*

Zaczął się pograżać w szaleństwie. Dwadzieścia lat już siedział w więzieniu – ale teraz był sam. Otaczało go tak wiele cel, niby klatki na rogach dywanu. Ale nie myślał już o pięknie dywanów swojej młodości, tylko o zamkniętych w nich ludziach, o tkanych istotach, które przez tyle lat wyczarowywał nicią, nie biorąc pod uwagę tego, co muszą czuć uwięzione w tych kątach bez wyjścia. Zapomniał, że to miało cel – że wewnątrz tych klatek, jak na malowanych miniaturach, istnieją światy i zrozumienia, i że tylko w szerszym kontekście, w większej historii dywanu zawiera się znaczenie wszystkiego.

Zapomniał, jak to jest polegać na miłości i potrzebie innych, był tak samotny w tej więziennej celi. Jak szły te wersy z Nizamiego?

Nie miłość do tych domów

*zabrała mi serce,
Lecz do tej, która mieszka w tych
domach.*

Tak było z jego umysłem, tak było z jego sercem. A jaki był młody, gdy wchodził do tego więzienia. Raptem dwadzieścia jeden lat. O parę lat młodszy od Huszanga z jego cytatai z Marksa i peanami na cześć piękna dialektyki (tak, wygodnie jest dyskutować, gdy w odpowiedzi ma się tylko cudze kwestie). Niezliczone spory o filozofię, które wiódł z tym chłopakiem, nonsensy o zmysłach i takich tam. Im starszy stawał się Kapitan, tym większej nabierał pewności, że zmysły są równie ważne, jeśli nie ważniejsze, niż każda myśl.

Zmysły są tak blisko Boga, jak wszelkie zrozumienie dane człowiekowi na tej planecie – ale spróbujcie powiedzieć to takiemu radykałowi jak Huszang Bahmanian. Gdyby to zależało od Huszanga, już dawno zapieczętowałyby te dębowe drzwi i ogłosił bunt przeciwko reszcie budynku – żyłka przemian była w nim wciąż świeża, a nawet jakby nabrzmiała w ciągu ostatnich miesięcy, karmiona bez wątpienia przez skłonność do radykalizmu oraz wiadomości oglądane w telewizji u Hadzi Chanum. Hadzi Chanum jako jedyna wśród nich miała telewizor, przed którego migotliwym obliczem lokatorzy gromadzili się prawie co wieczór, by wymieniać opinie o rządowych powstaniach – a teraz o tej wojnie. Owo ustrojstwo nie położyło jednak kresu ich cotygodniowym zebraniom poetyckim – czego Kapitan się

swego czasu obawiał – za to sprzyjało rewolucyjnym aspiracjom młodego człowieka. Każde obejrzone wiadomości ze świata, który zostawili za sobą, rozstrajały ich wszystkich, a zwłaszcza Huszanga – tego, który potem długo w noc bajdurzył o dobru większości: jedność, jedność, jedność.

Trzcina, widać, chce wrócić do podłoża, wszystko jedno którądy i jak.

Każdy wykorzeniony ze źródła tęskni za powrotem.

Ta chwila nadeszła podczas porannego spaceru po więziennym dziedzińcu. Już wtedy nabrał zwyczaju szurania nogami i garbienia się, co mu zostało do dziś – był to rodzaj zakotwiczenia opartego o ciężar znajdujący się gdzieś w jego piersi.

Jego kaszel także pochodził z tych rejonów: początki gruźlicy. Ataki kaszlu były krótkie i sporadyczne, toteż wcale go nie martwiły. Przeciwnie – ożywiały go, wytrącały na krótką chwilę z ciężkości i letargu.

Lecz ciesząc się tym przypomnieniem życia, radował się jednocześnie myślą o śmierci.

Tamtego dnia Kapitan szurał ścieżką wiodącą ku krzakom zasadzonym w pierwszym roku jego pobytu w więzieniu. Sam je sadił; było to jedno z nielicznych zajęć, jakie mu przydzielono.

Przypomniało mu się, jak podziwiał gęste listowie i bujne kwiaty, istniejące jedynie po to, by sięgać do słońca, być żywymi, żyć. Jakże był ślepy! Myślał, że to wystarczy.

Idąc tak, podniósł wzrok i ujrzał mężczyznę, którego nigdy wcześniej nie widział. Człowiek ten miał na sobie typowy mundur strażników więziennych. Był wysoki, szeroki w barach, o mocnej szczęce i ostrych, orlich rysach z gęstymi, łukowatymi brwiami. Reszta jego fizycznych cech na pierwszy rzut oka służyła wypełnianiu rozkazów i konieczności wykonywania bieżących obowiązków, przydzielonego zajęcia – jednak przy bliższym oglądzie coś tu się w oczywisty sposób nie zgadzało. Coś w oczach, jakiś rodzaj drżenia samych oczu, jak gdyby wirujących w nieskończonych orbitach i czekających, po prostu czekających na zatrzymanie gdziekolwiek.

Kapitan czuł, że te oczy go śledzą, i nagle poczuł się bardzo zmęczony.

Zmęczenie stało się codzienną częścią jego istnienia. Inni więźniowie to rozpoznawali i na ogół zostawiali go w spokoju. Bił od niego taki smutek, że nikt nie miał chęci zbyt długo przebywać w jego pobliżu: bali się zarażenia. Ten człowiek jednak jakby nie zauważał tego oczywistego defektu jego charakteru. Wpatrywał się dalej w Kapitana, gdy ten powolutku szurał przez dziedziniec do pompy, przy której następnie usiadł.

Kapitan szurał dalej, pociągając stopami po kamienistej ziemi i ani na chwilę nie odrywając wzroku od śladów bliźniaczych obelisków, jakie zostawił w pylistym gruncie. Robił tak przez dłuższy czas – aż zobaczył parę ciemnych oficerów.

– To ty.

W Kapitanie coś drgnęło. Przeraziło go to.

– Obserwuję cię.

Kapitan spojrział na niego.

Strażnik kiwnął głową.

– Chcę, żebyś mi coś powiedział. – Odchrząknął.

*Sto snów Fantazji bogatej
spizarni
osacza mnie – Ojciec Adam
zblądził,
skuszony jednym marnym ziarnem
zboża!*

– To Hafiz – powiedział Kapitan.

Strażnik się nachylił.

– No tak, ale co to znaczy?

– To o tajemnicach serca: dlaczego stale bije.

Strażnik splunął na ziemię.

– Żadne tam tajemnice, przyjacielu. To jest o drugiej
płci. O brudzie. To są zwierzęta pociągowe, no nie?

– Cóż... – Kapitan spojrział tamtemu w oczy. – Można
i tak to widzieć.

– A jest inny sposób?

– Proszę pomyśleć o następnym czterowierszu...

*Nie, to nie płomień prawdziwego
ognia miłości
sprawia, że cienie pochodni
tańczą w kręgach,
lecz to miejsce, gdzie blask*

*przyciąga pragnienie motyla
i odsyła go dalej z nadpalonymi,
obwisłymi skrzydłami.*

Lawina słów wzburzyła jego krew. Kapitan poczuł energię przenikającą ciało.

– Zna pan następny...

*Serce mieszkającego na uboczu
pęknie,
wspominając czarny pieprzyk
i różowy policzek,
i własne życie ożywiane, pojone
ich sekretnym źródłem.*

Strażnik gapił się na niego przez chwilę.

– Wiedziałem, że ty zrozumiesz – powiedział.

Kapitan poczuł, że uchodzi z niego głęboki wydech. Zanim się zorientował, strażnik chwycił go za ramię i poderwał na nogi.

– Dzisiaj będziesz jadł ze mną.

Opowiedział Kapitanowi o swojej żonie. Jak go zhańbiła, opuszczając dla innego mężczyzny – ich sąsiada z Hamadanu. Uciekli, wyjechali do Anglii, zanim zdołano ich złapać.

Kapitan bąknął coś o Anglikach. Fantomy barbarzyńców zamieszkujące inny świat, jeśli dobrze pamiętał. Strażnik parsknął śmiechem.

– Chcesz czegoś, to powiedz, a ja ci to załatwię – obiecał. – Ty jesteś tym człowiekiem. Od dzisiaj jesteś moim Kapitanem. – Roześmiał się i klepnął Kapitana

w plecy.

Od tego dnia inni więźniowie trzymali się jeszcze dalej od Kapitana.

Zamknięty w celi, Kapitan wpatrywał się w ceglana ścianę. Księga dywanów. Nie tykał jej od miesięcy. Ciekawe, czy jeszcze tam jest, czy nie przeżarła jej zaprawa muru. To było możliwe. Jego przecież przeżarła.

I wtedy stało się. Kapitan wspiął się na palce i – nim się zorientował – książka znalazła się w jego ręce. Oczywiście – pomyślał.

Gdy strażnik zaszedł do niego po raz wtóry, Kapitan uniósł księgę pomiędzy sobą a nim. Potem wypuścił ją z ręki.

Kartki dywanów zafurkotały przez moment w wilgotnej celi i ucichły.

I właśnie wtedy Kapitan zrozumiał, że miał rację. Mina strażnika mówiła wszystko.

Nie był to bynajmniej koniec dyskusji. Po herbacie Huszang pokręcił głową.

– Przejęcie naszej ropy naftowej w Masdzed-e Solejman. Neokapitalizm w najgorszej postaci. Ci Brytyjczycy, za kogo oni się uważają?

Kapitan fuknął.

– Młodzieńcze, ja bym potrafił napisać na ten temat całe tomy.

– To prawda, Kapitanie. Pan się zna. Poszedł pan za to do więzienia. Zaznaczam, że ja nie jestem komunistą – chociaż podziwiam pewne podstawy komunizmu – mnie

chodzi o *qalb*. Jak już mówiłem, ostatecznie idzie tylko o *qalb*. Ale to jasne, że nie tak to wszystko działa. – Spojrzał na Zadi.

– Jak wszystko działa. Wszystko działa, bo wszystko ma sposób – powiedział Reza.

Zebrani patrzyli na niego przez chwilę. Homa zmieniała pozycję na swoim miejscu.

Zadi spojrzała na Farzane Soltani.

– Może trochę poezji?

– Na zakończenie spotkania chciałabym wyrecytować wiersz Forugh Farrochzad – oznajmiła Farzane. A potem, z uczuciem i poetycką dykcją, wygłosiła cały poemat zatytułowany *Wtóre narodziny*.

*Całe moje istnienie
to modlitwa smutna
która cię uniesie
do poranka wiecznych rozkwitów
ach – ja modlitwą ciebie wołam
ach – ja modlitwą ciebie wcielam
w drzewa wodę płomień
A może
życie to ulica
którą codziennie chodzi kobieta
z koszykiem
A może
życie to powróż wieszającego się
mężczyzny
a może*

życie to dziecko powracające ze
szkoły

a może

życie to zapalenie papierosa
przez kochanków

w chwili nudy

albo nieuważne spojrzenie
przechodnia

który unosząc kapelusz

mówi komuś zdawkowe dzień

dobry

a może

życie to ten ułamek chwili

gdy moje spojrzenie

zamierając w twoich źrenicach

przenika ciemność...

W mieszkaniu na miarę istoty
samotnej

moje serce

na miarę jednej miłości

patrzy pod pozorem zwykłego

szczęścia

na umieranie piękna róż

w wazonach

na drzewka które zasadziłeś

przed domem

i słucha głosu kanarka

który śpiewa na miarę jednego

okienka

*Mój los – ach
mój los to niebo
zabierające mi zawieszenie
firanek na jego błękicie
mój los to schodzenie po
zbutwiałych schodach
ku wygnanej rozkładającej się
nieokreśloności
i gasnące spojrzenie kiedy on
mówi*

*– kocham dłonie twoje –
A ja dłonie swoje zasadzę
w ogródku
wiem wiem wiem
dłonie wyrosną a jaskółki
w zagłębieniach palców
poplamionych atramentem
złożą jajeczka
na uszach zawieszę kolczyki
z czerwonych wiśni
do paznokci przykleję płatki
gwiazdnej georginii
Jest taki zaułek
w którym chłopcy zakochani we
mnie
mają wciąż jeszcze
kędzierzawe czupryny szczupłe*

barki chude nogi
i myślą że dziewczynkę
która śmiała się tak szczerze
pewnej nocy porwał wiatr
Jest taki zaułek
który serce ukradło
z kraju lat dziecińczych
W wędrówce przestrzeni po torze

czasu

przestrzeń zapładnia czas
bezmiarem świadomych

wizerunków

a te w gościnnym lustrze
wciąż się zmieniają
i gdy jedne umierają
inne jeszcze trwają
Poławiacz pereł nie szuka perły
w strudze nikczemności ciekącej

do grzęzawiska

ale ja

znam małą smutną Peri
która mieszka w wodach oceanu
a jej serce ukryte we fletni
gra cicho łagodną melodię
i mała smutna Peri
wieczorem od pocałunku umiera
lecz z zorzą ranną na świat znów

wraca

*przez pocałunek*⁴.

Boska cisza wypełniła pokój na kilka chwil. Po twarzy Parastu i Homy skapywały łzy.

– Dziękuję, Farzane! Uratowała pani nasz wieczór – powiedział niskim głosem Kapitan, nie do końca jeszcze obudzony z głębokiego duchowego uniesienia, w jakie wprowadziła go recytacja.

Głos zabrała Hadzi Chanum.

– Jakie to piękne, ale jak udało się pani tyle zapamiętać?

– Założę się, że Farzane zna na pamięć cały dywan Forugh Farrochzad – powiedziała Zadi.

Farzane potwierdziła to uśmiechem i mrugnięciem.

– Co do tego, o czym niedawno mówiłyśmy: straty i czystości. – Parastu spojrzała na Zadi. – Mnie się to przydarzyło. Coś sobie uświadomiłam. Uświadomiłam sobie, że wpadłam w próżnię, myśląc, że widzę jakieś światło. Coś dobrego.

– Dżamszid?

Parastu kiwnęła głową, okręcając nitkę wokół palca.

– Gdy go poznałam. To było na obchodach święta w Persepolis. – Urwała. – Był taki piękny. Wystrojony na wzór starożytnego Sasanidy. Nie mogłam uwierzyć, że mnie chce. A jednak wiedziałam, że byłam tym, czego potrzebuje, czego pragnie.

– *Lezzat* – powiedziała Zadi.

– Właśnie! *Lezzat*, nagroda. – Parastu skinęła głową. – To była pewna droga i poszłam nią. Dopiero w noc po weselu dotarło do mnie, jak bardzo się pomyliłam. Jaka to była w istocie zła droga.

Tej nocy i przez cały poprzedzający ją miesiąc wiedziałam. Wiedziałam, że wybrałam źle. Że skłaniając głowę i okazując swój *szarm*, zatrzasnęłam się w czymś, co odgrodzi mnie od prawdziwego życia. Dziś opowiadam wam to, Zadi *chanum*, jak gdybym miała wybór. Ale tak nie jest. Nie mam wyboru, od tamtego pierwszego dnia w Persepolis. Mój ojciec też nie miał wyboru, jak oświadczył, kiedy kazał mi spakować rzeczy i przenieść

się do domu matki Dżamszida, gdzie miałam mieszkać podczas szykowania się do ślubu. Interes był ubity, wzorzec wybrany i pozszywany.

Dżamszid ani myślał włączyć się w przygotowania do wesela. Sama uszyłam sobie suknię ślubną, załatwiłam gości, jedzenie, wszystko. On miał się tylko stawić. Stawił się, owszem, z godzinnym opóźnieniem i oddechem cuchnącym rosyjską wódką. Przez całą noc, począwszy od ceremoniału *aghd*, w którym posypano nam głowy cukrem na znak czekającego nas słodkiego życia, aż po chwilę, gdy nasze odświętne zielone pasy zostały zszyte razem jako symbol wiecznego związku, Dżamszid był pijany i czerwony na twarzy. W pewnej chwili próbował nawet zmienić tradycyjną formułę ślubu, w której mnie jako pannę młodą pytano trzykrotnie, czy chcę wziąć Dżamszida za męża. Obyczaj, *taarof*, nakazuje dwa pierwsze razy odmówić, gdy kapłan pyta, a za trzecim razem tylko lekko skinąć głową. Ale Dżamszid nawet tego nie dał mi zrobić. Po moim milczeniu w odpowiedzi na drugie pytanie zerwał się na kolana, zaklaskał w ręce i oświadczył: „No to chyba już starczy! Ona mnie nie chce! A czemu mnie nikt nie zapyta, czy ją chcę, co?”.

Kapłan zaniemówił. Ja zawstydziałam się okropnie. Widziałam ojca, po drugiej stronie *sofre*, gotującego się z gniewu pod białą czapką. Nie pamiętam, żeby się kiedykolwiek jeszcze do mnie odezwał.

A później, kiedy zeszliśmy do pokoiku w piwnicy, który nam odstąpiła matka Dżamszida, mój mąż pokazał mi

moje prawdziwe ja. Siedziałam na materacu, serce tłuło mi się w piersi i z nerwów nie byłam w stanie oderwać oczu od swoich pokrytych satyną butów na obcasach.

Dzamszid, rzuciwszy na mnie jedno spojrzenie, skrzywił się.

„Śmieszna jesteś, wiesz o tym? Ścieraj to świństwo. Nie chcę cię więcej widzieć z tym paskudztwem na twarzy. – Polizał palec, nachylił się i przejechał mokrym palcem po moim umalowanym czole. – Myślisz, że nie wiem, że jesteś tak samo czarna jak my wszyscy? Że też pochodzisz z pustyni? – Zaśmiał się obrzydliwie. – Myślisz, że mnie nabierzesz? Dzamszida Sasanidę?”

Jasna skóra była, jak przypuszczałam, jedyną moją cechą atrakcyjną dla Dzamszida. Pamiętam, jak ją chwalił tamtego dnia w Persepolis, mówiąc mi, że jest biała jak śniegi Elburs. Każda znana mi kobieta wychowana na pustyni marzyła o skórze białej jak śniegi Elburs. Skórze, która pasuje do wzorca perskiej piękności: rumiane policzki i blada cera, czarne włosy i usta czerwone jak owoce granatu. A czego nam nie dała natura, to same próbowałyśmy nadrobić maskującymi smagłość pudrami i *sepidabe*. Teraz moja prawda wyszła na jaw: to, co uważałam za jedyną swoją szansę na urodę, okazało się fałszerstwem – wynikiem umiejętnie nałożonego pudru. A Dzamszid o tym wiedział, już od pierwszego dnia.

Parastu przerwała i nastąpiło parę minut milczenia; żadna nie chciała się odezwać. Bardzo wzruszyła je historia nieszczęśliwego małżeństwa Parastu. Cisza – aż

Parastu oderwała oczy od nakładanej henny i powiedziała:

– Hadzi Chanum, myślę, że powinna pani nam opowiedzieć dalszy ciąg swojej historii.

– Żarłoczny z ciebie ptaszek, co, Parastu?

– Rankiem po moich urodzinach Feze, moja niania, i ja obudziłyśmy się w pustym domu. Nie dałam się pocieszyć tak, jak niania chciała; odepchnęłam ją, gdy przyszła utulić mnie w płaczu po karze wymierzonej przez ojca. Zeszliśmy w końcu na dół do jadalni. Czekał tam list od ojca. Pisał, że udaje się do Mekki. Polecenia i pieniądze zostawił u zarządcy majątku. Feze miała nas za nie utrzymać do dnia jego powrotu do tej jaskini grzechu. Kiedy to będzie – Bóg jeden wiedział, czy też, jak napisał ojciec: „Jest, czym jest”. Dowiedcie się, kiedy się dowiedcie.

Przez sześć lat nieobecności ojca życie toczyło się dość normalnie. Opiekowała się mną Feze, chodziłam do amerykańskiej szkoły i bawiłam się jak wszystkie małe dziewczynki. Wieczorami Feze rozgrzewała mnie masażem pleców i dziwnymi historiami.

Dorastałam, przechodząc wszystkie stadia prowadzące do kobiecości. Do piętnastego roku życia. Do dnia powrotu ojca ze świętego miasta Mekki.

Jak wam mówiłam, wiele lat później miałam sama ujrzeć Mekkę. Pić ze studni Zamzam, którą wykopał sam archanioł Gabriel, obejść siedem razy Kabę, ustawicznie recytować szahadę. Cóż to było dla mnie za przeżycie! Co za radość, kontynuować ten cykl. Nauczyłam się

przeganiać diabła kamieniami z miasta Mina, obserwować, jak jego władza objawia się wciąż na nowo, pamiętana i wspominana na jakże wiele sposobów. Stałam się hadżim – świadomą odpowiedzialności, jaką to nakłada, i dumną z niej.

W Mekce poznałam spokój. I mój *baba* chyba też.

Stał tam, ubrany w swój ihram – białą szatę hadżu. Na nogach miał zakurzone sandały, a jego niegolona broda była prawidłowej długości.

„Córko – powiedział, całując mnie w oba policzki. – Jesteś taka, jak sobie wyobrażałem. – Zwrócił się do Feze: – Ty także, droga siostrze Feze. Nic się nie zmieniłaś”.

Klasnął w ręce i uśmiechnął się do nas szeroko. Wyglądał na wielce zadowolonego.

„Dzisiejszy dzień jest dla ciebie jak dzień *Qijamat* – dzień obrachunku. Początkiem tego, co stanie się twym nowym życiem, moja Nikki. Od dziś dnia, moja córko, wkraczasz w prawdziwą kobiecość. Feze”. – Odwrócił się do mojej niani.

Feze z trudem przełknęła ślinę.

„*Aga*”.

Ojciec cmoknął z irytacją.

„*Na, na*. Teraz już *Hadżi*. Żadnego więcej «pan» i tym podobnych”.

Wyciągnął sakiewkę z monetami i położył na toalecie czterdzieści riali.

„Jutro odprowadzisz Nikki do hammamu. Tego w pobliżu parku. Zapytasz o *chanum* Abadi. Ona już się

wszystkim zajmie”.

Wreszcie odzyskałam głos.

„Baba”.

„Tak, moje kochanie?” Ojciec się uśmiechnął.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Czy zdawał sobie w ogóle sprawę z tego, że nie widziałyśmy go przez sześć lat? Miałam do niego tyle pytań.

„Baba, my... my nie wiemy, gdzie jest ten hammam”.

„Naturalnie, że wiecie. Feze pamięta”.

Stojąca przy mnie Feze wydała cichy pisk.

„Ale po co mamy iść do hammamu? Przecież w domu jest wanna”.

„Żadnych pytań. Masz mnie słuchać. Zabierzesz swoje czyste ciało do hammamu i przygotujesz je”.

„Przygotuję? Na co?” Czułam, jak w gardle rośnie mi gula. Nagle miałam chęć wrzeszczeć. Płakać.

„Na uświęcenie. Na to jedyne zjednoczenie, do którego jest przeznaczone. Na połączenie z innym”.

Feze zaczęła pochlipywać. Już rozumiała, do czego zmierza mój ojciec.

Tym innym, z którym miało zostać połączone moje ciało, był mężczyzna, Seiyed Faraodin, mułła. Przywódca lokalnego meczetu i wdowiec. W dodatku siedemdziesięciodwuletni. Dorobił się podobno na handlu dywanami i po siedmiu pielgrzymkach do Mekki zapragnął nowej żony. Powiedziała nam o tym wszystkim nasza kucharka, gdy później przyniosła obiad.

„Nazywają go Pan Łyzeczka – prawiała kucharka,

stawiając półmisek ryżu z szafranem na naszym *sofre*. – Ale to nie to, co myślicie. Nie chodzi o pozycję, w której sypia”.

Nałożyła na talerz porcję sałatki z marynaty i kurczaka. To uczyniwszy, uniosła łyżkę i obróciła ją.

„Widzicie zewnętrzną stronę tej łyżki? Tę wypukłą? On lubi to wyciskać na ramieniu każdej nowo poślubionej żony. Zabieg łyżeczkowy. Oczywiście najpierw każe kucharce rozgrzać łyżkę w piecu kebabowym”.

Podowała kolejny talerz i gadała dalej.

„Lubi stemplować swoje kobiety. Tak to jest” – dodała, kręcąc głową.

Feze wstrzymała oddech i podniosła ręce do ust.

Ja uklęknęłam na *sofre*.

„Ile miał wcześniej żon?”

„Miasto straciło rachubę na przełomie wieków. On ich zresztą i tak długo nie trzyma. – Kucharka dostrzegła zmieszanie na naszych twarzach. – Małżeństwa tymczasowe. Żeni się na kilka dni – może na miesiąc czy dwa, jeśli dziewczyna dostarcza mu prawdziwej przyjemności. A potem bierze następną”.

„I tak mu wolno?” Ta myśl wydawała się Feze równie obca jak mnie. Jak już mówiłam, moja Feze była prostym stworzeniem. Ale serce miała wielkie jak samo niebo!

„Oczywiście, że mu wolno! Mężczyźni postępują tak od wieków. Zamiast się żenić z biedną dziewczyną na całe życie, sprawiają sobie krótką przyjemność i tyle. Zabawne, że na ogół to żona pierwsza proponuje, żeby mąż

poślubił inną! Możecie w to uwierzyć?”

Ani Feze, ani ja nie miałyśmy siły na siebie spojrzeć. Wpatrywałyśmy się tylko w *sofre*; odebrało nam mowę.

Tego wieczoru nie było opowiadania historii. Leżałam w łóżku, gapiąc się w sufit, a tysiące myśli przewijało się przez moją głowę i żadna tam nie pozostawała. Leżąc na podłodze Feze pochlipywała między modlitwami, których nie słyszałam w jej ustach od wielu lat. Widziałam przed sobą tylko wypukłość olbrzymiej łyżki; jej gorące czoło wciska się w moją skórę i pozostawia wypalone półksiężycowe znamię, które mnie naznacza na całe życie. Pomimo tych myśli musiałam zasnąć, bo kiedy się ocknęłam, stała nade mną Feze, w czadorze i woalu zasłaniającym twarz.

Kilka lat wcześniej szach ustanowił prawo zabraniające kobietom noszenia czadoru. Pamiętam, jak nam o tym doniosła nasza kucharka. Wytrzeszczając oczy, wykrztusiła: „Szach kazał wszystkim zdjąć czadory! Każda kobieta ma chodzić z gołą głową albo zostanie aresztowana! – Postawiła nam na *sofre* garnek jagnięcego gulaszu. – Jeżdżą nawet konne straże, które ściągają chusty opornym kobietom. – Ujrzałam łzy ściekające po jej tłustych policzkach. – Jesteśmy potępione! Potępione!”.

Nasłuchałyśmy się od tamtego czasu historii o czadorach. Z opowieści naszej kucharki wynikało, że cały kraj się rozpada. Kobieta bez woalu, mawiała, to w ogóle nie jest kobieta.

Oczywiście mój ojciec był przeciwny takim aktom

Szatana, jak je nazywał, i kazał nam mimo wszystko włożyć czadory.

„*Hadzi Aga!* Zaaresztują nas strażę szacha. Nie możemy tak zwyczajnie wyjść w czadorach” – przypomniała mu Feze.

„To niech nas aresztują – odparł mój ojciec. – Chciałbym widzieć, jak spróbują, dranie. Pójdę za wami do hammamu i będę czekał po drugiej stronie ulicy, aż skończycie i stamtąd wyjdziecie”.

„Kucharka przygotowała kanapki z serem. Resztę jedzenia dostaniemy w hammamie – powiedziała Feze. Ściągnęła mnie z łóżka i podała mi czador. – Twój *baba* czeka na zewnątrz. Odprowadzi nas do łaźni”.

Milcząc, owinęłam się w czador i zaciągnęłam welon na twarz, przytrzymując go w stałej pozycji zębami. Potem wyszłam za nianią na spotkanie swojego losu.

Droga do hammamu była jak wyrok śmierci. Wszędzie dokoła mnie tętniło życie: drugie kwitnienie drzew i gęsty czwartkowy tłum ludzi robiących zakupy przed dniem świętym. Feze trzymała mnie za rękę i pamiętam, jak pot ściekał między naszymi dłońmi ku czubkom palców, a potem wolno kapał na ziemię.

Kiedy doszliśmy do hammamu, mój ojciec powiedział: „Będę czekał po drugiej stronie ulicy, w tamtej kawiarni. Pamiętaj spytać o *chanum* Abadi. Ona wie, co należy zrobić”.

Chanum Abadi oczekiwała nas przy wejściu do szatni. Była drobną kobietką z miną kwaśną niby marynowane

ogórki, *torszi*, na chudej twarzy.

„Która z was jest panną młodą?” – warknęła.

Żadna z nas nie odpowiedziała.

„Wszystko jedno. Chodźcie, i tak obie będziecie miały zabieg”.

Wskazała nam dwie szafki.

„Czadory schowajcie tutaj. Najpierw musicie przygotować ciała do *band andazi* i skubania. Pięć zanurzeń w gorącym basenie, pięć w zimnym. Potem wrócę do was i wszystkim się zajmę”.

Odeszła, zostawiając nas ze swoim poleceniem. Usiadłyśmy z Feze na ławeczkach przed naszymi szafkami. Dookoła nas były dziewczyny i kobiety, ubrane i porozbierane. Żadna nie nosiła czadoru, a nawet chusty. Powiadam wam, chyba większym szokiem było dla nas wtedy zobaczyć kobietę bez chusty niż naga. Feze i ja nie zdjęłyśmy czadorów; przez parę minut nie byłyśmy zdolne się ruszyć. Wreszcie niania odwróciła się do mnie.

„Nie pozwolę, żeby cię to spotkało, Nikki *chanum* – szepnęła. – Nie możesz wyjść za tego człowieka”.

Pokręciłam głową i wzruszyłam ramionami.

„Nic nie możemy zrobić. Już się stało. Tylko chodź ze mną, Feze. Potrzebuję twojej obecności” – powiedziałam, czując, jak przenika mnie dreszcz.

„Zawsze będę przy tobie, malutka. Ale to ty musisz odejść. – Wstała i podeszła do otwartej szafki. Jej użytkowniczka wyszła do sąsiedniej, cieplej, sali i pozostawiła drzwiczki uchylone. Feze wróciła i wcisnęła

mi coś w ręce. – Weź to ubranie. Zrzuć czador. On cię bez niego nie rozpozna”.

„O czym ty mówisz? Nie mogę! Zobaczy mnie. Jest po drugiej stronie ulicy”.

„Zaufaj mi. Nie będzie wiedział, że to ty. Dość tego, rób, co ci mówię!”

Chciałam oddać Feze nie swoje ubranie – patchworkową spódnicę i bluzkę z długim rękawem.

„Nie. Nie mogę. A co z tobą? Nie mogę cię tutaj zostawić”.

„O mnie się nie martw. Wiem, dokąd pójść”.

Feze wręczyła mi pakiecik kanapek z serem, a potem wyciągnęła małą sakiewkę, którą zawsze nosiła w obszernych szarawarach.

„Weź to. Wystarczy ci na dojazd do Morza Kaspijskiego. Jedź autobusem do Teheranu, a tam wsiądź w pociąg. Pojedź do Bandar-e Szah nad Morzem Kaspijskim; mieszka tam twoja ciotka. Odszukaj ją i poproś, żeby pomogła ci się dostać do twojej *maman*”.

„Ale ja nawet nie wiem, gdzie ona jest. Nie mogę...” – wykrztusiłam, roniąc łzy.

Feze zacisnęła moją dłoń na sakiewce.

„Owszem. Możesz. Możesz wszystko, Nikki. Jesteś silna. Wiedziałam to od twojego urodzenia. Od chwili, kiedy wyszłaś z *maman*. Byłam przy tym, pamiętasz?”

Pociągnęłam nosem. Usiadła obok mnie.

„Jak tylko położyła wyciągnęła twoją główkę, zaczęłaś się rozglądać. Te twoje okrągłe oczka gapiły się na

wszystko i gapiły. Z ciekawością. Z pragnieniem. To twoje przeznaczenie. To jest właściwy moment, *azizam*. Korzystaj z niego!”

Skorzystałam. Włożyłam to cudze ubranie. Patchworkową spódnicę i bluzkę z długim rękawem. Sandały zbyt duże na moje nastoletnie stopy. I wymaszerowałam z hammamu. Odchodziłam od ukochanej niani, Feze. Widziałam ojca po drugiej stronie ulicy. Palił *ghalyun* z grupą mężczyzn ubranych podobnie do niego. Kiwał głową, ale cały czas obserwował drzwi hammamu. Przez chwilę chciałam się skulić i pobiec, ale coś mi kazało spojrzeć wprost na niego.

Feze miała rację. Nie poznał mnie. Rzucił mi pełne niesmaku spojrzenie i dalej ćmił fajkę, nieświadomy tego, że jestem jego córką, która oddała się ulicą.

Autobus z Szirazu do Teheranu przecinał rozległe równiny, miasta i miasteczka, o których opowiadała mi Feze, a których jeszcze nigdy sama nie widziałam. Pociąg nad Morze Kaspijskie sunął po nowych torach, świeżo przybitych do podłoża gór i dolin. Była to jedna z najnowszych tras wybudowanych przez szacha dla nowego Iranu. Patrzyłam na góry Zagros, na piękne doliny. Zmierzwiłone włosy powiewały mi z tyłu, niczym nieskrępowane, nos wdychał wszystkie wonie wolnego powietrza. Kiedy moją twarz smagnał zapach soli i jaśminu, wiedziałam, że morze jest blisko.

Na stacji w Teheranie kupiłam bilet w jedną stronę do miasta Bandar-e Szah. Nie wiedziałam, że trzeba go

skasować w metalowym okienku, dopóki nie nadszedł konduktor i nie pokazał mi, jak to zrobić. Nosił nowiusieńki mundur i czapkę, całkiem jak konduktorzy kolei europejskich. Spojrzał na moją odkrytą głowę i uśmiechnął się.

„Takich lśniących włosów nie wolno chować pod szorstką tkaniną. Miło mi wiedzieć, że rozumiesz te sprawy, młoda damo. Wiesz, co nasz szach chce uczynić dla kobiet tego kraju”.

Odpowiedziałam mu uśmiechem, zadowolona z tej uwagi. Odsłonięcie głowy to coś cudownego, pomyślałam. Czułam się jak w dzieciństwie, zanim mama wyjechała do Paryża i wszystko się zmieniło.

Czułam się wolna, tak, ale nie tylko dlatego, że wyrwałam się z domu, z Szirazu. I nawet nie dlatego, że pozbyłam się czadoru i *rusari*. Byłam wolna, bo zrozumiałam, co mówiła do mnie Feze w hammamie. Miała rację: moim przeznaczeniem było pragnąć. A w tym momencie, w pociągu, pragnęłam nade wszystko nie myśleć o niczym.

Pociąg okrążył las i zatrzymał się na stacji. Wychyliwszy się, zapytałam kobietę i mężczyznę siedzących po przeciwnej stronie przejścia, gdzie jesteśmy. W Behszahrze – odpowiedzieli. Jeszcze dwie stacje do Bandar-e Szah i Morza Kaspijskiego.

Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam mały budynek dworca, otoczony kwitnącymi jaśminami. Bez zastanowienia zerwałam się z miejsca, precyzyjnie

przejściem między siedzeniami i wybiegłam z pociągu. Nie wiem, dlaczego wysiadłam przed dotarciem do Morza Kaspijskiego; nie wiem, czemu zdecydowałam się zatrzymać w Behszahrze. Wiedziałam tylko, że te krzewy jaśminu mają jakiś związek z moją nową misją. Z przeznaczeniem, za którym podążam.

Przez okno budynku stacji nie było widać nikogo. Tabliczka na drzwiach głosiła, że już zamknięte. Powędrowałam więc do widocznej nieopodal drogi i kamienistym szlakiem zesłam ze wzgórza na główną ulicę. Nade mną wznosił się stok góry obrośnięty glinianymi domami i chatami małej wioski: pięły się jedne nad drugimi, tak że jedna linia dachów wyznaczała ulicę następnego ciągu budowli. Powietrze tam było najświeższe, jakie kiedykolwiek wachałam – rzadkie i przepojone wonią jaśminu. Jakże niepodobne do przytłaczających chmur, które szły za człowiekiem, gdziekolwiek udawał się w Szirazie, pięknych, ale ciemnych róz mojego rodzinnego miasta.

Przeszłam główną ulicą – bardzo spokojną, gdyż było już po godzinach handlu – i skręciłam na leśną ścieżkę. Słyszałam skądś wodę, ale byłam pewna, że Morze Kaspijskie jest o wiele dalej. Ci państwo w pociągu mówili przecież, że to jeszcze dwie stacje.

Nagle wyszłam na polanę i ujrzałam rzekę. Szeroką i obrzeżoną wybujającymi cyprysami. Słyszałam śpiew słowików ukrytych w koronach drzew. I nagle do mnie dotarło.

Byłam piętnastoletnią uciekinierką. Znajdowałam się nie wiadomo gdzie. Miałam wszystkiego siedemdziesiąt dziewięć riali. A ocean – gdzie był ocean?

Och, moje panie! Jakże się spłakałam.

Szlochałam i szlochałam. Nad sobą, nad Feze. Gdzie ona teraz jest? Co się z nią dzieje? Jak mogła poświęcić samą siebie, żeby dać mi uciec? I jak mogłam jej na to pozwolić?

Płakałam za matką, którą zamknęłam w zakamarku swojego serca, wiedząc, że wyjechała i porzuciła mnie całkiem samą. I, tak, płakałam nawet za *babą*, za jego dziwnym przekonaniem, że okazuje mi miłość, wydając mnie za męża.

Płakałam, aż w końcu nie miałam już więcej łez. Wytarłam twarz i uklękłam nad rzeką. Trzciny zakorzenione w swoich łożyskach stały sztywno w szlamie i wodzie. Zdjęłam ze stóp kradzione sandały i zaczęłam brodzić między grubymi zielonymi pędami.

Przypomniał mi się wiersz, który kiedyś recytowała Feze. Moja urocza niania nie była inteligentna w sensie podręcznikowym, ale znała na pamięć mnóstwo pięknych wierszy. A ten był jednym z nich.

Słuchaj jak flet trzciny smutną

Baśń o tęsknocie opowiada.

Wyrwana z ziemi trzcina płacze

I płakać każe wszystkim ludziom.

Chce znaleźć pieśń męką

szarpaną,

*By zwierzyć ból wielkiej tęsknoty.
Każdy, kto z miłym rozdzielony,
Czasu spotkania oczekuje*⁵.

Przepowiadałam sobie w myśli te słowa, a one jakimś cudem zabrzmiały. Słyszałam, jak się nade mną unoszą. Lecz nie, to nie ja je wyrecytowałam. To inny głos, dobiegający zza moich pleców, z brzegu rzeki.

Obróciłam się. Stał tam. Stał na polanie. Wiatr targał jego długie kasztanowe włosy, chłoszcząc nimi twarz. Nawet z miejsca, gdzie stałam, widziałam zieleń jego oczu – miały taki sam odcień jak te trzciny, które mnie otaczały, i tę samą szczerą intencją.

„Nie najlepsze to miejsce na kąpiel” – powiedział z rozbawieniem.

Serce biło mi jak oszalałe, lecz mimo to nie zapomniałam języka w gębie.

„Nie wiesz, o czym mówisz – odparłam temu obcemu, temu mężczyźnie, jemu. Uniosłam spódnicę po kolana. – Chciałam się tylko napić”.

„Ależ nie będę ci przeszkadzał”.

Kiedy nachylałam się nad wodą, czułam, jak na mnie patrzy. Nie wypuszczając z rąk rąbka spódnicy, zniżyłam twarz do dłoni. Woda była orzeźwiająca i pachniała świeżą trzcina, ale nie mogłam się nią w pełni cieszyć przez te zielone oczy. Nadal na mnie patrzyły.

Napiłam się i obejrzałam za siebie. Nie ruszył się ze swojego miejsca w wysokiej trawie.

„Dlaczego nie nosisz woalu?”

Wzruszyłam ramionami.

„A po co?”

„Naprawdę nie wiesz czy chcesz ze mnie zrobić głupka? Z przyjemnością wyjdę na głupka, jeżeli ci to dogadza”.

Myślałam o dwóch rzeczach naraz.

Pierwsza: że pragnę tego człowieka wewnątrz siebie, że muszę czuć te oczy przeszywające moją szyję, moje piersi. Druga: że muszę stąd uciec, bo on jest zbyt piękny, zbyt boski. Powinnam wbiec w nurt rzeki i nie oglądać się. Bez tego pragnienia rosnącego w dole brzucha.

Ha! Co to za myśli u piętnastoletniej dziewczycy.

Nie poszłam ani za pierwszą myślą, ani za drugą. Nie wtedy. Jeszcze przez chwilę bawiłam się słowami.

„Już wyglądasz na głupka” – odparłam hardo.

Zielone oczy błysnęły.

„Ach tak? Nie zamierzasz nawet zapytać? Nie chcesz wiedzieć, dlaczego uważam, że powinnaś nosić woal?”

Wzruszyłam ramionami, wciąż stałam w wodzie.

„Nie sprawię ci tej przyjemności. I nie myśl sobie, że jak wypaplałeś parę wersów, to zaraz pomyślę o tobie, że jesteś geniuszem albo co. *Pieśń trzcinowego fletu*. Jakbym jej wcześniej nie znała!”

Ruszył lekko przez trawę. Był zwinny, chociaż rosłej postury. Staralam się nie patrzeć na trójkąt nagiej skóry u styku jego szyi z klatką piersiową, ale okazało się to silniejsze ode mnie. Ta ogorzała skóra, te włoski lśniące od potu, wyglądały tak rozkosznie! Widziałam poruszenia

jego mięśni pod białą koszulą, z bólem odrywałam od nich oczy. Coś gniotło mnie w żołądku – nigdy czegoś podobnego nie czułam. Nagle pożałowałam, że stoję w dokuczliwie zimnej wodzie, uprzytomniwszy sobie, że gdybym zemdląła, uwięziłabym w trzcinach i została ocalona. Poczułam się uwięziona przez rzekę rwącą za moimi plecami.

Mężczyzna cmoknął, zbliżając się do samego brzegu. Wyciągnął rękę.

„Chodź, nie ma sensu, żebyś się poświęcała dla mojej pychy”.

Obejrzałam się na rzekę. Zdjąć chustę i wybiec w nieznaną – to jedno, ale dotknąć mężczyzny? Obcego? To już była odwaga. Popatrzyłam na jego rękę. I, szczęśliwie, przyjął ją.

Nazywał się Jalalladin Ansari – tak się przedstawił, kiedy brnęliśmy przez trawę. Urodził się po drugiej stronie rzeki, w widocznych w głębi lasach, ale nie przestawał boso wędrować, odkąd sypnął mu się pierwszy wąż. Przewędrował afrykańską Saharę, oglądał syberyjski wschód słońca, jadał przy *sofre* królów i pasterzy. Był nieustannie w ruchu od czternastu lat i tylko czasem pozwalał sobie na krótki odpoczynek w rozmaitych portach świata. Do życia, powiedział, potrzebna mu była tylko ta skórzana sakwa, którą nosił na plecach.

„Żebym miał wolne ręce do przygarnięcia wszystkiego” – wyjaśnił, gładząc nieogolony policzek.

Siedzieliśmy pod cyprysem; podkuliłam nogi pod

długą patchworkową spódnicą. On siedział po turecku naprzeciwko mnie i przeczesał żdźbła słodkiej trawy grubymi, ogorzałymi palcami. Boże mój, co za męczyzna! Pomyślałam, pamiętam, że wolałabym mieć na twarzy woal, że potrzebuję czegoś, co by mnie ochroniło przede mną samą. Ta myśl stała się jeszcze intensywniejsza, gdy on się nachylił i wyjął mi z potarganych włosów żdźbło trawy.

*Gdybyś była żdźbłem trawy albo
małym kwiatkiem,
rozbiłbym swój namiot w twoim
cieniu.*

„To też Rumi” – powiedział, puszczając do mnie oko.

Uśmiechnęłam się i skinęłam. On cmoknął.

„Więc poszukujesz jakiegoś schronienia, tak?”

Co ten Jalalladin miał w sobie, że mu natychmiast zaufałam? Dlaczego czułam się z nim tak swobodnie? Wciąż nie mam na to odpowiedzi, *dżunam*. Wiedziałam tylko, że czuję się bezpieczna po raz pierwszy, odkąd opuściła mnie matka. Tak bezpieczna, że pozwoliłam mu się zabrać w poprzek nurtu rzeki na tratwie uplecionej z suchej trzciny. Dobiliśmy do przeciwnego brzegu i cofnęliśmy się ścieżką, każde do swojego dzieciństwa. Ja pozbyłam się wszelkich oporów, a Jalalladin dał się prowadzić do chaty, w której przyszedł na świat.

Kobieta, która otworzyła nam drzwi, była kopią stojącego obok mnie mężczyzny: z pewnością równie jak on wysoka, była mocna i rumiana. Miała na sobie

tradycyjny strój tych okolic i jasnoszkarłatną chustę na głowie. Na dłoni trzymała zapalony stosik ruty, jakby już wcześniej szykowała się na przybycie syna.

„*Maman-dżan* – powitał ją Jalalladin, całując jej szorstkie dłonie. – Gotowa jak zawsze”.

„Już od miesiąca wiedziałam, że przyjdiesz. Ugotowałam twoje ulubione danie. *Qejme!* – Odwróciła się do mnie i uśmiechnęła, jakby mnie poznała. – A oto i ona – oznajmiła, kiwając głową. – Dla ciebie, mała *chanum*, mam już naszykowane łóżko. Wejdźcie, wejdźcie!”

Jalalladin uśmiechnął się i zaprosił mnie do środka.

„Uważaj – ostrzegł. – Ona będzie czytała twoje myśli, zanim przyjdą ci do głowy”.

Nigdy nie znałam cieplejszego domu niż ten utrzymywany przez *chanum* Ansari. Wszystko, co posiadała na tym świecie, zgromadziła w jednej jedynej izbie krytej strzechą z trawy i nigdy nie chciała mieć więcej, jak mi powiedziała, szykując napój z jogurtu i mięty, *duq*, do popijania naszego letniego posiłku. Jalalladin poszedł wykąpać się w pobliskim strumieniu, a my tymczasem nakryłyśmy *sofre*. Byłam w tej chacie już od pół godziny, a jednak wciąż znajdowałam nowe rzeczy, które mnie zadziwiały. W każdym zakątku izby stał jakiś piękny przedmiot.

Na prawo znajdowała się przestrzeń kuchenna. Mały żeliwny piecyk opalany drewnem rozgrzewał płytę dostatecznie, by ugotować na niej wspaniały gulasz *qejme*.

Od zapachu jagnięciny z szafranem duszonej w łamanym żółtym grochu zaczęły mi dygotać kolana.

Nic nie jadłam od poprzedniego dnia, gdy pochłonęłam ostatnią kanapkę z serem, którą dała mi Feze. Robiło mi się wprost słabo od zapachu tego *qejme*.

„Siądź sobie tutaj – powiedziała *chanum* Ansari, wskazując *sofre* na zasłanej dywanem podłodze. – Wypij szklanekę *duq*. To rozluźni twoje napięcie”.

Podawała mi szklanekę wody z jogurtem i miętą, po czym wróciła doglądać gara z *qejme*. Upiłam solidny łyk napoju, z przyjemnością czując, jak załaskotał, dotknąwszy guli niepokoju ulokowanej tuż pod mostkiem. Od razu zrobiło mi się lepiej.

„Dziękuję, *chanum*”.

„W tym domu nie trzeba dziękować. Wystarczy radość z dawania tobie, moja mała”.

Otwarte okno, obramowane splecionymi wiązkami gałęzi i ocienione patchworkową firanką, prezentowało widok na oddalone lasy. Spod niskich gałęzi sosen wyzierało zachodzące słońce.

„*Chanum*, mam nadzieję, że nie weźmie mi pani tego za złe, ale chciałabym spytać, skąd pani wiedziała, że przyjdę?” Odwróciłam się i spojrzałam na matę, którą dla mnie naszykowała w kącie za moimi plecami. Druga mata, obłożona haftowanymi poduszkami, znajdowała się naprzeciwko. Między nimi leżał dywan, też z poduszkami, które otaczały mały, rzeźbiony stoliczek z zestawem ozdobnych szachów.

Chanum Ansari roześmiała się.

„Wcale nie wiedziałam. Ale jak mówi przysłowie: co w sercu, to na języku”.

Zmieszałam się.

„Ależ ja przyjechałam tutaj dopiero dziś rano. Niedawno wysiadłam z pociągu”.

Zamieszała *qejme* w garnku i pokręciła głową.

„Oj, widzę, że to trochę potrwa”.

Podeszła do małej szafki i otworzyła ją. Wyjęła stamtąd trzy terakotowe talerze i duży, turkusowej barwy półmisek. Zaczęła napełniać półmisek szafranowym ryżem połączonym z gulaszem.

„Nie wszystko daje się wytłumaczyć, moja mała. Powiedzmy na razie, że podszeptały mi to *paries*, duchy leśne. Trzeba ci wiedzieć, że jest ich pełno tu po lasach”.

Musiałam bardzo zblednąć, bo *chanum Ansari* roześmiała się ponownie i dodała: „Dopij ten *duq*, moja mała. Musisz się dobrze odżywić, zanim znowu zostaniesz wypuszczona w świat”.

Wieczorem wiatr, przez zasłonę drzew i okno, przynosił zapach Morza Kaspijskiego. Niósł woń soli i kawioru, i dzikiego gwiazdzistego jaśminu. To ten zapach jaśminu – powiedział Jalalladin – doprowadził go z powrotem do domu.

„Byłem na rubieżach Japonii, gdzie jaśmin podają w herbacie, i w Indiach, gdzie posypują nim łoże panny młodej, ale nic nie dorówna tym małym, gwiazdzistym kwiatuśkom rosnącym na granicy morza tuż za tymi

lasami. One mi zawsze przypominają o moich początkach”.

Uśmiechnął się i sięgnął po figę. Rozkroiwszy ją na pół nożykiem z perłową rękojeścią, jedną częśćkę podał matce. Drugą wręczył mnie, ponad *sofre* z owocami i herbatą.

Zdumiało mnie, że znalazłam w sobie siłę, aby przyjąć od niego tę figę: przez cały wieczór narastało moje onieśmienie w obecności Jalalladina, do tego stopnia, że w pewnym momencie, nie mogąc utrzymać szklanki z gorącą herbatą, postawiłam ją z impetem na *sofre*, bojąc się, że inaczej rozleję.

Ach! Był piękny! Te oczy, te przepiękne oczy. Zdolne jednym spojrzeniem wywabić wszystkie demony z podziemnego świata – tyle miały w sobie czystości, światła.

Zielone jak te trzciny, wśród których stałam, kiedy on mnie wyciągał.

„Jesteś najlepszym synem, jakiego mam” – oświadczyła *chanum* Ansari, nadgryzając figę.

„Jestem jedynym synem, jakiego masz” – poprawił ją z rozbawieniem Jalalladin.

„To prawda, ale i tak najlepszym”.

Żadne nie siliło się specjalnie, aby mnie wciągnąć w rozmowę. Pozwolili mi w zamian siedzieć, słuchać i obserwować serdeczne przekomarzania matki z synem. Nie licząc uwagi Feze, sama właściwie nigdy nie zaznałam tak pięknych dowodów uwielbienia.

„Zjedz tę figę, moja mała” – powiedziała *chanum*

Ansari. Patrzyli na mnie oboje z Jalalladinem.

Zaczerwieniłam się, spoglądając na dojrzały owoc w mojej dłoni. Przypomniało mi się, co mówiła kiedyś o fidze Feze: że to ulubiony owoc matki natury. Ugryzłam kęs.

Jalalladin się roześmiał.

„Chyba czas się położyć”.

Wstał od *sofre* i przeszedł przez izbę tam, gdzie rozłożone były maty. Jego plecak już leżał na jednej z nich. Podniósł go i wyciągnął ze środka coś, co wyglądało jak pajęczyna. A był to hamak, utkany tak misternie i tak delikatnie, że mieścił się w małym plecaku.

„Dobrej nocy, *maman-dzan* – powiedział, całując matkę w oba policzki. – I tobie też – dodał, zwracając się do mnie. – Dojedz tę figę”.

Wyszedł z chaty. Przez okno widziałam, jak znika w lesie.

„Będzie dzisiaj nocował z *paries*. Najszczęśliwszy jest w blasku księżycy – powiedziała *chanum* Ansari. – No a ty, moja mała? Ta mata zaprasza cię do raju snów”.

Nazajutrz rano obudził mnie odgłos i zapach jajek smażonych na żeliwnym piecyku. *Chanum* Ansari dorzucała do dużego rondla zioła oraz przyprawy i wszystko razem mieszała. Zjadłyśmy we dwie, kiedy słońce wspięło się nad sosny. Co chwila patrzyłam w okno, wyglądając sylwetki mężczyzny, w którym już się kochałam – ale wciąż go nie było.

„Odszedł, moja mała. Już nogi niosą go do następnego

postoiu” – powiedziała *chanum* Ansari, odczytując moje myśli.

„Ale przecież dopiero przyszedł”.

„Przychodzenie to dziejące się odchodzenie. Ostatecznie nie ma między nimi różnicy”.

„Ale pani go tak dawno nie widziała, *chanum* Ansari! To pani syn”.

„I właśnie dlatego mogę pozwolić mu odejść – wyjaśniła, zgarniając resztki omletu kawałkiem chleba *barbari*. – Jest coś, czego się nauczysz o mężczyznach, których pokochasz, *dzunam*. – Urwała i poprawiła się w siadzie po turecku. – Nie można się do nich przywiązywać. Muszą wiedzieć, że wolno im uciec. Że świat zewnętrzny na nich czeka. Tak jak my czekamy. Tutaj, z otwartym oknem i sercem”.

„A jeśli nie wracają?”

„To już wola *Khody*, wola boża. A postępowanie według woli bożej to jedyna rzecz, jaką osoba, kobieta czy mężczyzna, może mieć nadzieję robić dobrze w swoim życiu”.

Zamilkła, widząc zmieszanie na mojej twarzy.

„Popatrz, zaraz ci pokażę. – Palcem na *sofre* nakreśliła umowne koło między swoim talerzem a moim. – Takie są kobiety. Jak koła. A to. – Nakreśliła linię. – Przypomina mężczyznę. Koło ogarnia i zatrzymuje, bo ma na to dość siły. A linia musi przeć naprzód, bo to jest jedyna rzecz, jaką linia potrafi robić. Sięgać po nieskończoność, którą koło już zna. – Podniosła wzrok. – Widzisz więc: każdy

ma do spełnienia swój obowiązek”.

Jest, czym jest.

Wstała, zwinna jak kobieta licząca połowę jej lat.

„A teraz musimy dalej sprawować swoje obowiązki.
Musimy pozmywać” – powiedziała.

Czy zabrzmiałoby to dziwnie, powiedzieć, że kochałem tego mężczyznę? – dumał Kapitan. Że widziałem w nim też samego siebie? Jak to możliwe? A przecież się stało. Jak dalece człowiek może się zbliżyć, jak łatwo, do samooszustwa? Widziałem, że ten mężczyzna jest martwy w środku. Widziałem, jak niewiele z niego zostało – a jednak zastanawiałem się, jak to robi, że codziennie po przebudzeniu wdziewa ten swój mundur i wkracza w korytarze komory ruin. Widziałem, co tam jest, i nie bałem się. Przynajmniej nie tak jak kiedyś.

Strach przyszedł w innym przebraniu. Zacząłem bowiem myśleć tak jak on – wyobrazać sobie jego sposób widzenia – a ilekroć to czyniłem, czułem, że się rozpadam. To była śmierć, życie w ten sposób. Tak łatwo w to popaść – zagubić się – że nie musiałem nawet myśleć jak on, żeby poczuć jego udrękę. To było proste. Tylko co z tego? Jak to mogło mi pomóc? Zachowywałem tę wiedzę dla siebie, trzymałem ją w zakątku umysłu, i kontynuowałem swój plan.

Nie mogłem nawet podzielić się owym planem ze współwięźniami. Nie znałem ich za dobrze – a jednak mogłem, pewien jestem, otworzyć się przed nimi. Jaka szkoda, że tego nie zrobiłem.

Więc jak to jest żyć w ukryciu? Jak to jest być złączonym z czymś większym od siebie? Błądzić

w ciemności, ale wiedzieć, że dąży się do czegoś, co ma cel – do tego czegoś, tego „tak”, do którego próbowali dotrzeć nawet Hafiz, nawet Rumi, a przecież... przecież to jest miłość. To niepoznawalne, to ofiarowane, to poświęcenie. Zatracić siebie, aby zdobyć coś innego. Lecz w jaki sposób ja do tego doszedłem, jako młody człowiek, pełen pragnień i namiętności? (Ach, już od dawna nie byłem młody). Oglądać z boku dzieło stworzenia? Widzieć to, co kobieta tworzy w swym ciele? Widzieć, co tworzy Bóg? Nie widzieć tego, co widzieć powinienem?

Czy nie na tym polega los? I co znaczy: być sługą losu?
Co widzieć i co słyszeć?

To, co robiłem, robiłem dla przetrwania, a jednak teraz wiem, że miałem mały wybór. Żadnego wyboru, być może. Mimo wszystko nie jestem z tego dumny.

Widziałem najgorsze cechy ludzkiego umysłu – i rozumiałem, jak łatwo mógłbym je przyswoić.

Zezwierzęciała istota poświęcała mi zbyt wiele uwagi, zanadto dbała o słowa, które nawet nie były moje.

Kiedy myślę o tym człowieku, potrafię myśleć tylko, jak dalece był duchem. Ach, piękno, piękno wszechobecne – jakże umiało dotknąć nawet tę kreaturę.

I tak to wszyscy jesteśmy podobni.

I dlatego głowię się przez te lata, zaczynając już widzieć światło na drugim końcu – tam gdzie wszyscy zostaniemy wezwani do *tauhid*, jedności z całym stworzeniem – kiedy przychodzi ta chwila, że człowiek załamuje się wewnątrz? Czy to się zdarza jeszcze przed

naszym narodzeniem? Kiedy zostajemy wykorzeni z trzciny podłoża? Kiedy przestajemy tęsknić za powrotem? Czy wszyscy, czy nie wszyscy tęsknimy za powrotem?

Moja córka mówi, że jest zakochana. Że musi iść tą drogą, z nurtem rzeki, z kimś, kogo nie znam. Myśli, że nie wiem, że nie potrafię zrozumieć – ale jak może mi mówić coś takiego? Rozumiem aż za dobrze. Stojąc nad grobem, Szima, chcę ci powiedzieć: idź swoją drogą, ja ci życzę wszystkiego najlepszego.

Po jakimś czasie, po latach właściwie, to pudło, ta cela stała się wygodna. Więcej niż wystarczająca. Wspomnienie mojej ukochanej, mojej umiłowanej, dziewczyny, którą zostawiłem w Tebrizie, oddaliło się. Tak, nawet mężczyzna potrafi stracić pragnienie cielesne i stać się czymś innym – czymś bliskim boskości. Tak, czułem się szczęśliwy.

Doszedłem do takiego momentu, że – jak pamiętam – ziemia pod stopami zdawała się nosić mnie w nowy sposób. Kiedy stałem, kiedy szedłem, czułem w sobie naprężony sznur przytwierdzający mnie do ziemi. Hadzi Chanum utrzymuje, że to boskość – kiedy wiruje i czuje szarpnięcia tego sznura, to jest dla niej *tauhid*, ale *tauhid* można osiągnąć różnymi metodami. Mój umysł dziwnie działał. Nie pragnąłem niczego poza tym, co miałem przed sobą – a to, co posiadałem, na pewno nie było zwyczajne. Poezja. Jakże mogłem jej nie pragnąć? Co innego mogłem robić? I tak prowadzi się wojny.

Czy przegrałem? Czy wygrałem? Nie byłem już pewien. Życie w więzieniu kazało mi zapomnieć o wszystkich najważniejszych rzeczach – bo cóż bardziej boskiego niż ludzka miłość, niż chęć, pragnienie dawania drugiej osobie, pragnienie dotyku, przytulenia córki? To chciałbym teraz powiedzieć Szimie, ale nie mogę.

Szima bada mózg. Powiedziała mi kiedyś, pamiętam, że używamy tylko niewielkiej jego części – że gdybyśmy używali więcej, władza nasza byłaby niewyobrażalna. Wręcz niebezpieczna. Ja nie chcę więcej, niż jest mi dostępne teraz. Widziałem, co władza robi z człowiekiem. To nie jest pragnienie dla każdego.

A może niektórzy z nas są tak inni, tak oddzielni? Czasem się nad tym zastanawiam i czasem czuję ukłucie, wyrzut sumienia, że zostałem.

Że przeżyłem.

Mówiłem, że moja córka Szima jest odważniejsza, niż ja sam mógłbym kiedykolwiek być – i mówiłem prawdę. Bo ona zawsze wiedziała. Może ja też zawsze wiedziałem, kim jestem, ale czułem, jak gdybym coś zgubił – jak gdybym zaczynał coś gubić tych wiele lat wstecz, w tamtych czasach.

Nie mogłem się uwolnić od tego mężczyzny. Gdziekolwiek szedłem, miałem wrażenie, że jestem przez niego obserwowany. W dodatku coś się wtedy ze mną działo: jakbym tracił zmysły, myśli; im dalej brnąłem, tym łatwiej było mi porzucać poprzedni moment, tak że następna myśl nie zawsze miała związek z poprzednią. Aż

zaczęłem wyczekiwać odwiedzin tego człowieka. Obmyślałem nawet zawczasu, o czym mógłbym z nim rozmawiać. Prawdziwe tematy, nie tylko los, który go interesował. Tematy, które dawały mi wielką władzę.

Są sposoby łamania człowieka niewidoczne dla oka i są sposoby, o których łatwo orzec.

Zaczęłem widzieć – zacząłem wiedzieć, jak to sprawiać. Jak sprawić, żeby tamten człowiek się ode mnie uzależnił. Wszelkim kosztem.

Więc mówiłem mu to, co sam chciałem widzieć. Otwierałem książkę na stronach, które sam wybrałem. Skonstruowałem ciężarek w grzbiecie książki, który to sprawiał. Mogłem to, oczywiście, robić stale – on domagał się przepowiedni na pstryknięcie palcami, ale tłumaczyłem mu, że nie tak to działa. Że musi naprawdę pomyśleć, ku czemu kieruje swoją wolę, i że na to potrzeba czasu: musi do mnie przychodzić z właściwymi pytaniami, we właściwym czasie. A następnej nocy znajdziemy odpowiedź.

Czułem się jak Szeherazada w nocie opowiadania baśni. Co za kobieta! Ile mnie zajmowało czasu znalezienie odpowiedzi w słowach już zapisanych – a ona musiała wymyślać własne, mieć tę odwagę. Niesamowitą odwagę. Zdumiewające, jak się tak zastanowić. Niektórzy mówią, że Szeherazady nie było, ale co oni wiedzą?

Wkrótce zacząłem się bawić wersami Hafiza, gdyż w nich znalazłem przepowiednie, jakich domagał się ten człowiek. Okrutna to była gra, której nie umiałem

zaprzestać. Widziałem tylko twarze moich braci, zabieranych z celi jeden po drugim i niewracających. I słyszałem krzyki. I wiedziałem, że nie mogę o nich zapomnieć. Że musi istnieć rachunek krzywd: że za pewne rzeczy trzeba zapłacić.

Któregoś razu on zapytał mnie, który z więźniów kłamie na przesłuchaniach. Cóż to była za tortura! Oczywiście wszyscy kłamiemy. Jak może być inaczej? Ale kłamać o prawdzie – to co innego, toteż nie mogłem zasnąć z udręki. Wreszcie znalazłem odpowiedni ustęp: gazel o tym, że prawda to to samo co potwierdzenie, co konieczność. To go nie powstrzymało przed wzięciem więźnia, którego podejrzewał o kłamstwa. Zabrał człowieka, który – wiedziałem – związany był z jakimś podziemnym ugrupowaniem, i wychłostał go na dziedzińcu przy moim ogrodzie.

Tamten umierał powoli, a strażnik stał nad nim i recytował:

*Najpierw ryba musi powiedzieć,
coś jest nie w porządku
z tą jazdą na wielbłądzie. A tak
mi się chce pić!*

Wersy, które mu właśnie podałem.

„No, widzisz, jak to jest? – powiedział do mnie, odciągający ciało z dziedzińca. – Dokładnie tak, jak mówiliśmy. Pragnienie zawsze ich zmusza do krzyku”.

Co w sobie miała ta poezja? Jaką moc, którą czciło nawet to zwierzę? Zdolne zarazem do takiego

okrucieństwa, takiego szaleństwa?

Czy wiesz, co znaczy igrać z kimś? Naprawdę wiesz, co to znaczy?

Robi ci się od tego niedobrze. Ale nie sposób przestać. Masz tego głód, kiedy już zasmakujesz. Bo staje się to sposobem, który trzyma cię przy życiu.

Jak powietrze, jak woda. Och, wstydzę się to mówić, nawet wspominać.

Myślałem: dlaczego zbudowano więzienie? Co nam umożliwiło pogodzenie się z czymś takim? W dywanie celem splotu jest sam splot – tak samo z więzieniem. Istnieje, bo istnieje.

Jest, czym jest.

I przyszedł czas, że nie byłem już w stanie stanąć twarzą w twarz z tym człowiekiem. Musiałem znaleźć sposób zakończenia własnego życia. Albo ucieczki. Tak czy owak umrę – myślałem – ale gdybym zdołał uciec, dałbym komuś nadzieję. Mojej córeczce. Mojej kusicielce motyli, mojemu *papillon*. Coś trzeba zrobić.

Obmyśliłem plan. Władze więzienne w końcu uznały, że mężczyzn z naszego bloku trzeba zaprząć do pracy – że dekady bezczynnego więzienia za zdradę stanu to dla nas za dobre. Wysłali nas do obozu pracy na zboczach gór Elburs. Pilnowało nas kilkunastu strażników. Kazali nam kopać rowy, ale nie wiedzieliśmy po co. W tej części gór była tylko jedna droga ucieczki: przez las.

Poprosiłem mojego strażnika o pozwolenie na przerwę. Powiedziałem mu, że chcę powąchać sosny, żeby

przypomnieć sobie, co Hafiz mówił o odwracaniu lasu do góry nogami.

Ależ to na niego podziałało!

Pozwolenie dostałem, a on odeskortował mnie na skraj lasu. Miałem swoją chwilę, ślepy traf, okazję.

Zawieszenie wszystkiego, co rzeczywiste, święte czy nie – to było to.

Wyjąłem tomik spomiędzy fałdów regulaminowej koszuli i upuściłem go na ziemię. Kartki otworzyły się dokładnie tam, gdzie zaznaczyłem:

*Chcę, abyśmy oboje zaczęli
mówić o tej wielkiej miłości.*

*Dziś wszyscy wychodzimy trudzić
się w polu ziemi.*

*Nie ma takiego, co by nie dźwigał
wielkiego pakunku.*

Zrobił dokładnie tak, jak myślałem, że zrobi: padł na kolana i zaczął grzebać w ziemi.

Pomyślałem, że gdybym dosięgnął kamienia, głazu, i podniósł go – byłoby po nim. A ja mógłbym uciec. Właśnie wypatrzyłem swoją broń, kiedy on zaczął napychać sobie ziemią usta.

Żarł ziemię, jak zgłodniały żebrak.

„Ona mnie żywi. Ta wielka miłość! – wykrztusił, zaśmiewając się. – Chodź, bracie! Chodź złączyć się z ziemią!” Umazał sobie nią całą twarz i uniform. W oczach miał dziką radość.

Rozejrzałem się. Inni więźniowie znajdowali się

niemal o kilometr od nas, uwijali się przy rowach. A tutaj był on. Żarł ziemię. I już wiedziałem, że nie mogę uciec.

Ten człowiek wariował. Postanowiłem zostać.

I to mnie prześladuje.

Tak jak i inne rzeczy...

Homa stała za straganem i patrzyła, jak Reza targuje się z klientem. Miniatury są piękne – powiedziała sobie. Od kilku tygodni sprzedawały się dobrze, mimo zamieszania towarzyszącego wojnie. I Homa wspomniała czasy, kiedy kochała dzieła sztuki i chciała zawsze przebywać w ich pobliżu.

Było to tuż przed ukończeniem przez nią szkoły średniej, zanim poznała Rezę. Gdy Homa oświadczyła matce, że chce wyjechać do Teheranu studiować sztukę, jej historię w zachodniej kulturze, matka spojrzała na nią, jakby córce wyrosło trzecie oko.

– Mowy nie ma, i dobrze o tym wiesz. Zostaniesz w Isfahanie i wyjdiesz za męża, Homa. Tylko w ten sposób pozbedziemy się monarchii.

Matka Homy była bardzo poważną kobietą. Nie lubiła opowiadać córce bajek na dobranoc, jak to czyniły matki koleżanek Homy. Była tylko jedna historia, którą zgodziła się opowiadać, a mianowicie historia babki Homy. O tym, jak nauczyła się na pamięć Koranu, gdy miała zaledwie sześć lat.

Pradziadek Homy był właścicielem fabryki dywanów w mieście Isfahan. Tkąły je setki robotników, kobiet i mężczyzn. Pewnego dnia jej babcia wślizgnęła się ukradkiem do fabryki i schowała w zwiniętym dywanie. Dywan miał zostać dostarczony do pobliskiego meczetu,

gdzie pradziadek chodził się modlić pięć razy dziennie.

Babcia Homy ukrywała się w rulonie dywanu cały dzień. Przez cały czas słuchała recytacji Koranu.

Następnego dnia rano, gdy ekipa poszukiwawcza przeczesywała z jej powodu cały Isfahan, w meczecie nareszcie rozwinięto dywan. Ojciec babci już miał ją ukarać za ten psikus, kiedy babcia otworzyła usta i zaczęła recytować Koran. Zapamiętała wszystko, co słyszała, całe rozdziały księgi. Obecny przy tym mułła był pod takim wrażeniem, że kazał pradziadkowi obiecać, iż przyprowadzi małą w piątek na plac, żeby recytowała Koran dla tych, których nie stać było na opłacenie jałmużny.

Czy to wciąż kamień, czy też świat zrobiony z czerwieni?

Homa często myślała o swojej babci zawiniętej w dywan. Nigdy jej nie poznała – babcia zmarła, zanim Homa się urodziła. Homa była ciekawa, o czym myślała babcia, kiedy tak siedziała w dywanie. Czy się bała? Czy usłyszane słowa niosły jej pociechę – i dlatego tak cicho tkwiła w swoim kokonie? – czy ją umacniały, dawały poczucie bezpieczeństwa?

Homa spytała o to matkę, ale matka odpowiedziała, że nie wie.

Babcia Homy nie dożyła rewolucji. Widziała za to inne szaleństwo, inny ruch rozegrany przez los i amerykańską CIA. Więc kiedy matka mówiła Homie, że jej ślub pomoże pozbyć się monarchii, była uczciwa w stosunku do siebie.

Parastu stała na podeście, gdy Zadi wyszła z kuchenki, niosąc miskę stygnącej pasty henny.

Nie zdążyłam na przyrządzenie pasty henny – pomyślała Parastu. Nie zdążyła.

Ale za to powiedziała „nie” Dżamszidowi.

Jadł obiad, kiedy mu to powiedziała. Chociaż nie wyszło tak, jak sobie wyobrażała.

– Jestem zmęczona – oświadczyła.

Spojrzał znad talerza; przez jego twarz przemknęło zmieszanie. Potem kiwnął głową.

– To idź do diabła! – zaśmiał się. – Idź do diabła!

– Dżamszid, nie podobają mi się twoje odzywki. Jestem nimi zmęczona. – Wstała od stołu.

Dżamszid uśmiechnął się szyderczo.

– Tak? Zmęczona? No to widzę, że będę musiał uważać na to, co mówię. Nie chcę cię męczyć.

Wtedy upadła. Upadła, tam gdzie stała, pośrodku pokoju. Patrzył na nią przez sekundę, po czym wrócił do jedzenia.

– Jesteś zły do cna, Dżamszid. Myślisz, że jestem głupia? Myślisz, że nie wiedziałam, co robisz, od samego początku?

Jadł dalej, kręcąc głową. Pociągnął nosem, jakby jej żałował.

Słowa same jej się nasunęły.

Podniosła wzrok.

– Jesteś taki brzydki.

Podziałało jak magia.

A więc siedziała i musiała podjąć decyzję, czy żyć dalej, czy umrzeć. Sama nie wiedziała, kiedy wyszła z pokoju i z mieszkania. Lecz minęły, zdawało jej się, godziny, zanim, zmobilizowawszy wszystkie siły, zdobyła się na opuszczenie budynku. Kręciło jej się w głowie i nie wiedziała nawet, w którą stronę patrzeć, którą pójść ulicą. Po prostu musiała ufać, że coś ją doprowadzi na właściwą drogę, do właściwego domu.

– Ja już tak nie chcę. Już nie mogę. Czy to dość?

– Więcej niż dość.

– Ale głos Dzamszida. On jest. Cały czas.

– To głos Dzamszida, nie twój.

Tak, nie mój – pomyślała Parastu.

Chłodny okład na jej szczęce przynosił ulgę. Zadi uśmiechnęła się z życzliwym spojrzeniem.

– Zostaniesz teraz u mnie, Parastu-*dżan* – oświadczyła Hadzi Chanum. – Będzie nam doskonale, sama zobaczysz.

Zadi obserwowała chłonna wodę listki henny. Pasta przeznaczona była dla orszaku panny młodej, który zapowiedział się na następny dzień rano.

*Moja miła jest dla mnie jak
grudka kamfory
w Ogrodzie En-gedi.*

Słyszała kiedyś, jak Kapitan mówił, że jeden punkt zwrotny, jedna chwila, potrafi zmienić wszystko na zawsze.

Czyż sama nie miała wielu takich chwil, takich momentów, które odmieniły bieg rzeczy? A przecież

zdołała je przetrwać i powstać z powrotem.

Farzane nabrała głęboko powietrza. Słońce zaczynało zachodzić ponad szczytami dachów. Śledziła je, wspominając.

On podzielał jej wizję, podziwiał jej cel i radował się jej siłą.

Pomyślała o tej zimie, którą spędzili razem. Przeprowadzili się do swojej chatki w ogrodzie, w górach poza granicą wsi Damavand.

Stała z gąbką w dłoni, obserwując go przez okno kuchni. Sadził cebulki roślin w ogródku, na ten czas, kiedy już ich tutaj nie będzie. Nazwałaby go głupcem, gdyby nie wiedziała, że ma rację.

Minęło kilka minut, zanim sobie uświadomiła, że stoi bez ruchu. Szklanekę, którą zmywała, wciąż trzymała w ręce. Na szklance był ślad, w miejscu, którego dotknęły ich usta, gdy dzielili się napojem. Zmyła go. I stało się. W tej jednej chwili, w prostym akcie stania przy oknie.

Takie jest życie – pomyślała, patrząc na szklanekę.

I przyszły do niej słowa, najpierw Rumiego, potem Forugh.

Wybiegłszy na dwór, wykrzyczała te słowa, ryjąc je w powietrzu.

*Wyszeptałam mu do ucha
opowieść mojej miłości:
Pragnę cię, o! życie moje,
Pragnę cię, o! życiodajny
uścisku,*

*O! mój szalony kochanku –
ciebie.*

Potem wypija szklanę podgrzanego wina, śledząc profil ukochanego. Miał ciemne włosy, kędzierzawe na skroniach. Jego ciało było smukłe jak ciało biegacza, jego palce poplamione atramentem i ziemią z ogrodu.

Żyli, radując się każdą wspólną chwilą, jedno przy drugim, przez całą tamtą zimę; sadzili nowe drzewa, przycinali stare i szykowali swój ogród do wiosny i lata.

Tulili się do siebie i szeptali słowa miłości.

Ona szeptała mu do ucha *Wtóre narodziny:*

*Ach – ja modlitwą ciebie wcielam
w drzewa wodę płomienie.*

A on szeptał jej do ucha *Rubin i słońce:*

*Tak się w tobie zatraciłem,
że jestem całkiem wypełniony
tobą.*

*Nic ze mnie nie zostało, tylko
imię,*

nic we mnie nie istnieje, tylko ty.

– Dni i tygodnie mijały spokojnie w leśnej chacie. Pomagałam *chanum* Ansari w codziennych zajęciach; powolna, jednostajna praca zajmowała mi ręce. Mój umysł, moje serce nie przestawały krążyć wokół tych zielonych oczu, wokół Jalalladina i miłości rosnącej w moim wnętrzu. Nie śmiałam zdradzić swojego pragnienia jego matce, ale z jej spojrzenia, gdy mnie przyłapywała na gapieniu się w las, gdzie wisiał jego

hamak, wyczytałam, że zna moje myśli.

Nie zapomniałam słów, które wypowiedział Jalalladin w dniu, kiedy pierwszy raz weszłam do jego domu, przepełniona ciekawością co do natury zdolności *chanum* Ansari. Czy była jedną z tych wrózek, o których mówiła mi Feze w swych opowieściach tysiąca i jednej nocy? Na świecie żyje wiele takich Cyganek, odpowiadała Feze, gdy ją pytałam, czy istnieją ludzie mający moc przepowiadania przyszłości.

Sama je widywałam podczas mojego dorostania. Przybywały z taborami z dalekiej północy. Bo w dawnych czasach wielu wyjechało z Iranu do miejsc o chłodniejszym klimacie. Wśród nich Cyganie. Kiedy mijali nasze obozowiska, chowaliśmy się wszyscy w namiotach i nie wychodziliśmy, póki nie dobiegł nas turkot odjeżdżających dziwnych wozów. Z Cyganami trzeba bardzo uważać, Nikki *chanum*. Oni nie tylko czytają twoje myśli – oni je zjadają.

„Zjadają?”

„Tak jest. Kradną twoje pragnienia, marzenia o przyszłości, i chowają je w swoich brzuchach. To dla nich jak pokarm. No i każą sobie płacić za usługi – prawiała Feze, kręcąc głową. – Noszą takie drewniane pałeczki, dzięki którym widzą całe twoje życie, twoją przyszłość. Pilnuj się, żebyś na nich nigdy nie natrafiła. Gdy Cyganie wyciągną te swoje przybory, te pałeczki do czynienia magii – natychmiast uciekaj”.

„Widzę, że zastanawiasz się, czy uciec, czy spytać

mnie o nie – powiedziała któregoś popołudnia *chanum* Ansari. Stałam przed półką z bibelotami. – Podejź, pokażę ci”.

Wzięła pałeczki i usiadła na dywanie. Wskazała mi miejsce naprzeciwko siebie. Potem przymknęła oczy i głęboko nabrała powietrza. Gdy otworzyła oczy, bił z nich blask. Spoglądały gdzieś w dal.

Potem rzuciła pałeczki na dywan. Upadły, niektóre jedno na drugie, inne osobno.

Popatrzyła na wzór, jaki utworzyły, i uśmiechnęła się.

„Tak, właśnie tak, jak myślałam”.

„Co widzisz, *chanum*?”

Spojrzała na mnie.

„Twoje przeznaczenie, moja mała. Będzie to doświadczenie feniksów”.

Wskazała cztery pałeczki, które utworzyły trójkąt przecięty na pół.

„To znaczy, że jest ci sądzone życie przemian. Będiesz się nieustannie odradzać z popiołów. A czyniąc to, wskażesz innym, jak rodzić się na nowo. Jak odzyskiwać siły”.

Nie miałam pojęcia, jak ona mogła to wyczytać z tych pałeczek.

„Droga twoja jest długa, mała *chanum*. Bądź gotowa. Nigdy nie będzie nudno”.

To rzekłszy, wstała i odłożyła pałeczki na półkę.

„A teraz – powiedziała, klaszcząc w ręce – pora pozmywać garnki i rondle!”

Nie chciałam urozmaiconej drogi. Nie chciałam ciągle powstawać z popiołów. Nie! Chciałam zostać tam, gdzie byłam. Żyć zdrowo i bezpiecznie w chacie *chanum* Ansari. Wypełniać codzienne obowiązki i czekać na powrót jej zielonookiego syna. Nigdy przedtem nie byłam tak szczęśliwa. Czemu miałabym zamienić tę chwilę na niewiadome, na przeznaczenie, które *chanum* Ansari ujrzała w pałeczkach?

Nie zadałam jej, oczywiście, tego pytania. Uczynić to oznaczałoby splunąć na jej gościnność i dobroć. No i zakwestionować jej mądrość, która była wielka. Zatrzymałam własne myśli dla siebie i bawiłam się nimi tylko nocą, przed zaśnięciem, spoglądając w okno. A potem któregoś dnia, parę miesięcy po moim przybyciu do chaty, Jalalladin powrócił.

I okazało się, że przepowiednie *chanum* Ansari były słuszne.

Ranek był pracowity. Salon wypełnił się po brzegi, wszystkie miejsca zajmowały oczekujące klientki. *Chanum* *Tapesh*, która znowu przyszła na *band andazi* podbródka, usadowiła się przed *Hadzi Chanum* i podjęła wątek rozpoczęty tydzień wcześniej, wypytując *Hadzi Chanum* o chrześcijaństwo. Na stanowisku *Parastu* inna stała klientka broniła własnej decyzji powrotu do religii, która – ku zasmuceniu jej męża – polegała na składaniu jałmużny w meczecie przy ulicy *Albertiego* trzy razy w tygodniu.

– Nie mogę uwierzyć, że tyle lat przeżyłam bez tego oparcia – zwierzała się klientka, gdy *Parastu* dotykała nasady jej włosów henną.

– A co z pięknem? Jak ważne jest ono we wszystkim, co robimy – wszystkim, czym jesteśmy? Nie sędzę, abym bez potrzeby piękna mogła robić to, co robię dzisiaj – odezwała się nagle *Zadi*.

– Romantyczka z ciebie, *Zadi-dżan* – powiedziała klientka *Parastu*.

– Nie romantyczka. Realistka.

Hadzi Chanum się roześmiała.

– Patrzyłam w drugą stronę, kiedy tych dwoje się rozstawało:

*Kiedy ocean wzbiera,
nie daj mi tylko go słyszeć.
Daj, niech chlusta mi w piersi!*

Czy ja nie dałam mu chlustać? Raz po raz?

Zadi obeszła budynek, zmierzając do sklepu spożywczego po drugiej stronie ulicy.

W powietrzu wisiały cierpkie jesienne wonie, wapien i czerwona cegła starych budynków migotały przez popołudniową mgiełkę. Chociaż wiedziała, że jest na drugim końcu świata, z trudem przypomniawszy sobie, że jesień nie zawsze była taka jak ta, skąpana w zawieszonych kolorach, ani delikatna, ani surowa. Łatwa do rozpoznania, a jednak niedefiniowalna.

Orszak panny młodej miał się lada chwila pojawić w salonie. Zadi postanowiła wyskoczyć choćby na kilka minut, by znów ujrzeć otwarte niebo. Spojrzała w górę. Stado gołębi na moment przesłoniło słońce.

Kiedy wieczorne niebo rozciągnęło się nad atrium, kiedy dopito ostatnie filiżanki herbaty darjeeling, obecne w salonie kobiety zgromadziły się wokół stołu pośrodku sali.

Zadi stanęła z tyłu, uśmiechnięta.

Przypomniało jej się coś, co często powtarzała *chanum* Mina: „Niech piękno, które kochasz, będzie w tym, co robisz. A wtedy zagrzmią bębny”.

– Wróciłyśmy właśnie ze zbierania morwy w lesie. Owoce morwy namaczało się w syropie cukrowym i wykładało na koc w słońcu, żeby się zamieniły w suszone *tut*, któreśmy wszyscy uwielbiali. Co za przepyszny deser! Z baryłką jagód na ramieniu szłam za *chanum* Ansari, lecz nagle obie stanęłyśmy jak wryte. Na splechietku trawy

niedaleko drzwi chaty klęczał Jalalladin. Klęczał na miękkiej trawie; modlił się. Gdy uniósł głowę, uśmiechnął się.

„*Maman-dżan!* Udało się! Bractwo jest znowu razem!”

Chanum Ansari postawiła na ziemi baryłkę, którą niosła, i klasnęła w dłonie w podzięcie.

„Boga chwala! To dobry dzień!”

Uściskali się i odtanńczyli na trawie śmieszny krótki taniec. *Chanum Ansari* przywołała mnie gestem ręki.

„Mała *chanum!* Chodź tu i pomóż nam świętować. Urządzimy dzisiaj ucztę!”

Weszli do chaty, zaśmiewając się, a mnie zostawili na zewnątrz z baryłką morwy.

Bractwo było grupą heretyków. Od dzieciństwa słyszeliśmy wszyscy o sufich, prawda? O garstce duchowych wędrowców, którzy oddają hołd boskości poprzez modlitwę, nauczanie i ten taniec nad tańcami – wirowanie.

Jalalladin był jednym z nich. Powrócił do domu z wędrowni, aby zjednoczyć grupę swych braci na brzegach tej rzeki, nad którą się spotkaliśmy po raz pierwszy. Rozbili obóz w zakolu rzeki – powiedział nam – niecałe dwa kilometry od chaty, i zabierali się do budowania szkoły – budynku, w którym mogliby nauczać i studiować, na zmianę.

„Rzuciłem hasło, gdy znalazłem się w okolicy. Nie przypuszczałem, że rozniesie się tak szeroko i tak szybko!”

Jalalladin był do tego stopnia podekscytowany, że nie

mógł usiedzieć na *sofre*: co chwila podskakiwał na kolana, klepiąc się po udach dla podkreślenia swoich słów. Jego matka uśmiechała się z dumą, nakładając chochlą gulasz z koziny na terakotowe talerze.

„Jednocześnie się na nowo z braćmi z obu Ameryk i ze Skandynawii. Nawet z Huszangiem, Mądrałą, którego nie widziałem od czasów szkolnych. Pamiętasz go, *maman*?”

„Jakżebym mogła zapomnieć? Był najzdolniejszy z was wszystkich. Najbardziej intuicyjny, pamiętam. – Obróciła się do mnie. – Uważasz, że potrafię czytać w myślach, mała *chanum*? Trzeba ci było wiedzieć, jak Huszang wiruje! Po jednej takiej sesji był w stanie spojrzeć ci w oczy i podać dokładnie chwilę, w której straciłaś niewinność – zdolność do bycia dzieckiem. Był do tego stopnia świetny”.

Jalalladin pokiwał głową.

„I nadal jest. Teraz zajmuje się uzdrawianiem, *maman-dżan*. Jakiś czas walczył na froncie w Hiszpanii, należał tam do ruchu oporu. Zamierza w przyszłym roku udać się do serca Europy. Mówi, że tam jest wojna na horyzoncie”.

„Inszallah oby nie była to prawda. Chociaż nawet ja to czuję – powiedziała *chanum* Ansari, podając mi szklanekę ocukrzanej wody. – Cichutka coś dziś jesteś, moja mała. Wstydzisz się spytać Jalalladina o to, co masz na końcu języka?”

Już miałam ją zapytać, skąd to wie, ale przypomniałam sobie, że przecież wie dużo. Spuściłam wzrok i wzruszyłam ramionami.

Jalalladin się roześmiał.

„Wyrzuć to z siebie. W tej chacie niczego się nie skrywa”.

„Co to jest wirowanie?” – spytałam, czując się głupio, że tego nie wiem.

„Byłaś chowana pod kloszem, tak, moja mała?” – zagadnęła mnie *chanum* Ansari.

Skinęłam głową.

„Nic nie szkodzi. Lepiej się chować pod kloszem niż bujać na wietrze. – Wskazała na swego syna. – Jalalladin, opowiedz swojemu małemu gościowi o wirowaniu, dobrze?”

Jalalladin wstał.

„O, żeby to zrobić, musimy cofnąć się do początku. Do narodzin tradycji. A w tym celu należy sięgnąć do Rumiego. – Mrugnął do mnie. – Wiem, że to znasz” – powiedział, nawiązując do naszego pierwszego spotkania.

Spłoniałam się i spuściłam oczy.

„No tak. Rumi to poeta. Rumi to człowiek, który tak wielu z nas pchnął w podróż. – Jalalladin odsunął się od *sofre*. Stał na klepisku podłogi, w rozkroku, z rozwartymi szeroko ramionami. Okręcił się raz wokół własnej osi i zatrzymał w miejscu. – Na tym obrocie, widzisz, wszystko się kończy. Ten obrót powtarza się raz za razem. Tak się modlimy, tak osiągamy jednię z ową siłą, która jest ponad nami. Pod nami. Dokoła nas. Rozumiesz?”

Pokiwałam głową, chłonełam każdą sylabę wychodzącą z jego ust. Byłam zauroczona. Z każdym

kolejnym słowem coraz bardziej się w nim zakochiwałam.

Jalalladin podjął wykład.

„Ale aby się obracać, trzeba obracać się z miłością.
Tak to właśnie czynił Rumi. Uważaj. Posłuchaj, mała”.

*O, moje serce, usiądź z tym, kto
zna twe drogi,*

*usiądź pod drzewem, które ma
świeże kwiaty.*

*Nie błąkaj się bez celu po
bazarze perfum,*

*pozostań w sklepie tego, kto ma
słodki napój.*

*Jeżeli nie wiesz, jak mierzyć
i oceniać,*

*każdy ci może sprzedać fałszywą
monetę jako złoto.*

*Nie każda trzcina ma cukier, nie
każda otchłań grzbiet,*

*nie każde oko ma wzrok, nie
każde morze ma perły.*

*Ochroniaj lampę swego
gorejącego serca od wiatru,
muisz wydostać się z tej
burzowej pogody.*

*Gdy przejdiesz burzę, dojdiesz
do fontanny,*

*gdzie znajdziesz źródło sycącej
wody.*

Gdy zaopatrzysz się w sycącą
wodę,
staniesz się wiecznozielonym
drzewem o wiecznych
owocach.

Nastąpiły trzy piękne miesiące, najlepsze, jakie przeżyłam. A wszystkie wiecie, że swoje przeżyłam, no nie? Taka podróż, taki taniec! A jednak nic, co stało się potem, nie dorównało tamtemu czasowi w chacie.

Jalalladin co wieczór przychodził na *sofre*. Po długim dniu pracy z bractwem wracał do domu do matki i do mnie, na kolację wokół koca naszych serc. Każdego wieczoru przynosił jakieś nowe wiadomości, najświeższe informacje o budowie obiektu, o stopniowej realizacji planów.

„Fundamenty już gotowe. Teraz wznosimy ściany – obwieścił pewnego wieczoru. – Dach będzie szklaną kopułą, a pośrodku posadzki zrobimy fontannę. Wieczne odbicie będzie wędrowało tam i z powrotem. Co to będzie za miejsce!”

Ja też zaczęłam patrzeć na niego błyszczącymi dumą oczami, tak jak jego matka. Ja też zaczęłam śpiewać i pracować wytrwale całe ranki i dni, wyglądając wieczoru. Zaczynałam rozumieć to, co *chanum* Ansari mówiła o mężczyznach. Jakie to było proste, jakie słuszne. Spełniać swój obowiązek, chłonąć wszystko w marszu. Być kobietą całkiem niepodobną do mojej matki. Kochać mężczyznę całkiem niepodobnego do mojego ojca.

O Boże, byłam zakochana! Dałam nura w ten ocean, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Może tak być musiało. Może przyszedł właściwy czas dla mojego serca, aby się właśnie tak otworzyło.

Co do Jalalladina, to nigdy nie okazał mi nic poza miłością i szacunkiem, jaki odczuwa brat wobec kochanej młodszej siostry. Jego oczy nie zdradzały, aby mnie pragnął tak samo ognić jak ja jego. I nie wiedziałabym, że dostrzegł moje pragnienie, że wie dokładnie, co we mnie wiruje, gdyby nie pewne popołudnie późnego lata.

Ukończyliśmy już wszystkie zajęcia na ten dzień. Podłoga była pozamiatana, wiązki ziół porozwieszane do suszenia na gałęziach jednego z drzew przed domem. W lodówce – glinianym garncu wkopanym w kąt klepiska – chłodziły się miski gęstego jogurtu z pomidorami i bazylią, a tymczasem na zewnątrz upiekła się kura, którą, posiekaną, dodałyśmy do sałatki z rukwi wodnej i cytrynowej mięty, przygotowanej na kolację. Jak zazwyczaj w gorące popołudnia położyłyśmy się z *chanum* Ansari na matach, żeby się zdrzemnąć przed zapadnięciem zmroku i przybyciem Jalalladina. Tego jednak popołudnia nie mogłam zasnąć. *Chanum* Ansari była już w drugiej fazie chrapania, gdy zdecydowałam się poniechać prób odpoczynku. Mój umysł gonił w piętę od poprzedniego wieczoru, kiedy to Jalalladin powiadomił nas, że bractwo kończy niedługo budowę świątyni.

„Jeszcze tydzień i będziemy w stanie pomieścić pod jej dachem dwa tuziny wirujących jednocześnie! *Maman*,

tak strasznie bym chciał, żebyś to zobaczyła”.

„Ja to widzę, *dżunam*. Twoje opisy mi wystarczą, żeby tam mogła wkroczyć duchem, nawet jeśli mojemu ciału wstęp jest wzbroniony. – Spozrzęła moją minę, która często wyrażała lęk lub zmieszanie, gdy rozmawiali we dwoje z Jalalladinem. – Świątynia jest przeznaczona tylko dla bractwa. Żadnej kobiecie nie wolno tam wejść, mała *chanum*”.

„Za to świątynia ziemi jest cała dla ciebie, *maman*. Jest i na zawsze pozostanie świątynią dla matek”.

Chanum Ansari mrugnęła do mnie.

„Ładnie go wychowałam, przyznasz?”

Nie miałam czasu przyznać jej racji. Jalalladin już był za progiem, z hamakiem przerzuconym przez szerokie barki.

„Jeszcze parę tygodni i odejdę, *maman*. Cyprysy jeszcze raz powieją na zachód”.

„I tak to jest, moja mała – powiedziała z nostalgicznym uśmiechem *chanum Ansari*. – Cyprysy wieją, a ani odchodzą”.

O tym wszystkim myślałam, kiedy wstawałam z maty i po cichutku wyszłam z domu. Chciałam chwilę pospacerować, zejść nad rzekę i do tych cyprysów. Spytać je może, czy nie zechciałyby raz powiać w innym kierunku. Albo zażądać, by stały bez ruchu, bo wtedy to samo uczyni Jalalladin. Jak miałam dać mu odejść? Znowu patrzeć na to, jak mnie opuszcza – być może tym razem na zawsze? *Chanum Ansari* mogła mieć rację. Może naszym

obowiązkiem było trwać w miejscu i tkać nasze pajęczyny, podczas gdy mężczyźni wyruszali w szeroki świat – ale jakoś nie umiałam się z tym zgodzić. Już nie. Chciałam iść za Jalalladinem, gdziekolwiek się uda.

Wiedziałam, że nie wolno mi iść na północ, tam gdzie budowano świątynię, więc obrałam ścieżkę wzdłuż rzeki na południe. Szłam pod gałęziami cyprysów, wsłuchana w ich ciche jęki, myśląc o drzewach i krzewach domu mojego dzieciństwa w Szirazie. Myślałam o Feze i o tym, jakiej odwagi wymagało od niej wypchnięcie mnie z tamtego hammamu, namówienie do ucieczki, z czego sama nie mogła skorzystać. A teraz, gdy miałam gościnne ramiona i dom *chanum* Ansari, miałabym planować następną ucieczkę, bez cienia wdzięczności? Jakże mogłabym być tak samolubna?

Cyprysy odpowiedziały, że nie wiedzą i że powinnam bardzo się za siebie wstydzić. Powinnam odwrócić się na gołej pięcie i wracać do chaty, na swoją matę, zanim *chanum* wejdzie w trzecią fazę chrapania. Tak też zrobiłam. Odwróciłam się. I cofnęłam o krok. I zatrzymałam się na widok Jalalladina w odległości kilku metrów ode mnie, w wodzie.

Zwrócony był plecami do mnie. Ach, co za plecy, Zadi! Zagłębienia i wypukłości mięśni od szerokich barów aż po smukłą talię. Ciemnobursztynowe od słońca jakże wielu jego wędrówek. I jego włosy, ciemnobrązowe, mokre, przylgnięte do karku...

Kapał się. I był nagi. Mój Jalalladin, mój jedyny, moje

wszystko – był kompletnie nagusieńki. Ha, ha! Ależ odebrałam edukację!

Pospiesznie ukryłam się za cyprysem i obserwowałam. Jalalladin dał nura do rzeki i wyłonił się na nowo; wypłukał włosy. W dłoni trzymał kostkę mydła z oleju palmowego, którą namydłał sobie tors, świetnie dla mnie teraz widoczny. Przesuwał mydłem w poprzek ciała i w dół, obok kępki włosów. Boże mój! I nagle mydło się zatrzymało. Jalalladin też. Obmył resztę ciała i wyszedł na brzeg. Tuż obok mojej kryjówki.

„Te twoje ciemne włosy widać zewsząd, mała *chanum*. Nawet cyprysy nie rzucają tak głębokich cieni. – Przykleknął obok kupki ubrań, które wrzucił na siebie, zanim zdążyłam się zarumienić. – Może byś tak wyszła z kryjówki i opowiedziała mi, co widziałaś?”

Ani drgnęłam.

„W porządku. Skoro nie chcesz się ruszyć, to ja przyjdę do ciebie. – Jalalladin podszedł do drzewa i żartobliwie szarpnął mnie za włosy. – No i co by powiedziała *maman*, gdyby cię tutaj zobaczyła w pełnym słońcu popołudnia? Pochwaliłaby to, jak myślisz? – Wyciągnął rękę. – Chodź, zaprowadzę cię w bezpieczniejsze miejsce”.

Wzięłam go za rękę. Pozwoliłam się poprowadzić ku łące graniczącej z brzegiem rzeki, z wysoką trawą, sięgającą mi po uda.

„Przyznaj się, czego naprawdę szukałaś, po co przyszałaś na brzeg? No bo chyba nie po to, żeby tak młodo

zacząć życie erotyczne?”

Popatrzyłam w jego zielone oczy. Ujrzałam ich dobroć. I rozbawienie.

Nie kochał mnie tak, jak chciałam, żeby mnie kochał. Ale i tak nie mogłam powstrzymać się od wyznania: „Kocham cię, Jalalladynie Ansari. Kocham cię i chcę iść twoją drogą. Chcę stąpać u twojego boku”.

„Maman ci nie mówiła, że nie tak sprawy wyglądają?”

„Owszem, ale...”

„Wyjątków nie ma, malutka. Miłość czy nie miłość. Ja też cię kocham, ale nie takim uczuciem, które uczyniłoby z ciebie kobietę zgodną z twoim przeznaczeniem”.

„Ależ tak! Co ty wiesz?”

„Wiem. Wiem, że to nie jest to, co dla ciebie dobre. Kiedy tak będzie, nie będziesz musiała chować się za cyprysem. Zrzucisz ubranie i dasz nura do wody. – Uśmiechnął się. – Ale do tego czasu musisz iść prostą ścieżką, która jest ci dana. A żeby to czynić, musisz się nauczyć współdziałać z wolą wyższą”.

Stanął w rozkroku i wznosił ramiona.

„Tak, naśladuj mnie. O, w ten sposób. – Wykonał jeden obrót w trawie. Zatrzymał się i skinął głową. – Teraz ty. Do dzieła”.

Wahałam się. Skinął ponownie. Uniosłam ręce tak jak on. Wykonałam obrót.

„Dobrze. Jeszcze raz”.

Powtórzyłam obrót. Tym razem usłyszałam żdźbła trawy pod stopami. Zatrzymawszy się, ujrzałam, że

powstaje pode mną wydeptana kolista polanka.

Robiłam, co kazał: obracałam się, i obracałam, i obracałam. Kręciłam się w kółko na mojej polance i nie przestawałam, a świat, i rzeka, i Jalalladin zniknęli.

„Trzymaj się siebie i wypuść oddech”.

Wykonałam jego polecenie. I wirowałam dalej.

Wirowałam bez przerwy. I zrozumiałam, co Jalalladin od początku miał na myśli, mówiąc o Ukochanej.

Przedtem rozważałam to w kategoriach zmysłów czysto ziemskich – dotyku i wspólnego rytmu ciał. Ale ta jedność jest niczym w porównaniu z tą, której zaznałam, obracając się w kółko.

„Gdy raz posiędziesz tę wiedzę, nigdy już nie będziesz samotna” – powiedział Jalalladin.

Hadzi Chanum zadyszała się. Zawsze tak miała, gdy wspominała Jalalladina. Minęło prawie pięćdziesiąt lat od tamtego dnia nad rzeką, a ona wciąż go widziała, jak wychodzi z wody, stoi na wprost niej, z włosami i torsem lśniącymi w popołudniowym słońcu.

Och, tamto przesywające, ludzkie uczucie, tamto nagie pożądanie nie opuściło jej! Bo chociaż wtedy pojęła jego słowa, chociaż dosięgła przeblysków zrozumienia tego, czego próbował ją nauczyć – wciąż, nawet dzisiaj, gotowa byłaby zamienić tamtą wiedzę na bycie z nim jako kobieta. Bycie kochaną i dotykana, tak jak kobieta być powinna.

Och, on nigdy nie opuszczał jej myśli. Wyzwolenie osiągała jedynie poprzez wirowanie – a to już coś, no tak. Ale wirować można tylko przez pewien czas, a Hadzi

Chanum – chociaż nie chciała tego przyznawać głośno – czuła, że jej czas zaczyna się kończyć.

Tego, rzecz jasna, nie mówiła innym. Oni tak bardzo łaknęli czegoś, czego można się trzymać, pewnej wiary, tak że nigdy nie zdobyła się na to, by powiedzieć im wszystko.

– On istniał poza swoim czasem – mówiła. – Nie był wyłącznie mężczyzną.

Powiedzieć im, że wciąż jest głodna dotyku Jalalladina, widoku jego ciała i uśmiechu – tamtych zielonych oczu – co by to dało?

Dlatego, ilekroć ją proszono, by opowiedziała swoją historię, mówiła o tym, jak uwierzyła, że Jalalladin ma rację: że istnieje droga większa od tej, której chciała, od upragnionego romansu.

Ale nie tak czuła naprawdę.

Co mogła zrobić z tym, co jej zostało?

A jednak – myślała – on przesadził; mogła z nim wieść błogie życie, nie potrzebowała niczego więcej. Może on nie czuł tego samego – Hadzi Chanum nigdy się tego nie dowie. Decyzja Jalalladina pchnęła ją na drogę, której by sobie sama nigdy nie wybrała. Drogę, która ją doprowadziła do tego miejsca, do tej chwili. Do tych ludzi, którzy czekali na jej opowieść. Nawet jeżeli sami o tym nie wiedzieli.

Teraz musi im pokazać, swoim wspaniałym przyjaciółom, co to właściwie jest. Musi im pokazać, jak pochwycić tę chwilę.

Chciałam być użyteczna, zrobić coś dla dobra kobiet, które były w niekorzystnej sytuacji – myślała Farzane.

Farzane Farahanguiz urodziła się w Kazwin i mając lat czternaście, przeniosła się z rodzicami do Teheranu. W szkole zajmowały ją filozofia i literatura. Uwielbiała poezję współczesną, szczególnie wiersze Forugh Farrochzad.

Forugh Farrochzad, najbardziej utalentowana i najsłynniejsza współczesna poetka, miała niecodzienny dar, pochodzący z głębszego źródła, z czegoś nadzwyczajnego, czym obdarzył ją sam Bóg. Talent jak żaden inny. Potrafiła stwarzać wszechświaty z najprostszej kombinacji liter. Jej wiersze były proste, ale wnikliwe, i odnosiły się do czasów, w których żyła. Ucieleśniały głębokie zrozumienie irańskiego społeczeństwa i odzwierciedlały rzeczywisty status irańskich kobiet.

Farzane Farahanguiz tak przepadała za wierszami Forugh, że recytowała je przy każdej okazji, którą uznała za stosowną: w szkole, na przyjęciach u koleżanek, na spotkaniach rodzinnych. Nauczyła się na pamięć wszystkich wydanych wierszy Forugh. Była przywiązana do ich prostoty i wyjątkowości. Koleżanki podśmiewały się z jej dziwnych gustów. One wiedziały wszystko o Hafizie, Sadim, Rumim i wielu innych poetach klasycznych. Dyrektorem szkoły był religijny starszy pan,

który nie dopuścił poezji współczesnej do programu nauczania.

Później, podczas studiów na Uniwersytecie Teherańskim, Farzane pojęła głębsze znaczenia poezji Forugh i zaczęła rozpowszechniać swoją pasję wśród koleżanek. Wspólnie z nimi zorganizowała grupę studenckich aktywistek, których celem była walka o prawa dla irańskich kobiet poprzez słowo mówione, cotygodniowe publikacje i przemówienia publiczne.

Natychmiast stała się sławna i niesławna zarazem: poszło za nią wiele kobiet, ale prześladowały ją agencje rządowe i ugrupowania religijne.

Po dyplomie wyszła za mąż za Samana Honarmanda, brata jednej z koleżanek.

Zakochali się w sobie na którymś studenckim spotkaniu. Po roku ich rodzina powiększyła się o córeczkę, Nazanin.

Zadi pamiętała czasy, gdy nazwisko Farzane Farahanguiz pojawiało się we wszystkich pismach. Adwokatka praw kobiet Farzane mieszkała w bloku, w jednej z północnych dzielnic Teheranu. Jej mieszkanie stało się legendarnym miejscem przyjęć i spotkań sławnych ludzi.

Farzane zaczęła dostawać listy, zrazu ostrzegawcze, a potem groźące, że zabita zostanie cała jej rodzina. Ale nie mogła przerwać tego, co zaczęła.

Najpierw zdarzył się wypadek. Pewnego ranka Saman odwoził samochodem córeczkę do szkoły. W drodze

potrąciła ich z tyłu ciężka furgonetka. Niezbyt mocno, ale wystarczająco, żeby Saman zatrzymał wóz i wysiadł. Oba pojazdy uczestniczące w wypadku zjechały na bok, by kierowcy mogli oszacować szkodę. Wtedy kilku mężczyzn błyskawicznie okrążyło samochód Samana. Wepchnęli jego i Nazanin do furgonetki i odjechali. Policja nie znalazła śladu ani ofiar, ani porywaczy. Po trzydziestu dniach za pośrednictwem anonimowego telefonu poinformowano Farzane, że znajdzie ciała męża i córki w głębokiej studni nieopodal wzgórza w Marvdasht, blisko Persepolis. Wrzucili ich żywcem do tej studni i przywalili ciężkim głazem. Rodzina i przyjaciele ruszyli na poszukiwania i znaleźli to miejsce. Saman i Nazanin umarli przytuleni. Ich ciała uległy już częściowemu rozkładowi. Policja nigdy nie ustaliła, kto popełnił ohydną zbrodnię.

*

A potem Farzane zniknęła. Jej nazwisko powtarzały wszystkie media. Jedni twierdzili, że nie żyje, że zginęła w wypadku i porwała ją rzeka. Inni mówili, że pracuje jako sprzedawczyni w Nowym Jorku. Jeszcze inni – że wzeniła się w rodzinę królewską na dworze Syjamu. Wkrótce zgadywanka co do miejsca pobytu Farzane Farahanguiz zamieniła się w prasową zabawę. Różne osoby utrzymywały, że widziały ją w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. Nieprzyjaznych miejscach. Pytania – gdzie jest Farzane Farahanguiz? kto odnajdzie Farzane Farahanguiz? – zamieniły się wręcz

w potoczny dowcip.

Po sześciu miesiącach ukrywania się Farzane zdołała uciec z pomocą szmuglera, pod nazwiskiem Farzane Soltani. Udała się do Turcji, a następnie do Włoch, Francji i Anglii. Imiała się dorywczych zajęć, wspierana przez irańskich imigrantów. Ale stałej wizy nigdzie nie mogła uzyskać, do czasu, aż któraś ze znajomych zaprosiła ją na kolację. Mąż tej znajomej pochodził z Argentyny. Tamtego wieczoru w ich domu gościł również argentyński ambasador, który pomógł Farzane przedostać się do Buenos Aires i złożyć podanie o stałą wizę.

Maryam siedziała cichutko na swoim łóżku, rozmyślając i gadając do siebie:

– Pachną kwiatami, kiedy myślą, że nikogo nie ma w pobliżu. Wydzielają z siebie słodycz, jakby sekret – jakby cię łaskotały, chociaż właściwie nie zapachem. Zapach tylko maskuje coś większego.

Coś jakby dobroć. Taka prawdziwa, kiedy umysł kręci się szybciej niż pojedyncza myśl i widzi w jednej chwili osobę albo rzecz, która istniała już milion razy – widzi to wszystko i wybiera. To jest wybieranie – właśnie tak.

To wiem.

Tam koło rzeki, gdzie woda jest mulista – jest taki świat.

Byłam tam z *maman* i wiem.

To jak Kapitan – jak jego pływanie w samym sobie. Widzę w jego ciele zagłębienia, czarne w środku. Za tą ich czernią znajdują się sznurki, które Kapitan pociąga.

Pociąga je, gdy jest nieszczęśliwy, a chce pokazać, że jest szczęśliwy. Pociąga za te sznurki i zostaje wciągnięty do środka siebie. I widzę jego ból. Chciałabym pomóc mu przestać. To pociąganie i te czarne cienie sprawiają mu ból większy niż kaszel. Kaszel to nic w porównaniu z tym bólem.

To wiem.

Nowa pani, ta co wzdycha i ma piękne ręce, jest dobra. Jest inna. Chyba nigdy nie widziałam i nie czułam nikogo takiego jak ona. Wie różne rzeczy, ale inaczej niż ja. Sprawiała, że zachciało mi się krzyczeć i śpiewać – to coś, prawda? Ona wszystkich bardzo uszczęśliwi. Jeszcze o tym nie wie. Jest dobra, ale smutna. Ciekawe, czy potrafi istnieć jedno bez drugiego.

Czasami smutek to po prostu zmęczenie.

Czasami trzeba się po prostu trochę przespać.

To wiem.

Czasami się złościę. Jak *maman*, która jest wszystkim, a jednak zatracą się w sobie, zapominają o tym. Chciałabym, żeby wiedziała, że to nie jest ważne.

A jak to się dzieje, że boli; co to jest ból? Dlaczego go czujemy? Dlaczego nas nawiedza?

Czasami widzę to i umiem sprawić, że jest jeszcze lepsze. Zawisa w powietrzu, rozkosz tego, wisi w powietrzu.

Ale mam szczęście, że to widzę. A czasem jest mi smutno, że to widzę.

Będę za nią tęsknić. Nie wstałam, żeby się pożegnać.

To wiem.

Okręciła się jeszcze raz. I tak to się kończy: bez koloru, wszystko zestalone. Obracała się na podłodze w salonie.

Ten orzeszek pod jej piersią, ta grudka. Poczwała, że się budzi, zdumiona własną trzeźwością umysłu.

To miało jeszcze trochę czasu, zanim okaże się swoim własnym wyobrażeniem – dokąd to chciało zajść, jakiego życia spodziewały się te komórki? – rozmyślała. Czy nie wiedziały, że sądzona jest im tylko ciemność? Żadnej świętości, za grosz świętości.

Przykro jej było to mówić, nawet o rakowatej masie wyciągającej swoje macki wewnątrz jej ciała. Jak bardzo słowa Jalalladina są nadal ze mną – pomyślała – jak przewodziły wszystkiemu, co robiłam i czułam. Aż do tej chwili.

Bo teraz chcę się upomnieć o swoją wolność. Teraz czuję największy ból, jaki znam.

Tak, chcielibyśmy myśleć, że nawet nowotwór czegoś potrzebuje, bo gdzie indziej by się wyżywił – lecz potrzeba to nie wszystko. Potrzeba to nie jest początek, to nie jest paszport do niczego. Potrzeba jest tylko lustrem, i to wypaczonym.

Ach, lecz pogrążyła się w mroku. Dawała mu wygrać. Tego nie wolno jej zrobić. Szima Bahrami uprzedziła ją, że przyjdą takie chwile, zwłaszcza że postanowiła przejść

przez to sama. Szima obiecała, że utrzyma rzecz w tajemnicy – wiedziała, jakie to ważne. Zachować milczenie.

Nie tak to się normalnie odbywało. Wiedziała. No to jak było normalnie? Na leżąco w półmrocznym pokoju, z kręcącymi się wokół ludźmi, których ledwo się zna lub rozpoznaje? Ludźmi lokującymi ją między światami, chcącymi, żeby zaakceptowała słowa, które, wiedziała przecież, są bez znaczenia, są niepotrzebne tej chwili, tej prawdzie, którą znała, odkąd skończyła piętnaście lat?

Prawdzie, którą być może znała zawsze. Prawdzie wiecznej.

Udała się do Szimy miesiąc temu, po tym jak obudziła się z tym orzeszkiem.

– No i patrz – powiedziała. – Tyle lat i dożyło się tego.

Zabawne, ale z wszystkich ludzi myślała teraz o tej nowej kobiecie – podczas gdy zamierały jej kolory, a wirującą postać zaczynała przenikać bezcielesność. Myślała o niej z powodów niejasnych. Żywiła do Farzane nieokreślone, lecz przyjemne uczucie, mimo że nie odkryła, kim Farzane jest i jak się znalazła w ich domu.

Wyczuwała w tej kobiecie głęboki smutek, ale zauważyła też jej usilne dążenie do jakiegoś wzniosłego celu.

Każdy miał jakiś powód do przyjechania, do bycia tutaj. W tym budynku, który nazwała imieniem wspianiałej kobiety, tak dla kaprysu, pewnego paryskiego ranka.

Farzane coś jej przypominała – pewną chwilę pośród

cyprysów, tamte trzciny, kiedy wiał wiatr. Chwilę, w której czuła się spętana, a jednak wolna.

We wszystkich miastach, gdzie mieszkała, wśród pięknych miejsc i ludzi, których poznała, bywały takie momenty, takie szczęśliwe momenty (cukrowany uroczyn wciśnięty pod jej bluzkę, podczas gdy galopowała na koniu palomino po fidżyjskiej plaży) – przez całe to piękno wiodły ją jego słowa, ale teraz spostrzegła, że na koniec chce tylko więcej. Więcej czegoś. Goniła za tą pustką, tym głodem, przez całe życie, nie wiedząc, że za nim goni.

Jak mógł ją tam zostawić, porzucić na samotną walkę? Jak mógł pomyśleć, że ona da radę przez resztę swojego życia? Jak mógł nie wiedzieć, że była tylko człowiekiem?

Lata później wróciła do Behszahru. Przeszła tą samą usłaną sosnowymi igłami ścieżką do koryta rzeki i nadbrzeżnych cyprysów. Poczwała jego zapach, zapach mydła na jego ciele. Sięgnęła i szarpnęła wiązkę trzcin, czując nagłą chęć zerwania ich – ale je zostawiła. Poszła poszukać Jalalladina i jego matki. Chata była opuszczona, parę starych garnków i rondli wisiało na ścianie. Przez zbutwiałe ściany hulał wiatr.

– Patrz, Jalalladinie Ansari – powiedziała Hadzi Chanum. – Wracam do domu.

I tak się stało. Odeszła – pomyślała Zadi. Jeszcze jedna z moich kochanych osób.

Znalazł ją Kapitan, który otworzył jej drzwi nazajutrz rano, gdy nie odpowiadała na pukanie.

– Nie wiem, co mnie naszło – tłumaczył się później. –

Nigdy nie złamałbym reguł przyzwoitości, ale coś mi mówiło, że jestem potrzebny.

Powiedział to tak, jakby nie rozumiał tych słów, a jego dłonie uniosły się ku twarzy w geście zgrozy.

Leżała na kozetce ze skrzyżowanymi ramionami i nikłym, smutnym uśmiechem na twarzy.

Kapitan padł przy niej na kolana i zaczął szlochać; głośne, spazmatyczne łkanie obudziło Zadi.

Przybiegła i ujrzała przyjaciółkę, tę, która jej ofiarowała zdolność mówienia z powrotem „tak”.

Nie, niemożliwe.

Byli tam we dwójkę, odbywając bezwiednie żałobę, aż do pokoju weszła Maryam. Przez wsunięcie małej łapki w dłoń matki sprawiła, że Zadi ocknęła się i przystąpiła do koniecznych czynności.

A teraz stali i patrzyli, jak ciało Hadzi Chanum spuszczone jest w głąb ziemi, obok kogoś, komu – jak głosił misterny nagrobek – była poślubiona.

Jak to możliwe, że ją znałam, a nie wiedziałam o niej nic? – myślała Zadi. Namacała kopertę, którą gospodarz domu wręczył jej przed pogrzebem – koperta zaadresowana była do Zadi i zawierała dokument zapisujący jej Annę Kareninę z całą pstrokacizną zawartości.

– Pani nic nie wiedziała? – zdziwił się Niendo. – Ta to umiała trzymać sekrety – dodał, cmoknąwszy, z niekłamaną dumą w głosie.

Szli długą procesją przez Calle Florida.

U wejścia do Anny Kareniny Zadi zatrzymała się i przepuściła na schody wszystkich pozostałych: Maryam szła między Sukutami, potem Kapitan w gabardynowym garniturze i Parastu, niosąca różę na długiej łądydze.

Farzane Soltani i Huszang zamykali pochód, każde z nich z liliami w dłoni.

Ale ten ból. Był nie do zniesienia. O, Hadzi Chanum, tamten dzień. Zobaczyłaś mnie i wiedziałaś. Skąd wiedziałaś, skąd? Wcześniejsze uczucie opadło ją na nowo, gdy wszyscy przeszli. Dojmujący chłód. Skuliła się w sobie, pozbawiona tchu. Jej kochana, jej Hadzi Chanum, matka i przyjaciółka.

Wypłakawszy się, Zadi otworzyła list, który przekazał jej Niendo.

Tylko tyle. Tylko tyle, *dżunam*. Bardzo byłam szczęśliwa, mając w życiu ciebie i naszą Maryam. Nic nie zdołałoby mnie przekonać do przejścia na półżycie dziwnych istot, do wygod, do jakich przywykłam. Ten smutek, który przynosił każdy dzień... Ten niepokój, z którego nie umiałam się otrząsnąć... Dopóki nie spotkałam Was, aniołki, tamtego dnia na lotnisku. Co za radość, że została mi dana taka szansa! Pokochać znowu! Jak jeden człowiek może mieć tyle szczęścia? – myślałam sobie. I bałam się. Że będę zbyt zachłanna w swym pragnieniu. Czy Was nie sprowadziłam z obranej drogi? Czy Tobie nie było pisane spotkać się z tym Amerykaninem, o którym mi tylko raz wspomniałaś? Ale powiedziałaś, że raz wystarczy. Może. Może nie.

Nie wiem za dużo. Ale to jedno wiem:

Malutka.

Niczego się nie bój, bo nic nie ginie. Być może czujesz, że nie dałaś dość. Że nie jesteś dobrą matką. Tamten sekret – ja go znam, *dżunam*, tamten z hammamu; powierzyłaś mi go tego samego dnia, chociaż może nie pamiętasz. Powiedziałaś mi, jakie ci wtedy wskazano drzwi.

Czy ci kiedyś mówiłam o swoich podróżach po Ameryce? Ze wszystkich miejsc poza naszą ukochaną ziemią i małym rajem Anny Kareniny to jedno mogłabym nazwać domem. Amerykę. Ale Amerykę sprzed jakichś stu pięćdziesięciu lat, z czasów Dzikiego Zachodu. (Wspaniale prezentowałabym się na koniu, nie sądzisz?)

Te osadnicze matki w czasach, gdy wszystko było dla nich nieodgadnione, wiedziały, jak wypuszczać swoje potomstwo w nieznane. Wpajały swoim synom – bo to, oczywiście, byli prawie zawsze synowie – wpajały im podziw dla tej krainy i nieba nad ich głowami, co uważały za fizyczną manifestację swojej komunii z nową ziemią, którą odziedziczyły.

Te osadnicze dzieci uczone były myśleć jak lekarze i naukowcy: widzieć wszystko jako cud. Całą wspaniałość przyrody, całą grozę.

Nic się to nie różni od tego, co Ty dałaś Maryam. Chcesz wyposażyć ją w mapę, żeby mogła osiąść to niewiadome. Bo to właśnie zrobiłaś, *Zadi-dżan*. Nawet jeżeli sama o tym nie wiesz. Stawiłaś czoło wielu

niewiadomym.

Moja dzielna dziewczyno. Stawiaj dalej czoło niewiadomym.

Uściski od tej, która Cię zna.

Nikki Chanum

Szły za rękę po wyjściu ze szkoły, mijaly ulicę za ulicą. Zdjęto już bandaż z nadgarstka Maryam i – tak jak mówiła Szima – została tylko cieniuteńka blizna.

Hadzi Chanum powiedziała, że gdy człowiek utraci miłość, nie ma jak znaleźć sobie z powrotem miejsca na ziemi. Że od tego dnia będzie zawsze miotany po świecie.

I to była jedyna rzecz, co do której Hadzi Chanum się myliła – pomyślała Zadi.

Bo jest na to sposób.

Doszły do placu. Kobiety, o których Zadi już słyszała, te matki, które się tu zbierały w każdy czwartek, zaczynały właśnie krążyć wokół centralnego pomnika. Niosły swoje hasła i zdjęcia zaginionych dzieci. Niektóre miały nawet wypisane hasła o wojnie, która nadal się toczyła.

Przez to wszystko, co się stało, Zadi całkiem zapomniała o wojnie.

Przystanąła z córką i patrzyły na matki, a potem poszły do Anny Kareniny.

– Zadi-dżan.

W wejściu stał Huszang.

Spojrzała na niego. Miał na sobie służbowy garnitur. Oczy zaczerwienione.

– Istnieje.

Zadi wpatrywała się w niego. Czowała, jakby miała kamienie w piersi, w żołądku.

– Istnieje, bo jest doskonałe. Jest doskonałe, bo jest jedyną rzeczą. Jedyłą rzeczą, której możemy być pewni na tej ziemi. Tak mówi Kartezjusz. Bóg istnieje, ponieważ jest doskonały. Czy tego nie widzisz, Zadi-dzan? Nie widzisz tego, co ja widzę?

Patrzyła na niego jeszcze chwilę. Oddychając powoli.

Tak.

– Tak?

Uśmiechnęła się. Coś otwarło się w jej piersi. Poczowała, że się tam napełnia i opróżnia jednocześnie.

Wziął ją za rękę.

Odwrócili się i razem weszli do domu.

*To ciało, o młodości, jest
gospodą,
co rano przybywa nowy gość.*

Znowu siedzieli wszyscy dookoła dywanu.

Recytację rozpoczęła Zadi; przerwała po pierwszym czterowierszu i patrzyła po zebranych. Kapitan napotkał jej wzrok i powtórzył:

– „To ciało, o młodości, jest gospodą”. To by się spodobało Hadzi Chnum.

*To ciało, o młodości, jest
gospodą,
co rano przybywa nowy gość.
Nie mów, że gość ten jest dla
mnie ciężarem,*

*bo może zginąć w nieistnieniu.
Cokolwiek przyjść może do twego
serca z daleka,
powitaj jak gościa i podejmij.*

Farzane Soltani popatrzyła na Zadi, a potem na jej ręce, które były złożone.

Westchnęła.

Chciała po prostu być. Przez pewien czas, przez minutę. I zobaczymy. Zobaczymy.

*Cokolwiek przyjść może do twego
serca z daleka,
powitaj jak gościa i podejmij.*

Homa spojrzała na Rezę.

– Dzisiejszym tematem jest miłość! – wykrzyknął Reza.
– I jutrzejszym tak samo. Właściwie nie znam lepszego tematu, o którym moglibyśmy dyskutować aż do śmierci!

Ona poczeka. Poczeka, a gdy przyjdzie dla niej stosowny czas, będzie wiedziała.

Wtedy zgarnie te klejnoty, które trzymali pod matą, i wrzuci je do Rio de la Plata.

Pozbędzie się ich i odejdzie.

Do tego czasu będzie mówiła o Hafizie. I o Attarze, i o Rumim. Będzie śpiewała ich wiersze na spotkaniach. Będzie śpiewała te wiersze.

To ciało, o młodości, jest gospodą.

Parastu siedziała zamyślona.

To był Iran, inne miejsce, inny świat, inny czas – myślała Parastu. Tak to było dla niej wtedy. Nie

zdecydowała się odejść, bo nie było takiej możliwości. Nigdy ani chwili wolnej, nigdy przerwy. Aby pomyśleć dalej niż pytania.

Przypomniało jej się, co mówiła *chanum Ghavami*. Jest, czym jest. *Chanum Ghavami* miała rację. Jest, czym jest, ale nie jest, czym jest. Lecz...

Co rano przybywa nowy gość.

Hadzi Chanum namówiła Parastu, by przespała się minionej nocy u Zadi, twierdząc, że potrzebuje trochę czasu w samotności.

Wiedziała i dokonała wyboru.

*To ciało, o młodości, jest
gospodą,
co rano przybywa nowy gość.
Nie mów, że gość ten jest dla
mnie ciężarem,
bo może zginąć w nieistnieniu.
Cokolwiek przyjsć może do twego
serca z daleka,
powitaj jak gościa i podejmij.
Człowiek mądry jest jak gospoda
i dopuszcza wszystkie
nasuwające mu się myśli, czy to
radosne, czy smutne,
z tą samą życzliwością, wiedząc
że
jak Abraham może, nieświadom,
gościć anioły. To*

*ilustruje historia kobiety, która
przepędziła cennego gościa
złośliwą uwagą, której on
miał nie słyszeć, a
potem tak gorzko żałowała swej
nieuprzejmości, że
przywdziała
żałobę, a swój dom zamieniła
w gospodę.*

Zadi trzymała w ręku list od Hadzi Chanum, gdy Maryam się zbudziła. Mała zgramoliła się ze swojej maty i objęła Zadi za szyję, główkę ułożyła na jej kolanach.

Zadi się rozplakała; przeczesywała palcami długie włosy córeczki.

Ocierając łzy, zwróciła się do niej:

– Muszę ci coś powiedzieć, Maryam-*dżan*. O twoim ojcu.

Maryam spojrzała w górę swoimi wielkimi oczami.

– Pewnych rzeczy nie chce się wiedzieć, *maman-dżan*.

Zadi pomyślała o swoim ciężarnym ciele owego dnia w hammamie. Jaka się czuła ogromna i obca.

Oparta o ścianę łaźni, podpierając się dłońmi o kafelki, wyęzła słuch, chcąc usłyszeć melodię z drugiego pokoju.

Ale są jeszcze inne rzeczy, o których musisz wiedzieć – pomyślała Zadi, patrząc na swoje dziecko.

– Nie wszystko trzeba wiedzieć, *maman*.

Tak, *dżunam*. Moje serce.

Nie o jej życiu, nie o jej sercu. Ale o wszystkim, co się rzekło powyżej.

*Miłość niechybnie rozewrze cię
szeroko
w nieskrępowaną, kwitnącą nową
galaktykę.*

Przez szklaną ścianę ujrzały Kapitana idącego korytarzem.

Starszy pan zatopiony był we własnych myślach.

Takie jest życie – dumął. Życie to coś.

Coś, czego można się trzymać, coś, co można zrozumieć.

Posłał wiadomość córce. Wyjechała nad tamtą rzekę, z miłością, która była jej pisana. Dokona tam wielkich rzeczy – myślał – rzeczy, jakich on sobie nawet nie wyobraża.

*Wszystkie półkule, jakie istnieją,
leżą przy równiku twojego serca.*

I co z tego? I nadal nie wiedział.

I nadal będzie chodził na spacer, wyglądał słońca, nasłuchiwał tamtych odgłosów, szurania bosych stóp po podłodze, przez pamięć na miłość, która nadal tańczyła dokoła jego gardła, jego serca.

Jak to możliwe? Jak jego serce może nadal bić?

Nie wiedział.

Potrzeba wybuchnięcia miłością, potrzeba dążenia naprzód, a przede wszystkim – pamiętania, i zapomnienia.

Jakim głupcem może się wydać niektórym.

Nadal chcieć, pragnąć tak wiele.

POSŁOWIE

Jak napisała moja córka Marsha w notatce z 2009 roku, pomysł na tę książkę przyszedł jej do głowy w 2001 roku, po konfrontacyjnej rozmowie telefonicznej z matką, po której odżyły w niej wspomnienia z dzieciństwa. Zasiadła do komputera i zaczęła pisać. Nie słowo w słowo o tym, co się zdarzyło – była to raczej pospieszna notatka. Jako że pracowała nad innymi projektami, m.in. tworzyła swoją pierwszą powieść *Zupa z granatów*, musiała odłożyć nowy pomysł na później, pozostawiając go na marginesie.

Wróciła do niego w roku 2008, po wydaniu dwóch pierwszych książek. Wówczas jeszcze nie wiedziała, że porywa się na śmiałe przedsięwzięcie, którego realizacja zajmie jej następne sześć lat. Jak to później sformułowała – kiedy pomysł ten po raz pierwszy uniósł swój łeb mutantą, był właściwie nie książką, lecz ulotnym obrazem sceny – konglomeratem dziecięcych wspomnień i fantazji.

Marsha miała niespełna dwa lata, kiedy jej matka i ja zostaliśmy przyjęci na podyplomowe studia w Stanach Zjednoczonych, na Uniwersytecie New Mexico. Spakowani i gotowi do wyjazdu, czekaliśmy na wizy z amerykańskiej ambasady w Teheranie. Na dzień przed wyznaczonym nam terminem dowiedzieliśmy się, że ambasada jest oblężona przez rewolucyjnie nastawionych studentów, a jej personel przetrzymywany jako zakładnicy.

Nasze marzenia o studiach w Ameryce przysły w jednej chwili.

A jednak postanowiliśmy się nie poddawać. Zdecydowaliśmy się wyjechać do Argentyny, mając nadzieję na otrzymanie wiz w tamtejszej ambasadzie amerykańskiej. Miało to trwać następne cztery lata, ale w końcu wydano nam te wizy.

Podczas oczekiwania w Buenos Aires udało nam się wynająć piąte piętro dużego budynku, którego sporą część zamieszkiwały już inne irańskie rodziny. W tym właśnie domu Marsha doświadczyła specyficznej kultury irańskiej diaspory. Wspomnienia z tamtych czasów stały się fundamentem, na którym zbudowała narrację niniejszej książki.

Wkrótce po przybyciu do Argentyny matka Marshy, która wyuczyła się sztuki usuwania zarostu z twarzy techniką *band andazi*, czyli nitkowania, pozyskała kilka klientek. Nasz dom stopniowo stawał się miejscem spotkań irańskich expatriantów, szczególnie kobiet. Można tam było zdobyć informacje, posłuchać opowieści lub je wygłosić, wymienić plotki i poznać nowych przyjaciół.

Gdy Marsha miała siedem lat, przenieśliśmy się na Florydę, do Miami, gdzie dalej poszerzała swoją wiedzę o kulturze, gromadząc niezbędne składniki do przyszłych książek. Wraz z nami uczestniczyła w irańskich posiadach, także w wieczorach poetyckich wzbogaconych muzyką na żywo. Marsha, która uczyła się gry na fortepianie, miała

wówczas okazję pochwalić się wykonaniem kilku podstawowych melodii – cieszyły ją uwaga i podziw słuchaczy.

W szkole w Miami Marszę uznano za uzdolnione dziecko i wybrano do specjalnego programu nauczania, przeznaczonego dla wyróżniających się dzieci. Uwielbiała muzykę i książki. Przez osiem lat uczyła się gry na fortepianie, w tym rok w Australii, w Elder Conservatorium of Music w Adelaide. A jednak miłość do książek i pisania pokonała nawet jej fanatyczne pragnienie osiągnięcia mistrzostwa w pianistyce i zostania solistką.

Impulsem do napisania tej książki stały się dla Marshy wspomnienia z dzieciństwa, natomiast sam akt pisania pozwalał jej stopniowo rozwijać ulubione tematy, którymi były piękno, miłość i prawda metafizyczna. Marsha kwestionowała wierzenia religijne, wdawała się w praktyki mistyczne, penetrowała ulotne doktryny i rytuały sufizmu. Badanie przeszłości, przypominanie sobie, interpretowanie oraz refleksja nad własnymi wspomnieniami były dla niej zarówno sposobem zbierania materiału literackiego, jak i środkiem do eksploracji i reformowania światopoglądu oraz wizji swojego miejsca w świecie. Cenny wgląd w te ostatnie dawała jej perska poezja.

W kulturze perskiej, którą psychika Marshy głęboko przesiąkła, istnieje silna tradycja zbiorowej recytacji i interpretacji – wspólnego czytania poezji i refleksji nad jej znaczeniem. Tradycja ta przyciągnęła uwagę Marshy

jako cenne zjawisko kulturowe. Ozdobiła ona stronicę niniejszej książki wierszami o głębokiej treści, a czytelnika postawiła przed wyzwaniem dwuznaczności i kontrowersyjności niektórych wersetów. Było to nadzwyczajne zadanie, wymagające badań i studiów. Tym trudniejsze dla kogoś, kto nie mieszkał w Iranie dostatecznie długo, aby opanować rodzimy język, i nigdy nie był w pełni zanurzony w rodzimą kulturę – kulturę niedającą się w pełni wyrazić w tłumaczeniu.

Marsha rzuciła się na literaturę perską, w której odnalazła ocean miłości, piękna, znaczenia i tajemnicy. Postanowiła wydobyć z tego oceanu esencję i zmieszać ją z własnymi dziecięcymi wspomnieniami – owocem miała być jej najlepsza i najbogatsza znaczeniowo powieść. Praca nad tym monumentalnym projektem zaabsorbowała ją tak dalece, że przestała uważać na swoje zdrowie psychiczne i fizyczne.

We wspomnianej już notatce z 2009 roku napisała: „Ostatnie pięć miesięcy spędziłam na redakcji trzeciej książki. Mówiąc najogólniej, był to bolesny proces. Nie było prawie nocy, abym nie zerwała się ze snu zlaną potem, z sercem walącym w rytm jakiejś starożytnej taranteli. I w dzień, i w nocy drżały mi nogi, tak że trzęsło się pode mną siedzisko – i wyglądałam, jakbym się postarzała o dziesięć lat: podkrążone oczy, szarawa cera. Pamiętam jak przez mgłę, że potrafiłam przez cały tydzień nie umyć włosów”. O ile wiem, stan ten utrzymywał się przez ponad pięć lat, aż do śmierci Marshy w kwietniu

2014 roku.

Marsha zakończyła pierwszą wersję powieści w latach 2008–2009, a jej akcję osadziła w Los Angeles. Następnie przepisała ją, zmieniając miejsce akcji na Buenos Aires. Istnieje wiele wersji rękopisu, które dowodzą nieustannego dążenia autorki do perfekcji i chęci pozostawienia cennej schedy dla przyszłych pokoleń.

Od początku byłem świadomy zaangażowania Marshy w tworzenie tej powieści. Prosiła mnie niekiedy o pewne informacje lub wyjaśnienia. Dla mnie jednak prawdziwy kontakt z tą książką rozpoczął się, gdy Marsha przyjechała do nas na sześć miesięcy w roku 2012. Podczas tego pobytu omawialiśmy powieść, jej tytuł oraz główne idee. Marsha czytała tekst na głos, ja zaś miałem uważnie słuchać i krytykować – jakkolwiek nie lubiła krytyki, szczególnie ze strony ojca. Na koniec dała mi do przeczytania egzemplarz maszynopisu (zachęcając do zgłoszenia sugestii, jeśli się ośmielę). Jednocześnie nawiązała kontakt z wydawcami i agentami. W czerwcu 2012 wyjechała do Stanów Zjednoczonych, aby dokończyć książkę i – miała taką nadzieję – podpisać umowę.

Po śmierci Marshy dowiedziałem się, że termin złożenia przez nią ostatecznej wersji rękopisu upłynął już dawno, natomiast ta ostatnia, przesłana wydawnictwu HarperCollins Publishers w Australii, była mocno niekompletna. Uświadomiłem sobie, że powieść może w ogóle nie doczekać się wydania. Straciłem ukochaną córkę i nie chciałem, żeby sześć lat jej intensywnej pracy

poszło na marne. Wiedziałem, że Marsha pragnęła dać tę książkę światu, i postanowiłem zrobić to za nią. Zabrałem się do rewizji licznych wersji książki i setek rozproszonych notatek. Posprawdzałem angielskie przekłady poezji, aby mieć pewność, że są wierne oryginałom w języku farsy.

Podczas realizacji tego zadania doświadczałem mieszanych uczuć. Często przyłapywałem się na tym, że płaczę – bądź jako ojciec dumny, bądź pogrążony w żałobie, a niekiedy jedno i drugie.

Książkę tę można opisać jako współczesną narrację alegoryczną, podobną do *Konferencji ptaków* napisanej wierszem w dwunastym wieku przez perskiego poetę Attara. W poemacie Attara ptaki rozmaitych gatunków postanawiają odnaleźć legendarnego króla ptaków, Simorgha. Wyruszają w podróż przez siedem nieprzyjaznych i trudnych do przebycia dolin duchowości i oświecenia. Wiele z nich, niezdolnych pokonać przeciwności, ginie w drodze lub wycofuje się z poszukiwań. Zaledwie trzydzieści ptaków dociera do celu – szczytu góry Qaf, gdzie, jak wierzą, mieszka Simorgh. Lecz nie znajdują legendarnego mistrza. Patrząc na siebie, ptaki orientują się, że to one same są Simorghiem. W języku farsy słowo *si* znaczy trzydzieści, a *morgh* – ptaki; a zatem *Si morgh* to nic innego jak tych trzydzieści ptaków, które dotarły do celu. One są Bogiem, a Bóg jest nimi.

W powieści Marshy spotyka się grupa Irańczyków

z rozmaitych środowisk. Podobnie jak ptaki Attara oni także stwierdzają, że wspólnie mogą szukać boskiej inspiracji wewnątrz siebie. Obdarowani bogactwem kulturowego i duchowego przewodnictwa, wyposażeni w starożytną sztukę opowiadania historii wyruszają w podróż przez własne życie na fali poczucia jedności i wspólnoty.

Dziękuję Annie Valdinger, redaktorce HarperCollins Australia, za jej wiarę w wizję Marshy i wsparcie, jakiego jej udzieliła.

Dziękuję Denise O’Dea, redaktorce HarperCollins Australia, za profesjonalną biegłość, wnikliwość i uprzejmość.

Dziękuję mojej żonie Debbie i synowi Dariusowi za ich cierpliwość i wsparcie w tym trudnym czasie.

Abbas Mehran,
październik 2014

GLOSARIUSZ

PERSJA CZY IRAN, PERSKI CZY IRAŃSKI?

Czytelnik mógł się zastanawiać, dlaczego terminy „perski” i „irański” oraz „Persja” i „Iran” używane są w tej książce wymiennie. Wielu nie-Irańczyków sądzi, że nazwa Iran brzmiała uprzednio Persja i że monarchia Pahlawiego zmieniła ją na Iran w dwudziestym wieku.

To nieporozumienie. W języku irańskim Iran zawsze nazywany był Iranem, jednak świat zachodni używał powszechnie formy Persja. W roku 1935 rząd irański poprosił zagranicznych delegatów, by nie określali Iranu nazwą Persja. Później, w roku 1959, zdecydowano, że obu nazw można używać wymiennie. A więc „jestem Iranką” to to samo co „jestem Persjanką”. Ale w Iranie zawsze jestem Iranką.

Aghd: ceremonia zawarcia małżeństwa, religijna lub cywilna

Amme: ciotka ze strony ojca

Aga: pan

Aryman: zło

Aszura: dziesiąty dzień miesiąca Muharram. Szyici uważają go za dzień żałoby po męczenniku Husajnie, synu Alego, wnuku proroka Mahometa, zabitego przez jazydów w bitwie pod Karbalą

Atr: perfumy

Attar: wytwórca i/lub sprzedawca perfum

Awesta: święta księga proroka Zaratusztry, założyciela religii zaratusztriańskiej powstałej w Iranie około roku 600 p.n.e.

Awicenna (lub Ibn Sina): urodzony w roku 980, był jednym z najśłynniejszych perskich matematyków, filozofów i astronomów

Azizam: mój drogi/moja droga

Baba: ojciec, tato

Baba Taher: perski poeta mistyczny żyjący w jedenastym wieku

Barbari: rodzaj chleba, podobny do chleba tureckiego

Bazar: zadaszone targowisko

Birun: to, co widoczne na zewnątrz; co jest unaocznione

Chale: ciotka ze strony matki

Chanum: dama, pani

Czador: płachta tkaniny okrywająca ciało kobiety od stóp do głów, oprócz twarzy

Dariusz Bozorg: Dariusz I Wielki, król perski, który nakazał zbudować pałac Persepolis

Darun: to, co wewnątrz; co nie jest widoczne

Diwune: szalony, zwariowany

Duq (Dugh): napój z jogurtu, wody, soli oraz innych przypraw

Dywan: pełny zbiór wierszy poety; także: drewniana ława

Dżan: kochany/kochana; wyraz czułości używany samodzielnie lub dodany do imienia osoby

Dżin (także *dżinn* lub *geniusz*) – istota nadprzyrodzona

Dżun: kochany/kochana

Dżunam: mój kochany/moja kochana

Ehsas: uczucia

Eszq: miłość

Fana: całkowite zniknięcie; ostatnie z siedmiu stadiów (dolin zamętu) drogi do oświecenia opisanych w poemacie Attara *Konferencja ptaków*

Fani: śmierć

Farsi lub *Parsi* (perski): główny język, którym mówi się w Iranie

Garm: ciepły

Gaz: rodzaj irańskich słodczy, w Europie znany pod nazwą nugat

Gazel: gatunek wiersza zbudowanego z rymowanych kupletów i refrenu, wszystkie wersy mają to samo metrum

Ghalyun: fajka wodna

Gulistan: ogród kwiatowy (rózany); także tytuł jednego z dzieł poety Sadięgo

Hadzi: osoba, która odbyła pielgrzymkę do Mekki, by oddać cześć prorokowi Mahometowi, modlić się i uczestniczyć w ceremoniach religijnych

Hadzi Chanum: hadzi płci żeńskiej – kobieta, która była w Mekce

Hadzi Firuz: wędrowny muzykant, który oznajmia nadejście wiosny i nowego roku, ubrany na czerwono, z poczerwioną twarzą, tańczący i grający na tamburynie

Hicz: nic, zero

Ihram: stan świętości, w który musi wkroczyć muzułmanin przed ukończeniem pielgrzymki do Mekki

Inszallah: jeśli Bóg zechce

Ja Haq: O Boże; Bóg jest prawdą

Kaba: prostopadłościenna budowla pośrodku meczetu Al-Masdzid al-Haram w Mekce (Arabia Saudyjska), wszyscy muzułmanie muszą się modlić zwróceniem twarzy do Kaby

Kadzarowie: dynastia Kadzarów rządziła Iranem w latach 1785–1925

Khoda: Bóg

Kolijat: dzieła zebrane danego autora

Koran: święta księga islamu

Latif: miękki, czuły, elegancki

Lejli va Madżnun: Lejla i Madżnun, dwie postacie z romansu perskiego poety Nizamiego Gandzawiego

Lezzat: przyjemność, nagroda

Madres de Plaza de Mayo: Matki z placu Majowego, które straciły dzieci w trakcie wojskowej junty w Argentynie

Magi (l. mn. od *Magus*): członkowie kasty duchownych w starożytnej Persji; mędracy

Maman: matka, mama

Mast: pijany

Mate: herbata ziołowa popularna w Argentynie

Mułła: duchowny muzułmański

Na: nie

Nafs: sumienie

Nou Ruz: dzień Nowego Roku
Pari: dobra wróżka
Pir-e Sabz: Zielony Człowiek, jeden ze starożytnych proroków
Qalb: serce
Qejme (Gheimeh): irańska zapiekanka z mięsa, ziemniaków, grochu i konfitury cytrynowej
Qijamat: dzień Sądu Ostatecznego
Qolam: służący/służąca
Qondaq (Ghondagh): kawałek płótna i sznur, którymi owijano niemowlęta
Rubajat: styl poetycki; wiersz zbudowany z czterowersowych strof
Rusari: chusta na głowę
Safawidzi: dynastia Safawidów rządziła Iranem w latach 1501–1722
Sahra: teren piknikowy na wolnym powietrzu
Sepidabe: biały proszek stosowany do oczyszczania ciała i twarzy
Sofre: duży płat materiału, na którym podaje się jedzenie
Sohbat: rozmowa, pogawędka
Szahname: *Księga królewska* autorstwa poety Ferdousiego
Szaitan: Szatan
Szarm: wstyd
Szohada: męczennicy
Taarof: przesadne ugrzecznienie; obyczaj nakazujący

odmowę przyjęcia usługi lub podarunku, choćby się ich naprawdę chciało – oznaka dumy i dobrych manier; także: ofiarowanie czegoś, gdy w istocie nie możemy lub nie chcemy tego zrobić

Tauhid: jedność; doktryna głosząca, że istnieje tylko jeden Bóg

Tazije: teatr religijny

Toman: waluta irańska

Tombak: rodzaj bębna

Torszi: kwaśna marynata

Tude: partia komunistyczna w Iranie

Tut: morwa

Zekr: imiona Boga; akt ich recytacji

1 Jeżeli nie zaznaczono inaczej, tłumaczenie poezji J.K.

2 Dżalaluddin Rumi, *Pieśń trzcinowego fletu*, przeł. Maria Składankowa, [w:] Maria Składankowa, *Kultura perska*, Ossolineum 1995.

3 *Pieśń nad Pieśniami*, 1,13–14, [w:] *Biblia, to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1975 (przyp. tłum.).

4 Forugh Farrochzad, [w:] *też*, *I znów powitam słońce*, przeł. Barbara Majewska, PIW 1980.

5 Dżalaluddin Rumi, *Pieśń trzcinowego fletu*, dz. cyt.